

ROZDZIAŁ I

FANTAZJA MILIONERA

Dnia 15 kwietnia 189... roku pana Alvana Clarke, szefa największej na świecie szlifierni szkieł optycznych, istniejącej od wielu lat w Bostonie pod firmą „Alvan Clarke and Sons”, odwiedził niezwykle gość. W jego gabinecie zjawiał się zupełnie niespodziewanie mister* Brighton. Nazwisko to brzmi obco w uszach mieszkańców Starego Świata; zna je wszakże każdy prawie obywatel Stanów Zjednoczonych, znajdujący się w jakichkolwiek bądź stosunkach z amerykańskimi bogaczami.

W Bostonie pierwszy lepszy kupiec objaśniłby nas z pewnością, iż mister Brighton „wart jest” dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, które zarobił w przeciągu dziesięciu lat na spekulacji akcjami kopalni srebra.

Taka rekomendacja w krainie dolarów jest najzupełniej wystarczająca; uznajemy więc za stosowne na niej poprzestać.

Nic więc dziwnego, że pan Alvan Clarke skwapliwie powitał „króla srebra”, na próżno odgadując, jaki interes mógł sprowadzić milionera do jego zakładu, który utrzymywał stosunki tylko ze sferami naukowymi, specjalnie zaś z astronomami.

— Wybacz pan — rzekł Brighton siadając na podanym sobie krześle — ale przyjechałem, ażeby panu zabrać z pół godzinki czasu.

— Choćby dzień cały — odparł grzecznie Clarke. — Czym mogę służyć?

— Pragnąłbym zadać panu kilka pytań.

— Słucham z największą uwagą.

— Zastrzegam sobie jednak z góry pobłażliwość. Wiadomo

** Mister (ang.) — pan.*

panu, iż nie znam się na dalekowidzach ani na ich fabrykacji nawet tak, jak pan znasz się na obrotach giełdowych. Moje pytania wydadzą się może naiwne...

— Nie przypuszczam. Mów pan, proszę.

— Otóż pragnąłbym się dowiedzieć, czy to z pańskich zakładów wyszedł dalekowidz znajdujący się obecnie w Obserwatorium Licka na Górze Hamiltona w Kalifornii?

— Tak jest. Zdaje mi się, że mogę bez ujmy dla siebie przyznać się do tego dzieła.

— Bez wątplenia, przynosi ono panu niemały zaszczyt. Powiedz mi pan jednak, czy refraktor ten stanowi ostatni wyraz dzisiejszej techniki?

— Nie, techniki sprzed kilkunastu lat. Obecnie bowiem potrafilibyśmy iść cokolwiek dalej, czego daliśmy niedawno dowód oszlifowawszy soczewkę przedmiotową do dalekowidza dla Obserwatorium Wilson Peak w Sierra Madre. Szkło to liczy średnicy cały metr, to jest przewyższa średnicę soczewki Licka o cztery centymetry.

— Aha, więc owe cztery centymetry w średnicy soczewki wyrażają dokonane przez pana w ciągu owych lat postępy w szlifowaniu szkieł, czy tak?

— Zapewne.

— Powiedz mi pan jednak — rzekł po chwili milczenia milioner — czy nie potrafili byś zbudować przy obecnych środkach technicznych-potężniejszego jeszcze przyrządu?

— Hm, trudno mi będzie odpowiedzieć na to — odparł Clarke — nie ulega jednak wątpliwości, iż za pomocą nowych maszyn, lepszych i

większych aniżeli te, jakimi dziś rozporządzam, mógłbym zrobić bardzo dużą soczewkę.

— Mianowicie! — zawołał milioner zrywając się z miejsca. — Proszę tylko, nie bierz pan pod uwagę kosztów, lecz same trudności techniczne. Ot, niechaj ci się zdaje, iż jesteś bardzo bogaty. Dobrze?

Alvan uśmiechnął się patrząc na ożywioną twarz „króla srebra”.

— Zgoda! — rzekł. — Otóż przypuściwszy, iż mam dosyć pieniędzy, spróbowałbym odlać i oszlifować soczewkę o stu pięćdziesięciu i stu sześćdziesięciu centymetrach średnicy.

— Tylko? — zawołał Brighton z odcieniem zawodu w głosie. — A gdybyś pan miał dziesięć milionów dolarów do dyspozycji?...

— Jest to suma, o której nie ma co myśleć!

— Jak to: nie ma co myśleć? Ja chyba mogę rozporządzać taką sumą!

— Hm, w takim razie postać rzeczy zmieniałaby się cokolwiek — odparł Clarke. — Mając na wydatki dziesięć milionów zabrałbym się do sporządzenia soczewki od stu osiemdziesięciu do dwustu centymetrów, choć nie ręczyłbym, czy mi się to uda. Taka soczewka dałaby powiększenie trzy tysiące do trzech i pół tysiąca razy, gdy teleskop Licka przybliży tylko na dwa tysiące. Byłby to więc postęp kolosalny. Miło mi bardzo, iż mogę zaspokoić szlachetną ciekawość pańską uciekając się choćby do takich fantazji.

— Jestem panu nieskończenie wdzięczny za tę uprzejmość — rzekł Brighton. — Proszę jednak, nie myśl, iż pytaniami mymi kieruje tylko ciekawość!

Te ostatnie słowa milionera zdziwiły sławnego szlifierza soczewek. Spojrzał bystro na swego gościa, chcąc odgadnąć jego zamiary.

"Czyżby ten bogacz zapragnął przypatrywać się niebu przez swój własny teleskop?" — pomyślał.

Przypuszczenie to wydało mu się jednak niedorzeczne. Fantazje podobne, jak wiedział, rzadko miewają nawet tacy bogacze jak Brighton.

Clarke nie wątpił, iż Gould, Vanderbilt, Mackay lub inny jaki arcymilioner mógłby przegrać w karty milion dolarów, sprawić sobie jacht spacerowy za pięć, zapłacić za portret żony bajeczne honorarium, ale na pewno żaden z nich nie zechciałby poświęcić kilku milionów na teleskop, przez który dostrzegłby nawet cuda na księżycu.

Taka rozrywka wydałaby się każdemu z nich głupia, bez porównania głupsza aniżeli urządzenie własnego teatru, willi na szczycie Gór Skalistych lub wreszcie wystawy swych bogactw. Toteż Clarke niecierpliwie oczekiwał końca rozmowy, a wizytę Brightona uważał za stratę czasu.

Korzystając z tego, że milioner wstał, podniósł się także, patrząc, rychłoli Brighton wyciągnie doń rękę na pożegnanie. „Król srebra” nie myślał jednak odchodzić.

— Mówisz pan, że soczewka o dwóch metrach średnicy powiększałaby trzy i pół tysiąca razy? — zagadnął.

— Tak, zresztą łatwo się o tym przekonać za pomocą prostego obliczenia.

— I oszlifowanie takiego szkła nie jest niepodobieństwem?

— Doświadczenie przekona o tym.

— A co do kosztów?

— W żadnym razie nie przekroczyłyby one sumy ośmiu milionów dolarów, włączając już w to cenę maszyn i budowę dużych pieców do odlania bryły szkła odpowiedniej wielkości.

— O ile wiem, podejmujesz się pan także budowy teleskopów ze wszystkimi pomocniczymi mechanizmami: zegarem i podstawą?

— Tak, jest to specjalność mojej firmy. Refraktor jednak, którego rozmiary byłyby zastosowane do soczewki przedmiotowej o dwustu centymetrach średnicy...

— ...kosztowałyby z milion — przerwał Brighton — czy tak?

— Pół miliona.

— Ależ to bagatelka w porównaniu z ceną samej soczewki, kochany panie Clarke! — zawołał milioner. — Zdziwiłbyś się pan zapewne, jeżelibym cię poprosił, ażebyś mi zrobił teleskop, o jakim mówimy, co?

— Zapewne. Nie zajmuje się pan badaniami astronomicznymi.

— Tak, to prawda! Pomimo to chciałbym mieć największy w świecie teleskop; widzisz pan, chodzi o wyjaśnienie pewnej kwestii, która bardzo mnie zainteresowała. Otóż, kochany panie Clarke, proszę, zrób mi dwustucentymetrowy refraktor jak najprędzej. No cóż, przyjmujesz moje zamówienie? Na koszty dam czek na cztery miliony; na pozostałe cztery miliony pięćset tysięcy możesz wystawić na mnie weksle, które natychmiast będę akceptował.

„Król srebra”, nie czekając na odpowiedź, wyjął z pugilaesu blankiet czekowy i wypełnił go pewną ręką.

Szanowny Alvan Clarke patrzył na leżący przed nim papier i nie wierzył własnym oczom. Z początku myślał, iż milioner żartuje. Czek jednak, na którym po czwórce z sześcioma zerami widniały wyraźnie, zamknięte w nawiasie, słowa: cztery miliony dolarów i podpis „Arthur Brighton” — świadczył wymownie, że „król srebra” mówił zupełnie poważnie.

W zachowaniu się bogacza Clarke także nie zauważył nic, co by go mogło naprowadzić na przypuszczenie, iż ma do czynienia z obłąkanym. Pomimo to nie brał podawanego sobie czeku, lecz patrzył z widocznym zdumieniem na gościa.

— No, zgadzasz się pan? — nalegał milioner.

Alvan Clarke, zaskoczony tak niespodziewaną propozycją, wahał się, co odpowiedzieć; milczał więc, utopiwszy wzrok w czte-romilionowym czeku, którego zera zdawały się doń uśmiechać zachęcająco.

Wieloletnie doświadczenie pozwalało mu dokładnie przewidzieć trudności, jakie by nastęczyło doprowadzenie do skutku tak kolosalnego przedsięwzięcia.

A jeżeli odlanie i oszlifowanie soczewki dwumetrowej nie uda się, pomimo całej zręczności i udoskonalonych maszyn? Firma „Alvan Clarke and Sons” nie mogła przecież narażać się lekkomyślnie na niepowodzenie, zaszkodziłoby to bez wątpienia jej sławie tak pracowicie zdobytej.

Z drugiej znow strony, szanowny Alvan Clarke pojmował doskonale, że zbudowanie olbrzymiego teleskopu, który by stanowił epokę w historii astronomii — nadałoby niesłychany rozgłos jego zakładom. Ktoś inny podejmując się dzieła, które on uznał za niemożliwe do wykonania, odebrałby mu od razu stanowisko, jakie zajmował.

Ten ostatni wzgląd przemawiał do szlifierza soczewek jeszcze bardziej przekonująco aniżeli suma wypisana na czeku. Chwilkę namyślał się, po czym podniósł głowę.

— Podejmuję się zadania przechodzącego moje siły — rzekł. — Nie uwierzysz pan, ile ponieśliśmy trudów szlifując ostatnią soczewkę. A przecież miała ona zaledwie jeden metr średnicy.

— Więc się pan zgadzasz?! — zawołał z radością Brighton. — Miałem pana za dzielnego człowieka i nie omyliłem się, jak widzę. Pozwól pan, niech uścisknę twoją dłoń.

Rzekłszy to, „król srebra” potrząsnął energicznie prawicą pana Clarke'a.

— Na kiedy obiecujesz mi pan przygotować moją lornetkę? Mogę panu dać najwyżej półtora roku czasu na wszystko. Wiem, że to trochę za mało, ale trudno — gwiazdy nie czekają...

Alvan Clarke pokręcił głową, lecz milioner nie pozwolił mu zaprotestować i, oświadczywszy raz jeszcze, iż wszelkie nadzwyczajne koszty, wynikające z pośpiechu, bierze całkowicie na siebie, chwycił za kapelusz. Na progu polecił przesłać sobie plany jak najprędzej i, ukłoniwszy się panu Clarke, opuścił jego gabinet wyśpiewując pod nosem „Jankee-Doodle”.

ROZDZIAŁ II ŚMIAŁE ZAMIARY

Zbudowanie teleskopu, którego koszt miał wynosić dziesięć milionów dolarów, z soczewką o dwumetrowej średnicy, jest to przedsięwzięcie zdolne obudzić sensację nawet w krainie młynów diabelskich o dziewięćdziesięciu pięciu metrach wysokości, tuneli podmorskich, sztucznych deszczów, fonografów, telefonów i innych nadzwyczajności.

Nie należy się przeto dziwić, iż wiadomość o „obstalunku” Brightona rozeszła się po Bostonie z taką szybkością, jak gdyby druty telefoniczne łączyły wszystkie domy tego pięknego miasta. W kwadrans po przytoczonej rozmowie znali już jej treść wszyscy robotnicy w zakładach firmy „Alvan Clarke and Sons”; w godzinę później wieść, wyszedłszy ze szlifierni, dotarła do reporterów, a za ich pośrednictwem ukazała się jeszcze tego samego wieczora w kilku dziennikach miejscowych.

Nazajutrz przeniknęła już dzięki prasie do wszystkich dostrzegalni astronomicznych całych Stanów.

Być może, że jedno tylko Obserwatorium Licka otrzymało ją równocześnie z Europą, z powodu swego odosobnionego położenia na szczycie Góry Hamiltona. Ludzie, których dwumetrowy teleskop i astronomia nie interesują tak bardzo, jak na przykład nowa, udoskonalona armata, przyrząd do pośpiesznego nadziewania kiełbas, nowego systemu cygarniczka, świeżego fasonu cylinder jedwabny lub inne jakieś ulepszenie w dziedzinie techniki — czytali wiadomość tę obojętnie, wruszając z politowaniem ramionami; sprytniejsi zaś wpadali na przypuszczenie, iż mister Brighton, znany ze swego zmysłu do spekulacji, zamierza wybudować kolosalny teleskop dla celów zupełnie praktycznych.

Tak olbrzymie narzędzie pozwoli niewątpliwie dostrzec wiele ciekawych szczegółów na powierzchni Księżyca i na niebie; takich zaś obywateli, którzy by za kilka dolarów pragnęli zobaczyć coś nadzwyczajnego, znalazłoby się w Stanach niemało, panorama niebios mogłaby więc nie tylko zwrócić wyłożone na nią miliony, lecz nadto dać pokaźne zyski.

Na giełdzie, gdzie oceniano cokolwiek trafniej potęgę teleskopów, wiadomość o czynie Brightona wzniesła poważne obawy, a nawet wywołała spadek akcji kopalni srebra o pięć dolarów. Koledzy milionera w tym postępku widzieli objaw marnotrawstwa lub też, co gorsza, niezrozumiałe dziwactwo "króla srebra", co, rzecz prosta, nie mogło wpłynąć dodatnio na papiery, którymi on głównie obracał.

Była to jedyna od lat kilkunastu chwila, w której zaufanie sfer finansowych do mister Brightona i do jego korzystnych interesów zachwiało się.

To przykre wrażenie nie trwało jednak długo, gdyż „król srebra” ani myślał o rzuceniu na rynek akcji będących w jego posiadaniu; dowodziło to, że nie potrzebował gotówki. Obstatunek, o którym mówiono jak o szaleństwie, nie nadwerżył więc wcale, jak się zdaje, jego kieszeni.

Milioniar, zjawiwszy się na giełdzie w kilka dni po swej wizycie u Alvana Clarke, nie odczuł już najłżejszej nieprzychylności. Sfery finansowe oceniły ostatecznie zamówienie olbrzymiego teleskopu jako nieszkodliwy wybryk człowieka mającego za dużo pieniędzy.

Za to prasa i opinia publiczna przypisywały Brightonowi najdziwaczniejsze zamiary. Posądzono go nie tylko o chęć zrobienia złotodajnego interesu, lecz twierdzono także, iż pragnie wywołać zazdrość w świecie naukowym.

O ile nam wiadomo — pisała „Daily Gazette” — mister Brighton nie objawił zamiaru podarowania zamówionego teleskopu żadnemu towarzystwu naukowemu ani uniwersytetowi. Może uczyni to w niedalekiej przyszłości, obecnie jednak nie słychać jeszcze nic o przeznaczeniu kolosalnego narzędzia. Prawdopodobnie zatem milioner pragnie zatrzymać dla siebie dwumetrowy refraktor. Czy pójdzie śladami Herschla? Wątpimy, albowiem mister Brighton nie zajmuje się wcale nauką.*

Czy zawezwie do założonego przez siebie obserwatorium specjalistów astronomów i powierzy im badania w pewnym kierunku? Nie potrafimy odpowiedzieć na to. Wyobrażamy sobie jednak, jakie wrażenie w świecie naukowym wywołałby „król srebra” zostawiając największy w świecie teleskop do swego wyłącznie rozporządzenia. Przeświadczenie, iż mister Brighton może w każdej chwili widzieć na niebie szczegóły niedostrzegalne nawet w Obserwatorium Licka — oddziaływałoby przygnębiająco na astronomów całego świata.

Nasz milioner, dostrzegłszy nowego satelitę Uranusa, nową planetę lub coś podobnego, mógłby podzielić się swą zdobyczą z nami lub też, dla prostego kaprysu, pozostawić ją dla siebie. Ostatecznie więc zdobyłby sobie stanowisko wyroczni w sferze królowej nauk, mógłby odgrywać względem wszystkich astronomów cywilizowanego świata rolę nauczyciela, zabezpieczyłby sobie pierwszeństwo najdonioślejszych odkryć — i to tylko dzięki swym milionom.

Każdy astronom musiał przyznać zupełną słuszność wywodom tego dziennika; toteż w odnośnych kołach rozdziło się rozgoryczenie. Niektóre poważniejsze pisma domagały się, ażeby rząd bezzwłocznie wyasygnował piętnaście milionów na równie potężny albo jeszcze potężniejszy refraktor i kazał natychmiast przystąpić do robót, aby oszczędzić astronomom Stanów czekającego ich upokorzenia.

Nie brakło także głosów wzywających do wywłaszczenia Brightona z przyrzędu, który powinien się znajdować w posiadaniu jednej z narodowych dostrzegalni.

Trafiały się jednak zdania przychylnie dla milionera, jak na przykład artykuł profesora Davisa w „Weekly Magazine”.

Spółeczeństwo nasze — pisał szanowny dyrektor obserwatorium w Cincinnati — otrzyma z rąk znanego milionera, mister

** Jan Fryderyk Wilhelm Herschel (1792—1871) — astronom i fizyk angielski.*

Brightona, wspomniały podarunek, który pozwoli rozszerzyć znakomicie widnokręgi wiedzy astronomicznej. Do niedawna jeszcze teleskop o dziewięćdziesięciosześcioletniej soczewce, ustawiony na Górze Hamiltona, uchodził za ostatni wyraz techniki współczesnej; dziś sławna i zasłużona firma Clarke zabiera się z polecenia mister Brightona do budowy refraktora dwakroć potężniejszego.

Czyż można choć w części przewidzieć odkrycia, jakich dokonamy za pomocą tego kolosa, który według naszych szczegółowych obliczeń powinien zbliżyć aż cztery tysiące razy ciała niebieskie?

Uprzystępnia on oku nowe, nie znane dotąd światy, pozwoli zbadać dokładniej powierzchnię planet, tajemnice Drogi Mlecznej, rozstrzygnie wiele innych, niezmiernie ważnych kwestii. Księżyc, nieodłączny towarzysz Ziemi, będzie widzialny przez teleskop mister Brightona tak, jak gdyby znajdował się tylko w odległości piętnastu mil od nieuzbrojonego oka. Żaden więc przedmiot na jego powierzchni o średnicy większej niż trzydzieści pięć metrów nie ujdzie już naszej uwagi. Będziemy mogli dostrzec na Księżycu nie tylko rzeki, miasta i wsie, ale nawet pojedyncze domy, jeżeli tylko takowe na nim istnieją. Nasz sąsiad. musi nam niebawem odsłonić ostatnie tajemnice. Wydrzemy mu je dzięki wspaniałomyślności mister Brightona, który nie wahał się poświęcić olbrzymiej sumy dziewięciu milionów dolarów w celu wzbogacenia wiedzy. Należy mu się to uwielbienie od każdego światłego obywatela.*

Artykuł ten, podpisany przez znanego astronoma, sprawił silne wrażenie. Gdyby tylko mister Brighton przeczytał go, nie ulega wątpliwości, iż rzekłby się swych egoistycznych zamiarów. Czyż jednak „Weekly Magazine” wpadł mu do ręki? Tego nikt nie wiedział. Dlatego też wpływ wspomnianego artykułu na jego postanowienia pozostał zupełnie nie znany. „Król srebra” nie uznał za stosowne wypowiadać się przed kimkolwiek ze swych zamiarów i milczał uparcie, pozostawiając szerokie pole domysłom wszelkiego rodzaju. Nie protestował nawet przeciw naj-zjadliwszym plotkom, które o nim krążyły.

** Mila angielska = 1609 m.*

Ta okoliczność spotęgowała jeszcze bardziej ogólne zaciekawienie. Kilku reporterów poważniejszych bostońskich dzienników ośmieliło się nawet zapukać do drzwi wspaniałego pałacu milionera, leżącego w pośrodku miasta. Odprawiono ich jednak stamtąd z kwitkiem. Brighton otaczał sprawę teleskopu nieprzeniknioną tajemnicą.

Sam Alvan Clarke nie potrafił także dać najmniejszych wskazówek co do przeznaczenia budowanego przez siebie przyrządu. Był on zresztą pewny, iż refraktor służyć będzie do obserwacji astronomicznych, a kwestia, kto go będzie używał, nie miała dla niego żadnego znaczenia. Chcąc wywiązać się z danego przyrzeczenia, zabrał się z nadzwyczajną energią do pracy, którą ułatwiały mu znakomicie olbrzymie środki materialne, jakimi rozporządzał.

Dowiedziawszy się o zamówieniu na nowy refraktor, rozmaici astronomowie starali się zjednać sobie względy milionera. Wszystkim uśmiechało się stanowisko dyrektora lub chociażby tylko asystenta w

największym w świecie obserwatorium. Mieć dostęp do dwumetrowego refraktora — to pierwszy krok do świetnej naukowej kariery, do sławy...

Brighton obudził w sferach naukowych całą gamę pragnień, wywołał niezliczone zabiegi i intrygi. Codziennie prawie otrzymywał po kilka listów, w których mniej lub bardziej znani astronomowie ofiarowywali mu swoje usługi.

Wszystkie te oferty pozostawały jednak bez odpowiedzi, co według zdania zainteresowanych potwierdzało złośliwe pogłoski o zamiarach „króla srebra”.

Niebawem utrwaliło się powszechne przekonanie, iż Brighton knuje karygodną intrygę, dążąc widocznie do stworzenia „astronomii prywatnej”.

Potępieno to rozpasanie kapitału, lecz nie znaleziono żadnego na nie środka.

Wrzawa wywołana zamówieniem kolosalnego teleskopu ucichłaby jednak po pewnym czasie, gdyby nie inny fakt, który w oczach osób zainteresowanych nabrał bardzo doniosłego znaczenia.

Oto Brightona spotykano często w towarzystwie Edwina Hartinga, byłego asystenta przy bostońskim obserwatorium. Kim jest Harting? Zadajmy to pytanie któremukolwiek poważnemu astronomowi, a ten wzruszy niezawodnie z lekceważeniem ramionami.

— Harting, autor dzieła „Sąsiedzi Ziemi”, hm!... To niebezpieczny dla nauki fantasta, który całkiem poważnie mówi o mieszkańcach Wenus i Marsa, a miesząc fakty dowiedzione z ryzykownymi hipotezami — obalamuca łatwowierny ogół.

Ów obalamucony ogół, nie mający nic wspólnego z uczonymi astronomami uznającymi tylko prawdy stwierdzone rachunkiem i zmysłami, na pewno mówiłby nam o Hartingu jako o człowieku genialnym, który potrafił dotrzeć poza granice zasięgu teleskopów i odkrył przed swymi czytelnikami nowe światy. We wspomnianym dziele Harting dowodził, iż Mars i Wenus są siedliskiem istot, których organizacja musi być bardzo podobna do ludzkiej. Wychodząc ze znanej biologicznej zasady, iż formy organiczne muszą być przystosowane do warunków swego otoczenia, odważył się on nawet opisać hipotetycznych Marsjanów i Wenusyjczyków, czym ściągnął na siebie gromy oburzenia całego świata naukowego.

Uczeni odwrócili się odeń, twierdząc, iż fałszuje zdobycze astronomii, że jest spekulantem, blagierem, że wyzyskuje nieświadomość mas... Nie było zarzutu, którego by nie czyniono autorowi „Sąsiadów Ziemi”. Harting nie wyparł się jednak swych poglądów.

Zrażony prześladowaniami i lekceważeniem, usunął się z obserwatorium i poświęcił wyłącznie badaniom spektroskopowym, które prowadził za pomocą własnych środków.

Był to człowiek w każdym razie niepospolity; jego szeroka i zapalna wyobraźnia odstraszała astronomów, lecz wywierała silny wpływ na inteligentny ogół.

Czyżby i „król srebra” dał się złapać w siatkę fantasmagorii i poświęcił swe miliony na zbudowanie teleskopu potrzebnego do sprawdzenia domysłów Hartinga?

Przypuszczenie to, wielce prawdopodobne ze względu na widoczną zażyłość Brightona z autorem dzieła „Sąsiedzi Ziemi”, rozdrażniło do najwyższego stopnia wszystkich astronomów.

— Jak to — wołano z oburzeniem — ten blagier będzie sam jeden operował lunetą, jaką nie rozporządza żadne obserwato

rium na całym świecie?! Ma zmonopolizować dla siebie sławę odkryć astronomicznych?! Tego już za wiele, doprawdy!

Królowa nauk stanie się zbiorem bajek i urojeń osłoniętych urokiem kolosalnego teleskopu. Któż je będzie mógł obalić, jeśli Harting nie dopuści żadnego kolegi do swej dostrzegalni?

Ubolewaniom tym nie było końca; powtarzano je codziennie na rozmaite tony, nie szczędząc najbardziej gryzącej ironii nieszczęsnemu autorowi „Sąsiadów Ziemi”.

Pisma humorystyczne wzięły niebawem udział w tym prześladowaniu. Wyobrażano w nich Hartinga odbywającego podróż balonem na Marsa; opisywano w komiczny sposób mieszkańców tej planety; opowiadano przygody, jakich doznawali Brighton i jego przyjaciel w odkrytym przez siebie świecie... Cała ta sprawa dostarczyła niewyczerpanego źródła dowcipów ciężkich i lekkich, głupich i zręcznych. Bawiono się doskonale kosztem naszych bohaterów.

Wszystko to jednak nie rozjaśniło ani trochę sytuacji; nie przestawano łamać sobie głowy odgadując cel, w jakim „król srebra” wydawał dziewięć milionów na teleskop.

Przeczuwano wyraźnie, iż dolary mister Brightona i nieokiełznana, zuchwała fantazja Hartinga gotują ludzkości jakąś sensacyjną niespodziankę.

Ale jaką, jaką?

Podsycana przez prasę ciekawość ogółu rosła ciągle i gwałtem dopominała się zaspokożenia.

ROZDZIAŁ III ZAPOZNAJEMY SIĘ Z TOMEM TABBEM

Tajemniczość, jaką „król srebra” otaczał swoje zamiary, dała się w końcu we znaki dziennikom. Wszystkie redakcje zarzucone były tysiącami zapytań dotyczących zamówionego teleskopu i jego przeznaczenia. Reporterzy byli w rozpacz. Pomimo bohaterских wysiłków i podstępów wszelkiego rodzaju nie udało im się dostarczyć najdrobniejszego choćby szczegółu, który by można było rzucić chciwym wiadomości czytelnikom. Wywiady, jak to już nadmieniliśmy, nie zdały się na nic, gdyż ani Brighton, ani Edwin Harting nie przyjmowali żadnego dziennikarza, trzymając w najściślejszym sekrecie swe plany. W całym Bostonie nie było oprócz nich żadnego człowieka, który by mógł cokolwiek powiedzieć w tej sprawie.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać dłużej, żeby nie przynieść ujmy amerykańskiemu dziennikarstwu słynącemu, jak wiadomo, z szybkości i dokładności udzielanych informacji.

Żaden reporter nie brał jednak do serca całej tej historii tak bardzo, jak pan Tomasz Tabb, długoletni współpracownik „Echa”, najpoczytniejszego dziennika w Bostonie.

Pan Tabb był reporterem z powołania i miał wszystkie przymioty potrzebne w tym trudnym zawodzie. Jego spryt budził zazdrość powszechną. Nie było po prostu miejsca, do którego Tomasz Tabb nie potrafiłby się dostać pomimo największych przeszkód. Wszystkie drogi były dlań dobre, kiedy chodziło o zdobycie sensacyjnej wiadomości dla „Echa”. Nie cofał się przed niczym. Bez wahania nadstawiał swą skórę, jeżeli tylko było to konieczne. Żadna awantura, żadna bójka nie obyła się bez niego, był niezawodnie obecny przy każdym znaczniejszym

pożarze, wybuchu, powodzi lub innej jakiej katastrofie mogącej obudzić zaniepokojenie — brał udział w poszukiwaniach głośnych złoczyńców i nieraz odnajdywał ich wprzód aniżeli policja śledcza — słowem, nie ominął żadnej sposobności. Wyrastał jak spod ziemi wszędzie, gdzie odbywało się coś nadzwyczajnego, prowadzony przez swój fenomenalny „węch”, który go nigdy nie zawodził. I rzecz dziwna: ze wszystkich najdrażliwszych i najniebezpieczniejszych sytuacji, w jakie wikał się co dzień dla dobra swego dziennika — wychodził cało. Ileż to już razy opłakiwano jego śmierć, sądząc, iż zginął na stanowisku, ale gdzie tam! Dzielnym mister Tabba zjawiał się w końcu z opisem własnych przygód, często najnieprawdopodobniejszych, i zakomunikowawszy je redakcji, powracał do miasta, jak gdyby mu się nic nie przytrafiło!

Gorliwy był do tego stopnia, iż niezawodnie sam wywołałby jakąś katastrofę, choćby z narażeniem życia, gdyby „Echo” nie miało o czym pisać.

Mówiono o nim, że jest pozbawiony ambicji i wraca oknem, kiedy go wyrzucić drzwiami, że nie przebiera wcale w środkach, byleby dopiąć celu, ale to wszystko, zdaniem redaktora, potwierdzało tylko reporterskie zdolności Tabba.

To pewna, że bez Tomasza Tabba „Echo” nie byłoby „Echem”, to jest, nie miałoby ani czwartej części czytelników, którymi dziś się szczyci.

Najzdolniejszy z reporterów bostońskich, pan Tabb, jak to powiedzieliśmy, nie mniej od swych kolegów był zaniepokojony postępowaniem Brightona. Kilkakrotnie próbował nawiązać z nim rozmowę na ulicy i na giełdzie, ale daremnie. „Król srebra” albo nie odpowiadał na zadawane pytania, albo wykręcał się monosylabami, z którymi najsprytniejszy nawet reporter nie potrafiłby nic zrobić. Ostatnim razem milioner odesłał po prostu Tomasza Tabba „do wszystkich diabłów”. Taka odprawa przekonała naszego dziennikarza, iż prostą drogą niczego się nie dowie.

Brighton widocznie postanowił, w celu jakichś niezrozumiałych dla nikogo powodów, trzymać język za zębami. Edwin Harting, jedyny, jak się zdawało, jego powiernik, również ściśle zachowywał tajemnicę. Do kogóż więc miał się udać Tabb? Do Alvana Clarke'a? Ależ ten nic nie wiedział, prócz tego, że teleskop powinien być ukończony najpóźniej w przeciągu czternastu miesięcy.

Tabb, wiedziony swym reporterskim węchem, przypuszczał, iż milioner nosi się z daleko sięgającymi planami, w których teleskop będzie odgrywał tylko podrzędną rolę, i te domysły podniecały jeszcze bardziej jego gorliwość.

— Muszę się dowiedzieć o wszystkim — powtarzał sobie co chwilę — choćby mi przyszło za pomocą rewolweru wydrzeć tajemnicę temu robigroszowi.

Uczyniwszy takie postanowienie, pan Tomasz Tabb zamknął się na cały dzień w swym gabinecie, ażeby obmyślić plan działania. Przywodził sobie na pamięć wszystkie podstępny, jakich już użył kiedyś w podobnych wypadkach, żaden z nich jednak nie był pewny i nie prowadził dość prędko do celu.

— Gdyby oni przynajmniej coś robili — mówił sam do siebie, wymachując rękami — ale gdzie tam! Czekają na swój teleskop z założonymi rękami, poprzestając na paplaninie. Nawet podsłuchać ich niepodobna, zawsze jeżdżą powozem i nie odwiedzają nigdy razem miejsc publicznych.

Zakraść się chyba do domu, wleźć do szafy, pod łóżko lub w inną jakąś dziurę?

Ba! Pałac Brightona to prawdziwy labirynt strzeżony przez stu cerberów w liberii. Harting mieszka co prawda skromnie, ale „król srebra” nigdy doń nie zagląda. Prawdopodobnie narady odbywają się w gabinecie milionera.

Ha, spróbujmy jednak zbadać teren!

Pan Tabb powędrował tedy do pałacu Brightona. Zamiast jednak wejść od frontu, zakradł się tylnymi schodami, upatrując jakiegokolwiek lokaja, od którego można by było zasięgnąć języka.

Dolary, którymi rozporządzał, ułatwiały mu niezmiernie przedsięwzięcie. W pół godziny potem rozmawiał już przy kieliszku wódki w pobliskiej restauracji z mister Dickiem, kamerdynerem milionera.

— Nie pogardziłbyś pan zapewne niezłym i łatwym zarobkiem — rzekł po drugiej kolejce, mrugając zachęcająco oczami. Kamerdyner uśmiechnął się rozkosznie.

— To bardzo, bardzo dobrze — mówi dalej Tabb, klepiąc po ramieniu swego towarzysza. — Znasz się, jak widzę, na wartości dwudziestopięciodolarówek, co jest pierwszym i najważniejszym warunkiem do zrobienia milionów. Zdaje się jednak, że Brighton ma ich za wiele, skoro wydaje cały majątek na jakiś tam teleskop. Na co, u diabła, przyda mu się taki drogi grat?

Kamerdyner przyłożył znacząco do czoła palec i pokiwał z politowaniem głową.

— Bzik? Doprawdy? — zagadnął ze współczuciem Tabb. — No, ale w każdym razie teleskop musi mieć swe przeznaczenie, hę?

— O tym, oprócz pana Hartinga, nikt nie wie.

— Ba, nawet pan nie wiesz?! — zawołał z odcieniem zawodu w głosie reporter.

— Tak, nawet i ja — odparł kamerdyner wzdychając. — Brighton zamyka na klucz pokoje przyległe do swego gabinetu, ilekroć przyjdzie Harting. Podłuchać więc nie sposób.

— Cóż u licha?! Przecie w którymkolwiek z tych pokoi musi się znajdować szafa, kominek, kanapa albo jakaś dziura. Zapłaciłbym chętnie pięćdziesiąt dolarów za takie miejsce.

— Gdzie tam! Nie ma żadnej kryjówki, a zresztą nie na wiele by się ona przydała, bo pan Harting rozmawia z moim panem bardzo cicho.

— Dałbym nawet siedemdziesiąt pięć dolarów.

— Nie ma, doprawdy.

— Sto dolarów!

— Nie ma, choćbyś pan dawał sto tysięcy nawet!

— A w samym gabinecie? — pytał dalej Tabb. — Dałbym dwieście dolarów za miejsce pod stołem albo w szafie.

— Nie ma nigdzie żadnej dziury. Gdybyś pan był o połowę mniejszy, to mógłbyś się ukryć pod biurkiem, gdzie znajduje się trochę wolnej przestrzeni.

Reporter zerwał się.

— Ile, ile?! — zawołał.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się kamerdyner. — Przecież pan tam nie wleziesz. Najwyżej zmieściłby się tam pies.

— Zamawiam sobie jednak to miejsce za dwieście dolarów! — rzekł Tabb.

— Zgoda! — odparł rozweselony kamerdyner. — Ale dla kogo?

— Chcę postawić tam małe pudełko na czas, w którym mister Brighton będzie rozmawiał z Hartingiem.

— Pudełko! Czy aby nie z machiną piekielną?!

— Głupstwo! Małe pudełko, najniewinniejsze w świecie. Dziś jeszcze dostarczę je; na chwilę przed przybyciem Hartinga przy-ciśniesz pan guziczek metalowy, który znajdziesz na nim z boku.

— Pan Harting ma przyjść w piątek.

— Tym lepiej; odeślesz mi pan pudełko w sobotę jak naj-raniej.

— Możesz mi pan zaręczyć, iż pańskie pudełko nie wyrządzi żadnego figla ani Brightonowi, ani Hartingowi?

— Cóż znowu?! Odpowiadam za ich całość swoją własną skórą. Oto sto dolarów zaliczki...

— Przepraszam, ale powiedz mi pan jeszcze, czy pudełko to nie będzie zawierało czasem jakichś odurzających gazów lub płynów?

— Broń Boże!

— Więc po co chcesz je pan wstawić pod stół?

— To moja rzecz. Bierz zadatek, mój przyjacielu, i spraw się dobrze; pamiętaj! Trzeba przycisnąć na chwilę przed nadejściem Hartinga metalowy guziczek.

— Będę pamiętał.

— Dziękuję.

I Tabb, uściskawszy rękę kamerdynera, wybiegł z restauracji podskakując z radości.

Znalazłszy się na ulicy wyjął z kieszeni notatnik, szukał w nim przez chwilę jakiegoś adresu i znalazłszy go nareszcie, wszedł do elektrycznego tramwaju, który właśnie przejeżdżał mu tuż pod nosem.

— Ulica Dziesiąta, numer sto siedem, trzysta dolarów — mrucał. — Hm, to się policzy redakcji; nic wielkiego!

Kiedy party niewidzialnym motorem tramwaj znalazł się na Dziesiątej Ulicy, Tabb wyskoczył zeń, przy czym o mało co nie upadł. Nie zważał jednak na nic, jednym susem stanął na chodniku przed sklepem, ponad którego drzwiami widniał napis: „Edi-son's Phonograph Company”, i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ IV NOWE ZASTOSOWANIE FONOGRAFU

Błonka ze sztyfcikiem kreśląca pod wpływem drgań powietrza drobniutkie punkciki na powierzchni obracającego się woskowego cylindra... czyż może być coś prostszego w zasadzie?! Chyba nie... A jednak takie urządzenie, noszące nazwę fonografu, stanowi chlubę słynnego z wynalazków XIX wieku. Za pomocą tego cudownego narzędzia możemy uchwycić w lot i zakląć na zawsze niestałe, nie ujęte dźwięki mowy ludzkiej i tony muzyczne, pieszczące ucho, i szmery, których byśmy nigdy nie zdołali powtórzyć.

Kawałek wosku, pokryty niedostrzegalnymi dla gołego oka znakami, staje się rzeczą prawdziwie godną podziwu, zawiera bowiem w sobie żywe słowo, które wyszło z ust wczoraj, przed miesiącem, przed rokiem nawet i w każdej chwili może je powtórzyć z łudzącą dokładnością.

Chciecie wskrzesić zastygłe na cylindrze słowa? Nic łatwiejszego! Wprowadźcie tylko w ruch nasz fonograf. Wtedy sztyf-cik wpadając w zagłębienia znajdujące się w wosku wprawi w drganie błonkę i jesteście świadkami zjawiska odwrotnego. Błonka, do której mówiliście kiedyś, powtarza teraz wasze własne słowa. Ba, nie tylko wasze własne!

Fonograf odtworzy wam równie dokładnie mowę, którą przed nim wypowiedział przed paru miesiącami, choćby na drugiej półkuli, ktoś inny. W odtwarzanych dźwiękach od razu poznacie głos waszego znajomego, śpiew Patti, melodię z opery lub zgrzyt narzędzi w fabryce, zależnie od tego, jakie drgania wpadły kiedyś do fonografu, który macie przed sobą.

Mowę ludzką, zaklętą w fonografie geniuszem Edisona, możecie przенosić, przewozić, przysyłać komukolwiek i dokąd się wam podoba. Postawcie niepostrzeżenie to cudowne narzędzie w pobliżu osoby mówiącej, a zdołacie uchwycić jej słowa, nawet wbrew jej woli i pomimo jej wiedzy.

Z tych wyjątkowych zalet fonografu skorzystał niezmiernie dowcipnie pan Tomasz Tabb w celu wykradzenia sekretu „królowi srebra” i jego towarzysowi. Nie mogąc dotrzeć we własnej osobie do gabinetu Brightona, przebiegły reporter powziął myśl przesłania tam fonografu, który wywiązał się doskonale z włożonego nań zadania.

Ani milioner, ani Harting nie przypuszczali, iż rozmowa, jaką prowadzili przy starannie zamkniętych drzwiach, dojdzie kiedykolwiek do obcych uszu; a jednak stało się tak: fonograf, zręcznie ukryty pod biurkiem, przy którym siedzieli obaj, a wprawiony w ruch w odpowiedniej chwili przez kamerdynera, chwycił w lot każde ich słowo i z największą dokładnością notował je na użytek Toma Tabba, który w ten sposób podsłuchiwał rozmowę prowadzoną w jego nieobecności.

W sobotę o godzinie ósmej rano reporter otrzymał z rąk kamerdynera Brightona powierzony mu przez siebie zdradziecki przyrząd i, zapłaciwszy jeszcze sto dolarów, z niecierpliwością zabrał się do wysłuchania narady, która miała miejsce ubiegłego dnia pomiędzy milionerem a młodym astronomem.

Zamknawszy na klucz drzwi od swego pokoju, pan Tomasz Tabb postawił fonograf na stole, przygotował sobie parę dobrze zatemperowanych ołówków, papier do notatek, następnie usiadł i założył na uszy trąbkę do słuchania.

Teraz mógł swobodnie pod dyktando przyrzędu zapisać za pomocą stenografii całą rozmowę. .

— Ha, ha, ha! — zawołał naciskając guzik wprawiający w ruch motor elektryczny fonografu. — Jestem ciekaw, jaką minę będzie miał nasz milioner, kiedy przeczyta na szpaltach naszego dziennika tę rozmowę z najdrobniejszymi szczegółami. Uwierzy niezawodnie w telepatię, jeżeli choć cokolwiek o niej słyszał. No, ale oto zaczyna... uwaga więc!

Zmniejszywszy szybkość obrotu cylindra, Tabb zmusił fonograf do wolnego mówienia, obawiał się bowiem, czy zdąży wszystko zanotować.

Dokładna znajomość stenografii, bez której żaden porządny reporter amerykański obejść się nie potrafi, pozwoliła mu jednak przenieść na papier większą część rozmowy.

Na nieszczęście w notatkach musiały z konieczności powstać duże luki, fonograf bowiem nie zanotował dość wyraźnie tych wszystkich zdań, które były wymówione zbyt cicho lub zbyt daleko od niego.

Natrafiony na takie niezrozumiałe miejsca, Tabb powtarzał je raz jeszcze, ale nie na wiele się to przydało — słyszał bowiem tylko niejasny szmer, którego znaczenia nie mógł się w żaden sposób domyślić.

Dowodziło to, iż milioner i Harting rozmawiali przechadzając się po gabinecie.

Tabb musiał się pogodzić z tymi brakami, miał zresztą nadzieję, że uda mu się odgadnąć cośkolwiek. Notował więc skwapliwie.

W miarę tego, jak słuchał, twarz jego przybierała wyraz zdziwienia, które niebawem przeszło w prawdziwe zdumienie.

— Światło? — mruzczał. — Elektryczność? Hm... lampa elektryczna o sile miliona świec, nie — dziesięciu milionów! Co to za brednie?! Nic a nic nie rozumiem!

I szanowny pan Tomasz Tabb rozkładał ręce, wzruszał ramionami, śmiejąc się z politowaniem, zupełnie jak gdyby miał do czynienia z kimś, kto jest niespełna rozumu...

— A to znowu co?! — zawołał nagle. — Światło widzialne z odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów?! Ten Harting zwariował chyba, tak! O sile stu milionów świec! Doskonale! Brawo!

Tu mister Tabb zerwał się gwałtownie z krzesła i, zatrzymawszy fonograf, zaczął biegać jak oparzony po pokoju.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli choć trochę rozumiem, o co chodzi tym wariatom! Mówią o konieczności zapalenia lampy elektrycznej, która by dawała światło dziesięciu milionów świec, a zużywałaby prąd o sile czterdziestu tysięcy watów. Na co im takie kolosalne światło? Kto ma je dostrzec w odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów?! No, ale słuchajmy dalej, to się wyjaśni.

I pan Tabb powtórnie zasiadł do fonografu, zaciekawiony do najwyższego stopnia początkiem rozmowy pomiędzy Hartingiem a Brightonem.

Dalszy ciąg jej był jednak równie zagadkowy; Tabbowi wpadały do uszu zdania najdziwaczniejszej treści, pełne naukowych i technicznych terminów.

Harting co chwila wspominał o „łuku elektrycznym”, o „ab-sorbcyjnej zdolności atmosfery”, wplątując w to wszystko jakieś kolosalne liczby... miliony kilometrów, miliony świec i tym podobne, niepojęte dla Tabba, rzeczy.

Ze wszystkiego reporter nasz zrozumiał tyle tylko, iż Hartin-gowi chodziło o wytworzenie elektrycznego światła niesłychanej siły.

Ale w jakim celu?

Tego reporter nie mógł dociec.

Notatka stenograficzna wyglądała jak urywek z naukowego traktatu o świetle, optyce i elektryczności. Tabb nie tracił jednak cierpliwości; odpoczywając od czasu do czasu, zapisywał wszystko, co fonograf szeptał mu do ucha, nie opuszczając żadnego wyraźniejszego słowa.

— Więc ostatecznie dwadzieścia milionów świec w jednym punkcie uważasz pan za minimum? — zagadnął Brighton.

— Tak jest!

— A ileż takich światel potrzeba?

— Chociażby z dziesięć.

— To znaczy dwieście milionów świec razem? Zaraz zobaczymy, jakich maszyn należałoby użyć do tego. Pokaż mi pan notatki Nodda.

— Oto są!

W tej chwili Tabb usłyszał w fonografie szelest przewracanych kartek, odtworzony z ludzającym podobieństwem. Rozmawiający przez długą chwilę przeglądali jakieś papiery, robiąc półgłosem obliczenia, które przyrząd powtarzał niewyraźnie.

Czasem tylko reporterowi wpadł w ucho wyraz „amper”, „maszyna dynamo”, „lokomobila” lub inny techniczny termin.

— To niepodobieństwo! — wykrzyknął wreszcie milioner. — Na takie urządzenia całego mego majątku byłoby za mało!

— Czyżby? — zagadnął Harting głosem, w którym dźwięczało niezadowolenie.

— To łatwo przecie przewidzieć. Patrz pan, maszyny parowe, podług obliczeń Nodda, musiałyby rozwijać siłę półtora miliona koni. Bagatelka!

— Więc?

— Albo ja wiem! — odparł milioner. — Zaczynam dochodzić do wniosku, iż porwaliśmy się z motyką na słońce.

— Nie chcesz pan chyba cofnąć się?

— Nie, lecz wiem, iż głową muru nie przebiję. Znajdź pan inną drogę prowadzącą do celu.

— Nie znam innej.

— Dlaczegoż upierasz się pan przy świetle elektrycznym? Zdaje mi się, że zwykle ogniska, ze smoły na przykład lub z nafty, mogłyby nam oddać taką samą usługę.

- Dobrze. Zapal pan miliony beczek nafty rozlane na dużym jeziorze, mającym powierzchnię kilkudziesięciu tysięcy hektarów, tak jednak, ażeby dym nie tłumiał światła.

— Wymagasz pan rzeczy niewykonalnych.

— W takim razie oddaj pan na pastwę pożaru dziesięć tysięcy hektarów lasu.

— Dajmy pokój żarcikom, kochany panie Harting, a powiedz mi pan, czy prócz światła elektrycznego nie ma jakiego innego, mniej kosztownego, lecz równie silnego?

W tej chwili fonograf ucichł; w gabinecie panowało snadź milczenie. Harting namyślał się, co odpowiedzieć, milioner zaś przechadzał się szybkimi krokami, które wprawiały w dziwne drgania błonkę przyrządu.

— Przyznam się panu — zaczął znów po jakimś czasie astronom — iż jestem bezradny. Nie cofnę się jednak nigdy, nigdy, choćby mnie to już nie miliony, ale życie kosztować miało! Spełnienia mego planu domaga się ludzkość, która pragnie, która musi wiedzieć, że nie jest sama jedna we wszechświecie! Ja ją o tym przekonam, ja!

Harting mówił z zapalem i tak głośno, iż każde jego słowo dźwięczało w fonografie jak srebrny dzwonek.

Tabb, zainteresowany do najwyższego stopnia tym, co słyszał, powstrzymywał oddech... Nareszcie miał dowiedzieć się tego, czego pragnął. Harting mimo woli zdradzał przed nim tajemnicę, której strzegł tak pilnie.

W kilka minut potem reporter podniósł się gwałtownie i nie zwracając uwagi na przewrócone przez siebie krzesło, schwycił z błyskawiczną szybkością swój kapelusz leżący na ziemi. Zdecydowanym ruchem nacisnął go na głowę i wybiegł na ulicę z szalonym pośpiechem.

ROZDZIAŁ V GENIUSZ CZY WARIAT?

— No, przynosisz pan sensacyjną wiadomość, nieprawdaż? — zagadnął z uśmiechem redaktor „Echa”, ujrzawszy zadyszanego i rozczochranego Tabba, który wpadł jak bomba do jego gabinetu i rzucił się na aksamitną kanapkę.

— Sensacyjną? Nie, panie, to jest wiadomość więcej aniżeli sensacyjna. To coś niesłychanego! To niespodzianka...

— Gadajże pan, do wszystkich diabłów, prędzej, o co chodził

— To da się krótko powiedzieć, panie redaktorze: Brighton dostał pomieszania zmysłów.

— Co-o-o-o?

— Zwariował!

— Co pan bredzisz?

— Zwariował, powiadam. Mam na to dowody! Zwariował do spółki z tym Hartingiem.

— Czego się pan dowiedział?

— Wszystkiego: całego ich planu. Sami mi go opowiedzieli bez swojej wiedzy.

— Nie rozumiem.

— Podслуchałem ich za pomocą fonografu.

— Masz pan, jak widzę, pomysły, na które nikt inny nie potrafiłby się zdobyć.

— Wiesz pan, o czym oni mówili?

— No?

— Ani mniej, ani więcej, tylko o przekazaniu telegramu na odległość pięćdziesięciu milionów kilometrów.

— Pięćdziesięciu milionów?! To paradne! A pod czym adresem, jeżeli wolno zapytać?

— Pod adresem Marsjanów.

— Nie słyszałem o takim narodzie, przyznam się panu.

— Pod adresem mieszkańców Marsa, planety Marsa! Ha, ha, ha!

— To rzeczywiście zakrawa na wariactwo... — rzekł redaktor poważnie. — Hm, wiadomość tego rodzaju wpłynie na giełdę i zrobi powszechne wrażenie. Czy znasz pan szczegóły owego zabawnego pomysłu?

— Piąte przez dziesiąte. Wiem tyle tylko, iż Brighton razem z Hartingiem zamierzają podawać sygnały optyczne z Ziemi w kierunku Marsa i nawiązać w ten sposób komunikację z mieszkańcami tej planety. Mówili, że do przeprowadzenia tego planu potrzeba im latarni elektrycznych o sile dwustu milionów świec.

— Hm, hm, to jest mniej więcej tyle, ile potrzeba na oświetlenie we wszystkich stanach razem! No, a dalej co?

— Harting chce wystawić w tym celu maszyny parowe, które by dawały siłę półtora miliona koni. Brighton odmówił, bo to przekracza jakoby jego środki.

— Ale skąd mu przyszło do głowy, że na Marsie znajdują się jakieś żywe istoty? To hipoteza tak samo dobra jak ta, iż z odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów można dostrzec światło latarni elektrycznej.

— Bah! Prawda, ale Harting wierzy święcie i w jedno, i w drugie.

— Na cóż więc obstalowali u pana Clarke teleskop za dziesięć milionów dolarów?

— Narzędzie to będzie prawdopodobnie odgrywało podrzędną rolę w całej tej sprawie; posłuży zapewne do badania powierzchni planety i odszukiwania na niej Marsjanów.

— I Brighton łoży miliony na takie rzeczy?

— Otworzył kredyt Hartingowi do wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów na koszty urządzenia owego światła, które mają jakoby dostrzec na Marsie tamtejsi astronomowie.

— Pomysł w każdym razie oryginalny! — rzekł redaktor. — Należy podać go niezwłocznie do publicznej wiadomości wraz z autentyczną rozmową spisaną z fonografu. To będzie interesowało wszystkich. Dziękuję panu!

— Za dwie godziny przyślę szczegółową notatkę wraz z fonografem na dowód, iż zamiary Brightona nie są kaczka dziennikarską.

— Dobrze. Zecer będzie czekał.

Tomasz Tabb był człowiekiem słownym. Nazajutrz w porannym numerze „Echa” pojawiła się znana nam rozmowa, jaką przed trzydziestu sześciu godzinami prowadzili pomiędzy sobą Brighton i Harting, zaopatrzona w komentarze, a zakończona ubolewaniem nad lekkomyślnością i marnotrawstwem milionerów.

Artykuł ten wywołał, rzecz prosta, jeszcze większą sensację aniżeli wiadomość o kolosalnym teleskopie. Zamówienie tak kosztownego narzędzia było kaprysem, plan nawiązania komunikacji z mieszkańcami Marsa zakrawał już na wariactwo. Toteż przyjaciele Brightona kiwali ze współczuciem głowami nad numerem „Echa”, w którym była podana owa wiadomość. Ogół wzruszał ramionami z politowaniem, astronomowie milczeli lub gniewali się za bałamucenie bredniami słabych, filisterskich umysłów, skłonnych uwierzyć wszystkiemu, co piszą w gazetach.

Znaleźli się jednak i tacy, którzy wzięli projekt Hartinga zupełnie na serio i zaczęli rozważać, czy byłby on możliwy do przeprowadzenia.

Trudno streszczać wszystkie oddzielne zdania, ograniczymy się więc do powtórzenia krótkiego, ale bardzo treściwego artykułu, który pojawił się w „Sun'ie”.

Czytelnicy nasi — pisał ów dziennik — wiedzą już zapewne o oryginalnym projekcie powziętym przez pana Hartinga, asystenta przy bostońskim obserwatorium astronomicznym. Nie będziemy się więc wdawali w powtarzanie wiadomości, która obiegła już całą prasę, lecz zastanowimy się nad owym projektem, który wszystkim prawie wydał się niedorzeczny.

Czy rzeczywiście tak jest? Co do nas, śmiało odpowiadamy, iż nie ma w nim nic niedorzecznego, przeciwnie, zasługuje na baczną uwagę.

Pan Harting przypuszcza, iż Mars jest zamieszkały. Dlaczego-góż by nie miało to być słuszne? Śmieszne byłoby przeświadczenie, iż sama tylko nasza Ziemia — marny pyłek w systemie słonecznym, atom niedostrzegalny we wszechświecie, upośledzony pod wieloma względami — jest siedliskiem istot żyjących! Życie przejawia się w tytu tak różnorodnych formach i tak rozmaitych warunkach fizycznych, iż zapewne wszędzie musi ono kwitnąć. Czyż nie spotykamy go w przepaściach oceanu, gdzie ciśnienie wody wynosi tysiące atmosfer i gdzie panują nieprzeniknione ciemności? Czyż nie dostrzegamy go w powietrzu na każdym pyłku?

Warunki fizyczne panujące na powierzchni Marsa nie różnią się tak bardzo od warunków, jakie spotykamy na Ziemi: siła ciężenia na tej planecie jest cokolwiek mniejsza, ale to nie może mieć ujemnego wpływu na życie organiczne; przeciwnie, okoliczność ta sprzyja jego rozwojowi. Najważniejszą dla wszelkich istot jest woda. Otóż płyn ten istnieje zdaje się na Marsie, podobnie jak i powietrze. Światło Mars otrzymuje od Słońca wprawdzie jedną trzecią tej ilości, co Ziemia, ale cóż to znaczy? Temperatura na powierzchni tego globu może pomimo to być taka sama jak u nas w Nowym Jorku, dzięki atmosferze, która pochłania i utrzymuje ciepło. Teleskop wykazuje nam istnienie na Marsie łądów i oceanów, dość wyraźnie od siebie oddzielonych, lodów podbiegunowych topniejących podczas lata, chmur unoszących się tak jak u nas w atmosferze. Dostrzeżono nawet na powierzchni tej planety gęstą siatkę linii, które mogą być kanałami urządzonymi ręką rozumnych istot. Hipoteza ta nie jest jeszcze poparta żadnymi faktami, ale nie można uważać jej za głupstwo.

Gdyby jednak owe tajemnicze linie wcale nie istniały, to i tak jeszcze niepodobna zaprzeczyć, iż powierzchnia Marsa wykazuje wszelkie cechy świata mieszkalnego, na którym istnieją warunki niezbędne do życia organicznego.

Nic nas przeto nie upoważnia do twierdzenia, iż na Marsie nie ma istot żywych; przeciwnie — mamy pewne dane, aby sądzić, iż znajdują się one na powierzchni sąsiada Ziemi.

Mars jest starszy od Ziemi; z tego wniosek, iż życie organiczne zaczęło się na nim wcześniej i doszło do wyższego stopnia rozwoju aniżeli na naszym globie. Inaczej mówiąc, gdyby ludzie mieszkali na tej planecie, to na pewno przewyższaliby nas pod każdym względem. Ich nauka byłaby głębsza, ich technika doskonalsza od naszej.

Pan Harting tedy wierzy w rzeczy zupełnie możliwe i prawdopodobne. Inna jednak kwestia, czy uda mu się wykonać plan powzięty.

Dać znać mieszkańcom Marsa o istnieniu na Ziemi rozumnych istot — zadanie to niełatwe; być może, iż przekracza ono nawet nasze środki. Zgadza się wszakże, iż można by je przeprowadzić za pomocą światła, które przebiega trzysta tysięcy kilometrów na sekundę i nie wymaga żadnych przewodników. Za pomocą tego lotnego posłańca można by zawiadomić naszych niebieskich sąsiadów o tym, iż Ziemia jest siedzibą inteligentnych stworzeń. Jaką siłę jednak musiałoby mieć światło, ażeby Marsjanie byli w stanie dostrzec je przez teleskopy, dajmy na to, trzykroć potężniejsze od tych, jakie my mamy dzisiaj?

Pobieżne obliczenia wskazują na to, iż natężenie punktu świetlnego nie mogłoby być mniejsze niż dwanaście do dwudziestu milionów świec.

Chodzi w istocie o to tylko, ażeby rozjaśnić na Ziemi, zwróconej nie oświetloną połową swej tarczy do Marsa, przestrzeń kilkudziesięciu kwadratowych mil geograficznych; taka jasna, okrągła plama byłaby na pewno widzialna na Marsie. I my przecież możemy widzieć satelitów naszego sąsiada, chociaż te drobne ciała niebieskie mają bardzo małą średnicę.

Pan Harting ma więc, jak widzimy, słuszość. Z kilku albo kilkunastu takich świetlnych punktów dałoby się ułożyć jakąś figurę geometryczną, która zapewne zwróciłaby uwagę astronomów na Marsie, jeżeli tylko ci ostatni istnieją w rzeczywistości.

Droga obrona przez Hartinga i Brightona jest wykonalna teoretycznie, w praktyce jednak wytworzenie kolosalnego światła, o jakim była mowa, nastęrczyłoby nieprzewyżnione trudności. Nie dziwimy się więc, iż nasi śmiali obywatele znajdują się w położeniu bez wyjścia. Sądzimy, że będą oni musieli zaniechać swego zamiaru i pozostawić jego wykonanie przyszłym pokoleniom, którym nauka da niezawodnie potrzebne po temu środki techniczne — środki, jakimi my jeszcze, niestety, nie rozporządzamy.

Bądź co bądź jednak, dalecy jesteśmy od wyśmiewania panów Hartinga i Brightona. Ludziom tym należy się moralne poparcie ze strony tych, którzy pozbyli się zarozumiałego przekonania, iż Ziemia jest środkiem wszechświata — wierzenia, które wobec dzisiejszego stanu naszej wiedzy jest śmieszne i dowodzi nieuctwa.

Zdania wypowiedziane w przytoczonym powyżej artykule usposobiły nieco przychylniej względem Hartinga i Brightona inteligentne sfery obywateli Stanów i pogłębiły zaciekawienie śmiałym planem.

Czy milioner i jego przyjaciel cofną się? Czy zdołają wbrew przekonaniu ogólnemu pokonać przeszkody? Czy znajdą środki do wykonania zuchwałego zamiaru i nawiążą stosunki z mieszkańcami Marsa?

Te pytania zadawał sobie każdy; odpowiedź na nie nie przychodziła jednak. Mister Brighton i jego towarzysz milczeli zawzięcie. Tomasz Tabb wiedział wszakże, iż nie dali oni za wygraną, lecz pracowali w tajemnicy. Czyżby Harting nie tracił nadziei i znalazł sposób rozniecenia morza światła, które miało ponieść w międzyplanetarne przestrzenie wiadomość o istnieniu naszej ludzkości?

Rozdział VI

ŚWIATŁA!

Na elektrycznym zegarze ratuszowym biła już godzina piąta rano, a Edwin Harting z pałającą twarzą, rozrzuconymi bezładnie włosami i piórem w drżącej od zmęczenia całonocną pracą ręce siedział jeszcze przy swym biurku, otoczony licznymi ćwiartkami papieru, na których widniały długie szeregi znaków używanych w wyższej matematyce.

Młody astronom był do tego stopnia pochłonięty swymi obliczeniami, iż nie zauważył nawet światła dziennego tłumiącego zupełnie blask elektrycznej lampki, która płonęła w gabinecie, ledwie dostrzegalna wpośród pałających promieni czerwonego słońca. Kiedy niekiedy rachmistrz sięgał po gruby tom leżący obok niego na krześle, wyszukiwał w nim jakieś współczynniki i znów zaczynał kreślić swoje różniczki i całki. Pilno mu było otrzymać ostateczne rozwiązanie zadania, nad którym mozolił się już od jedenastu godzin bez przerwy.

Jakie rozmiary powinien mieć świetlny znak, aby stać się widzialnym wyraźnie z olbrzymiej odległości pięćdziesięciu sześciu milionów kilometrów, oddzielającej Marsa od Ziemi podczas jego najbliższej opozycji? Jak silne światło powinien wysyłać ów sygnał, aby je dostrzegli astronomowie na tej planecie?

Należy przypuścić, iż Marsjanie mają teleskopy przynajmniej takie jak my w Obserwatorium Hamiltona. W tym najgorszym wypadku szkła zbliżają im Ziemię tysiąc razy, to jest przed-stawiają ją tak, jak gdyby znajdowała się w odległości nie pięćdziesięciu sześciu milionów, lecz pięćdziesięciu sześciu tysięcy kilometrów.

Jedna sekunda kąta widzenia w takich warunkach odpowiadałaby tylko dwustu pięćdziesięciu sześciu kilometrom; z tego wynika, że przedmiot o średnicy dwustu pięćdziesięciu sześciu kilometrów dostrzegano by pod kątem stu sekund.

„Tak — myślał Harting, przerwawszy na chwilę obliczenia — gdybyśmy oświetlili bardzo, bardzo jasno na powierzchni Ziemi przestrzeń zamkniętą w kole średnicy choćby tylko dwustu, a nawet stu pięćdziesięciu kilometrów, to taka przestrzeń byłaby doskonale widzialna z Marsa na ciemnej półkuli naszej planety odwróconej od Słońca.

Przecież księżyc Marsa ma w średnicy tylko szesnaście kilometrów, a jednak dostrzegamy go przez nasze teleskopy; złączmy pięć takich punktów, a raczej kół świetlnych w jedną gwiazdę, a powodzenie nie ulega wątpliwości!

Hm, kto wie, czy Londyn albo Nowy Jork ze swym morzem płomieni gazowych i latarni elektrycznych nie przedstawia się Marsjanom jako jasny punkcik!

A teraz obliczmy, jakie natężenie powinno mieć ognisko, ażeby mogło oblać dzienną światłością przestrzeń szesnastu kilometrów w średnicy. Tu leży jądro kwestii!"

Ażeby znaleźć odpowiedź na te pytania, Harting musiał wprowadzać do swych obliczeń najrozmaitsze dane: brać pod uwagę zdolność pochłaniania światła przez atmosferę, osłabianie się tegoż w miarę odległości, dalej: gęstość powietrza Marsa — wielkość przypuszczalną — i mnóstwo innych okoliczności, które czyniły rachunek nadzwyczaj skomplikowanym i trudnym. Pomimo przeszkód Harting zbliżał się do końca obliczeń i ostateczna odpowiedź miała wyłonić się z chaosu równań algebraicznych. W miarę jak formuły upraszczały się, młodemu matematykowi coraz mocniej biło serce. Obawiał się wyników swej pracy, które, być może, z nieubłaganą bezwzględnością rozwiążą jego najdroższe marzenia.

Jeszcze, jeden logarytm w tablicach i oto odpowiedź.

Harting zerwał się.

— To więcej, aniżeli myślałem! — zawołał z odcieniem zawodu w głosie. — Osiemnaście milionów świec natężenia! Ależ to światło straszne, oślepiające, nieziemskie!

Trzeba by jednak umieścić je w jednym punkcie; któż by bowiem zdołał wystawić paręset tysięcy latarni rozrzuconych na powierzchni stu kilometrów kwadratowych? Zadanie to przechodziłoby nasze siły i środki.

Umieściwszy owe światła potężne o czterdzieści albo o pięćdziesiąt kilometrów jedno od drugiego, mógłbym być pewnym, iż Marsjanie ujrzą każde z nich oddzielnie. Z oświetlonych punktów można ułożyć jakąś geometryczną figurę lub coś podobnego, co zwróci uwagę swymi niezwykłymi kształtami.

No, ale światło, światło! Czyż będę w stanie stworzyć kilka tak potężnych ognisk?

Harting pokładał całą swoją nadzieję w elektryczności; czy jednak ta wieszczka, która dokonała już tylu cudów, nie cofnie się przed spełnieniem włożonego na nią zadania?

Nodd — elektrotechnik, któremu Harting powierzył wypracowanie kosztorysu urządzenia światła o wyżej wymienionej mo-cy — odpowiedział na to pytanie przecząco; nasz astronom przedsięwziął ostateczne obliczenia, spodziewając się, iż owa liczba osiemnastu milionów świec, odszukana pobieżnie, zmniejszy się do granic przystępnych dla elektrotechniki. Omylił się jednak. Otrzymane drogą najskrupulatniejszego rachunku rezultaty brutalnie nakazywały mu odstąpić od zuchwałego zamiaru.

„Powziąłeś projekt przechodzący twe siły, marny człowieku! — mówiły doń z nieubłaganą szczerością długie szeregi cyfr. — Zachciało ci się stworzyć słońce i uwiadomić o swym istnieniu wszechświat, dać swemu małemu rozumowi zwycięstwo nad nieskończonością, wtargnąć do nieprzystępnych na zawsze dla ziemskich istot krain?! Nic z tego! Jesteś słaby, nieporadny, pozostaniesz sam jeden na pyłku, który cię unosi w bezgranicznych przestworzach międzyplanetarnych; nie zdołasz nigdy przeniknąć tajemnicy świata, na którym przeczuwasz istoty podobne do siebie”.

Harting, będąc biegłym matematykiem, rozumiał doskonale mowę martwych algebraicznych znaków i liczb; machinalnym ruchem ręki zgarnął w jeden stos urągające jego bezsilności kartki z formułami i

westchnąwszy jak skazaniec po odczytaniu wyroku, podniósł się z fotela, na którym siedział jak przykuty od wczorajszego wieczoru.

Wiosenny poranek uśmiechał się doń przez szyby okna złotymi promieniami słońca, leciuchnym wietrzykiem niosącym z dali subtelne wonie zielonych pól i lasów do okopconych murów wielkiego miasta.

Ten uśmiech budzącej się do nowego życia natury podziałął kojąco na ściśnięte świeżym zawodem serce astronoma, przypomniał mu o istnieniu pięknego świata i wygładził zmarszczki na czole pobladłym od wysiłku myśli.

Harting ulegając temu niewytłumaczonemu pociągowi, jaki każdy mieszczuch czuje do przyrody, bezwiednie nałożył kapelusz, ujął swą laskę, zaopatrzoną w lunetę, i wyszedł na pustą jeszcze ulicę, chcąc rozruszać się trochę po długim ślęczeniu nad algebrą.

Rozmyślając, posuwał się wolnym krokiem w kierunku miejskiego parku wabiącego wzrok swą młodą zielenią, nieruchomą wespół spokojnie drzemiącej, przezroczystej atmosfery.

Znalazłszy się w cieniu rozłożystych klonów, z dala od budzącego się miejskiego gwaru, młody astronom powoli odzyskiwał równowagę ducha, naruszoną denerwującymi obliczeniami. Gorączka, w której płonął przez całą noc, opuszczała go pod wpływem uroczystego, poważnego nastroju w otoczeniu.

„Dlaczegoż — myślał młody astronom — ludzkość jest na zawsze związana ze światem, na którym się zrodziła i wzrosła? Dlaczego owa pusta, ciągnąca się w nieskończoność i pozbawiona pozornie wszelkich tam dla ruchu przestrzeń międzyplanetarna stanowi granicę, której człowiek nigdy przekroczyć nie potrafi? Dlaczego te błyszczące na ciemnym tle niebios światy, stokroć może piękniejsze od ziemskiego, są dla nas niedostępne?”

Czyż ludzkość nie byłaby rozumniejsza, szczęśliwsza, gdyby mogła obcować z istotami zamieszkującymi owe światy, które teraz niewyraźnie tylko rysują się w polach widzenia najpotężniejszych teleskopów?”

Oto zapragnął nawiązać pierwsze nici porozumienia i musiał dojść do przekonania, iż podjął się zadania nad siły. Czegóż mu brak? Trochę światła, tego światła, którego bezmiar rozlewa się ze słońca po wszystkich zakątkach wszechświata. Czyż to nie upokarzające dla rozumu ludzkiego, iż musi się cofać przed trudnościami rozpalenia lampy, kiedy już zdołał zapanować umysłem nad nieskończonością?

Takie i podobne myśli krążyły po głowie naszego astronoma wzbudzając gorycz w jego sercu. Długa przechadzka po alejach znużyła go jednak; usiadł więc na jednej z ławek i oparłszy czoło na dłoni, jął kreślić na piasku końcem swej laski nowe formuły algebraiczne.

Zagłębiając się w swych rachunkach, Harting nie zauważył nawet, że jakiś cień zasłania mu światło; spostrzegł to dopiero wtedy, gdy ciężka ręka spoczęła na jego pochylonych plecach.

— Ciągłe ślęczysz nad algebrą, nieboraku?! — rzekł wesoły, rubaszny, lecz dźwięczny głos tuż nad nim.

Astronom podniósł prędko oczy i ujrzał przed sobą tęgiego, niedbale odzianego mężczyznę, który wpatrywał się w niego z politowaniem szafirowymi, tryskającymi inteligencją i dowcipem oczyma. Na szerokiej, dobrodusznego wyrazu czerwonej twarzy przybysza malował się sarkastyczny uśmiech, któremu towarzyszyło pewne zaciekawienie.

— To ty, Barrett? — zagadnął astronom wyrwany nagle ze swych dociekań. — Skąd wzięłeś się tak rano w parku?

— Wstępuję tu co dzień od paru tygodni, udając się do fabryki. Trudno przecie, ażebym wpośród pieców, machin parowych i dymu nie zapragnął odetchnąć choćby przez pół godziny świeżym powietrzem. Trzeba używać wiosny, mój drogi, czego ty, jak widzę, nie potrafisz, bo nawet tutaj nie rozstajesz się ze swymi obliczeniami! Co u diabła strześliło ci znów do głowy? Dzienniki donoszą, że zakładasz telegraf na Wenerę czy też na Marsa. Taki pomysł mógł się wylęgnać tylko w twojej czaszce!

No i cóż? — mówił dalej z uśmiechem Barrett, widząc, iż Harting nie odpowiada mu ani słowa. — Czy komunikacja będzie zaprowadzona wbrew przepowiedniom twoich panów kolegów?

— Wątpię — odparł niechętnie Harting. — Są olbrzymie trudności techniczne, jak mnie świeżo przekonały obliczenia.

— Ba, ba! Jeszcze by też! — zawołał Barrett siadając ciężko na ławkę. — Zachciało ci się nie lada zabawki.

Harting spojrział z ukosa na przyjaciela; ostatnie słowa dotknęły go do żywego.

— Inaczej mówiłeś dawniej, kiedyśmy byli razem na uniwersytecie — odrzekł z przekąsem. — Wyższe aspiracje wywietrzały ci snadź z głowy; przedsięwzięcie, które nie przynosi korzyści materialnych, a tylko ma na celu rozwiązanie kwestii czysto naukowej, nie imponuje ci już. Utonąłeś w swych wynalazkach i swojej chemii, którą uważasz za dojrną krowę.

— No, no, bez żółci, koleżko — odparł Barrett uśmiechając się pobłaźliwie — schowaj resztkę takowej na czytanie artykułów dziennikarskich.

— Nic mnie one nie obchodzą; jeżeli się cofnę, to nie dlatego, ażebym się obawiał tej gadaniny filistrów.

— Więc dlaczego, jeżeli wolno zapytać?

— Dla braku środków po prostu.

— Czyż nie rozporządzasz milionami tego naiwnego Brightona?

Przecież suma, jaką ci przeznaczył ten giełdziarz, powinna by wystarczyć.

— Nie wystarcza.

— Jak widzę, dla urzeczywistnienia swoich planów nie wahałbyś się zabrać całego skarbu Stanów. Ciekawym, na co byś go użył?

— Na urządzenie elektrycznego światła o sile dwustu milionów świec. Światła mi potrzeba, światła! Rozumiesz? I zniecierpliwiony Harting powstał z ławki,

— Do widzenia! — rzekł. — Nie potrafię cię przekonać, że wynalezienie środka komunikacji z Marsem tyleż warte, co odkrycie nowego sposobu otrzymywania sody; ty zaś nie przekonasz mnie, że dwudziestodolarówka jest bardziej interesująca od tarczy Marsa — nie mamy więc o czym mówić.

— Zanedto lekceważysz praktyczne wynalazki, mój ty uczoney — rzekł Barrett, nie zwracając uwagi na uszczypliwe słowa przyjaciela. — Zapominasz, nieboraku, iż nie mógłbyś nawet marzyć o jakichś tam sygnałach na Marsa, gdyby nie było lamp elektrycznych, dynamomaszyn, lokomobil, turbin i tym podobnych bagatelek.

— Które, koniec końców, na nic mi się nie zdadzą — dokończył Edwin. — Chcąc urządzić potrzebnej siły światło za pomocą tych wszystkich przyrządów, musiałbym wydać kilkadziesiąt milionów...

— Co najmniej, kochaneczku! Dobrze, że w czas się zastanowiłeś nad tym, inaczej nie mógłbyś skorzystać z rady zwykłego chemika, jakim jestem, robigrosza, materialisty, jak mnie niedawno zatytułowałeś.

— Twoja rada? — zaśmiał się Harting. — Odgadnę ją od razu, jeżeli zechcę.

— No, no?

— Poradzisz mi, tak jak wszyscy: porzucić mrzonki, których urzeczywistnienie nie przysporzy nikomu ani jednego dolara. Czy nie tak?

— Bez wątpienia powinien bym ci to powiedzieć; ponieważ jednak śmiem zaliczać się do twoich przyjaciół, więc pomówimy poważnie.

— Słucham! — rzekł ironicznie Edwin.

— Wyjaśnij mi przede wszystkim, jakiej siły światło jest ci potrzebne.

— Na co ci ta wiadomość? Przecież mi go nie urządzisz.

— Nie wiadomo. W każdym razie chciałbym ci pomóc.

— Potrzeba mi dziesięciu światła o sile osiemnastu milionów świec każde.

— Bardzo piękną iluminację zamierzasz urządzić... No, a jak długo ma się ona palić?

— Albo ja wiem? Dopóki jej nie spostrzegą.

— Jeżeli twoi hipotetyczni koledzy z Marsa nie są gapiami, to powinni by zauważyć sygnał po godzinie, po dwóch godzinach wreszcie.

— Dajmy na to, że zauważą, lecz to nie zmienia sytuacji.

— Zmienia, i to bardzo! Światło krótkotrwałe potrafiłaby wytworzyć chemia — moja dojna krowa, jak się przed chwilą wyraziłeś, i to bez pomocy elektryczności.

— Chemia, chemia? — powtórzył Harting spoglądając z podziwem na przyjaciela.

— Tak, chemia — mówił dalej Barrett — i to niewielkim stosunkowo kosztem. Za milion dolarów urządziłbym ci taki fajerwerk, jakiego świat nie widział. Dwieście milionów świec, powiadasz? Phii! Choćby miliard! Niech tylko Brighton da dość pieniędzy na tę zabawkę.

Barrett mówił to wszystko lekkim tonem, jak gdyby żartował; astronom nie brał więc słów jego na serio.

— A gdybyś dostał dwadzieścia milionów? — zagadnął.

— Hm, puścić z dymem taką sumkę? No, ale cóż mnie to obchodzi! Trzeba ci wiedzieć, że światło, o jakim myślę, można by uczynić tak świetnym i wspaniałym, jakby się tylko chciało;

natężenie jego zależałoby jedynie od ilości zużytych materiałów.

— Jakich materiałów?

— To tajemnica wynalazcy.

— Kto nim jest?

— Ja.

— Więc postanowiłeś pozostawić ową tajemnicę dla siebie samego?

— Nie, ale chcę wprzód postarać się o przywilej, który następnie mogę odstąpić Brightonowi, który, jak widzę, nie wie, co robić ze swymi milionami.

— Usprawiedliwiasz tymi słowy opinię moją o tobie — odparł rozłoszczony wyrachowaniem przyjaciela Harting. — Nie dałbyś ani dolara na cele naukowe.

— Dlaczego nie? Musiałbym jednak wiedzieć, że pieniądze moje przyniosą nam korzyść jakąkolwiek. W obecnym wypadku; nastrocza mi się sposobność upieczenia dwu pieczeni przy jednym ogniu, to jest zarobić w uczciwy sposób kilkanaście tysięcy dolarów i pomóc w rozwiązaniu kwestii tak mocno obchodzącej mego uczonego przyjaciela.

— Wyzyskujesz okoliczności — zawołał młody astronom — ale pal cię sześć! Jeżeli rzeczywiście potrafisz dokonać tego, czego się podejmujesz, gotów jestem napchać ci kieszenie!...

— Interes jest więc w zasadzie skończony. Chciałbyś tylko przekonać się, czy nie mam czasem zamiaru zażartować z ciebie, czy tak?

— Spodziewam się! Musisz pokazać mi swoje nowe światło.

— Bardzo chętnie. Przyjdź jutro wieczorem do mego laboratorium przy fabryce, to urządzimy próbę. Zgoda?

— Zgoda!

— A teraz do widzenia, zacny przyjacielu! Pilno mi do mojego piekła, w którym już od pół godziny kipi praca.

Rzekłszy to, chemik uściśnął dłoń przyjaciela i odszedł szybko, pozostawiając go zatopionego w głębokich rozmyślaniach.

"Czyż podobna, żeby ten człowiek potrafił pokonać przeszkody, o które rozbija się cały mój projekt? — pytał w duchu Harting. — Czy nie ludzi się on czasem? Czy nie przesadza wartości swego wynalazku?" — myślał przejęty do głębi młody astronom patrząc z nadzieją na niknącego na zakręcie alei parku Barretta.

— Światło... światło...- szeptał — nareszcie!

ROZDZIAŁ VII

„SREBRNA GWIAZDA”

Kapitan Nelson, dowódca „Srebrnej Gwiazdy”, zjadłszy jak zwykle o godzinie siódmej rano śniadanie w towarzystwie oficerów, wyszedł na tylny pokład i zapaliwszy swą krótką fajeczkę oparł się łokciami o parapet, puszczając z wiatrem kłęby tytoniowego dymu. Od czasu do czasu rzucał machinalnie okiem na jeden z przechodzących w pobliżu parowców i odczytawszy jego nazwę, znowu wracał do fajki. Łatwo było zauważyć, iż szanowny marynarz był w złym humorze; na jego marsowej, opalonej twarzy malowało się zniechęcenie i niecierpliwość, widoczne także w ruchach całego ciała. Znudzony bezczynnością kapitan opuścił w końcu swe obserwacyjne stanowisko i wolnym krokiem jął przechadzać się po mostku, dokonując swego codziennego przeglądu.

Zatrzymywał się co chwilę tu i ówdzie i krzyczał swym chrapliwym głosem na towarzyszącego mu dyżurnego marynarza. Pokład, malowany olejno, wydawał mu się trochę brudny, ławki trzciniowe źle przyśrubowane, liny zwinięte niedbale, bloki i łańcuchy od szalup zardzewiałe i niedoczyszczone, szyby w kopule szklanej od salonu nie dość przezroczyste — słowem, na każdym kroku odnajdywał jakieś uchybienia przeciwko porządkowi, o który dbał pedantycznie.

Trzeba bowiem wiedzieć, iż kapitan Nelson dumny był ze swej „Srebrnej Gwiazdy”, uważał ją za najpiękniejszy statek na świecie i nie pozwoliłby nigdy, ażeby go zeszpecono przez niedbalstwo lub niechłujność. Każdy jednak znawca przyznałby mu słuszność pod tym względem. „Srebrna Gwiazda” była prawdziwym arcydziełem, kosztownym cackiem, na które zdobyć mógł się tylko jeden Brighton, znany nawet wśród milionerów ze swej rozrzutności.

Jacht ten przeznaczony do wycieczek, jakie lubił „król srebra” przedsięwziąć często ze swą rodziną, miał okazałą objętość dochodzącą do sześciu tysięcy ton; maszyna jego, najnowszej konstrukcji, była niezrównana; rozwijała ona siłę dziesięciu tysięcy koni i nadawała statkowi szybkość dwudziestu dwóch węzłów,

która dziś jeszcze uchodzi za niezwykłą. Kadłub zbudowany podług ostatnich wymagań techniki, cały ze stali, był prawdziwym pałacem pływającym, o wiele przynoszącym swą wartością wspaniałą rezydencję Brightona w Bostonie.

W każdym szczególe, poczynając od pokładu, a kończąc na pomieszczeniach dla palaczy, widniał tam przepych, nacechowany wszakże rzadkim u Amerykanów artyzmem i dobrym gustem. Rzeźby i obrazy w salonie, złocenia i mozaiki w jadalni, posadzki na korytarzach, draperie w sypialniach — wszystko to tchnęło niepowszednim, niebanalnym pięknem, tworząc całość bardzo estetyczną.

Nic więc dziwnego, iż kapitan Nelson, któremu przypadły zaszczytne obowiązki dowodzenia „Srebrną Gwiazdą”, strzegł powierzonego sobie cacka z niesłychaną troskliwością. Musiał zresztą utrzymywać ją ciągle we wzorowym porządku, gdyż nigdy nie wiedział, kiedy Brighton zechce przedsięwziąć wycieczkę.

„Król srebra”, jak to już nieraz przekonał się kapitan, był nadzwyczajnie kapryśny; często zjawiał się na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy” najzupełniej niespodziewanie, bez żadnego uprzedniego zawiadomienia, i wyruszał do Europy albo nawet i w podróż naokoło świata tak sobie, dla zabicia kilku tygodni czasu lub dla odetchnięcia świeżym, morskim powietrzem, które tak bardzo lubił.

Kapitan, stary „wilk morski”, chętnie widział na jachcie milionera; nie cierpiał bowiem stalego lądu, a stać w porcie na kotwicy uważał za niegodne marnotrawstwo czasu; pragnąłby życie całe przepędzić na oceanie i wpadał w prawdziwą melancholię, kiedy był zmuszony zatrzymać się gdziekolwiek trochę dłużej.

Od ostatniej podróży upłynęły już z górą trzy miesiące, toteż dowódca „Srebrnej Gwiazdy”, w chwili kiedy go poznajemy, znajduje się w rozpaczy.

„Czy ten Brighton woli przebywać na giełdzie aniżeli na morzu? Czy akcje bardziej go interesują aniżeli podróże? — myślał sobie prawie co dzień dzielny marynarz, przechadzając się niecierpliwie po nieruchomym pokładzie. — Do miliona kominów! Trzeba będzie chyba skisnąć w tej dziurze przeklętej. Machina zardzewieje na nic, pudło także, załoga zapomni komendy, wszystko popsuje się i psu na budę nie zda, jeżeli to potrwa dłużej”.

Trapiiony bezczynnością kapitan Nelson dowiadywał się już pobocznie w pałacu, czy Brighton nie ma zamiaru odbyć jakiej małej podróży, do Australii choćby...

Nie umiano go jednak poinformować w tym względzie; wiedzano tyle tylko, iż milioner myśli raczej o wszystkim innym aniżeli o swym jachcie i o kapitanie Nelsonie. : Taki był stan rzeczy, gdy dnia owego, zaraz po skończeniu przeglądu porządków, do trapu jachtu zbliżyła się łódka parowa, w której dyżurny oficer natychmiast poznał „Gazelę” należącą do Brightona, a używaną często do utrzymywania komunikacji pomiędzy stałym lądem a „Srebrną Gwiazdą”, kiedy ta stała na kotwicy.

— Co tam nowego? — zagadnął opryskliwie Nelson, który właśnie powrócił na górny pokład z wnętrza statku.

— List! — odparł przybyły marynarz salutując.

— Od kogo?

— Od mister Brightona.

Nelsonowi zabiło żywiej serce; skwapliwie wyciągnął rękę po list, rozerwał jednym ruchem elegancką kopertę i zaczął czytać pośpiesznie.

Oficer, stojący obok niego, przyglądał mu się badawczo, ciekawo treści pisma, które prawdopodobnie przynosiło jakieś ważne polecenia.

Oblicze kapitana, z początku rozjaśnione, chmurzyło się jednak w miarę czytania i wreszcie przybrało wygląd nieba przed cyklonem.

— A to mi się podoba!... Pyszny jest ten Brighton, jak Boga Kocham!... Co on chce zrobić z nas, u kaduka?! — zawołał Nelson opuszczając ręce i rozstawiając szeroko nogi, jak podczas kołysania się statku. — Po co to?

— Więc jedziemy? — zagadnął nieśmiało oficer.

— A bo ja wiem! — huknął zaperzony dowódca jachtu. — Czytajże pan! Może co więcej zrozumiesz z tego aniżeli ja. Porucznik wziął podany sobie list i czytał półgłosem:

*Do Henryka Nelsona, na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy”**

Kochany Kapitanie! Zrób trochę miejsca na swoim statku, gdyż za kilkanaście dni dostarczę Ci trzech tysięcy kilkuset ton rozmaitych chemikaliów, które musisz zabrać do ładowni.

Oprócz tego postaraj się Pan wynająć ze sześćdziesięciu tęgich i wytrzymałych ludzi na warunkach, jakie uznasz za stosowne, i natychmiast przyjmij ich na pokład; będą potrzebni na pół roku albo i na dłużej do dość ciężkich zajęć. Chciałbym także, abyś przygotował cztery oddzielne kajuty dla moich przyjaciół, którzy przybędą na Twój pokład w dniu wyjazdu, to jest 18 lipca. Przepraszam Pana stokrotnie za nieprzyjemności i zalecam

możliwy pośpiech.

Życzliwy A. Brighton

— Więc jedziemy! — rzekł porucznik skończywszy. — To nie ulega wątpliwości.

— Zapewne! — odparł kapitan kręcąc długiego wąsa. — Powiedz mi pan jednak, dokąd, a nade wszystko — po co? Po kiego czorta mam zabierać cały ładunek jakichś tam paskudztw, o których wspomina Brighton? Alboż „Srebrna Gwiazda” jest statkiem handlowym, a my kupcami? Gdzie ja to podzieję?

— Niezawodnie chemikalia owe mają swoje przeznaczenie, o którym dowiemy się później...

— O tym nie wątpię przecież! Dlaczego jednak mister Brighton nie wynajął do przewożenia tak znacznego ładunku jakiejś zwyczajnej parowej barki? „Srebrna Gwiazda” nie do tego przecież zbudowana, nie ma na niej miejsca na żaden towar.

— Nie wiadomo, czy to towar.

— Wszystko mi jedno. A ci ludzie? Co oni będą robili? I kapitan, założywszy w tył ręce, jął biegać wielkimi krokami po pokładzie; co chwila zatrzymywał się, zaglądał do listu, wzruszał potężnie ramionami i znowu spacerował w dalszym ciągu, mrużąc coś pod nosem.

Polecenia Brightona wcale mu się nie podobały. „Srebrna Gwiazda” ma zabrać przeszło trzy tysiące ton ładunku? To nonsens! Jakże można przeznaczać do podobnego celu taki śliczny statek? Ten Brighton ma, jak się okazuje, wariackie pomysły.

Kapitan Nelson przez długi czas nie mógł się uspokoić; trudno mu było pogodzić się z myślą, że „Srebrna Gwiazda”, to śliczne cacko stworzone do muskania wód oceanu w szybkim biegu, ma teraz płynąć nie wiadomo dokąd z ładunkiem, jakiego nigdy jeszcze nie dźwigała.

List wydawał mu się nadzwyczaj ciemny. Widocznie Brighton ukrywał coś. Nie chodziło tu o przejażdżkę dla przyjemności, lecz o jakąś tajemniczą wyprawę. Kto wie, może o kontrabandę?

Należało się jednak pogodzić z koniecznością. Tak też uczynił Nelson.

Zły, rozpoczął zaraz na drugi dzień przygotowywać miejsce dla zapowieranego ładunku, co nie było łatwą rzeczą.

Ostatecznie jednak wywiązał się z zadania jako tako.

W tydzień po liście „chemikalia” nadeszły.

Dowódca „Srebrnej Gwiazdy” sądził, iż dostawione mu do portu paki będą zawierały jakieś farby, sole lub coś podobnego. Zdziwił się więc niepomiernie, przeczytawszy na fakturze, co następuje:

Kapitanowi Nelsonowi Port Bostonu

*1000 pak aluminium w proszku, które zawierać będą 1000 ton;
1200 pak łożu, które zawierać będą 600 ton; 800 pak wosku ziemnego,
które zawierać będą 400 ton; 1000 beczek saletry.*

Tysiąc ton aluminium? Co Brighton zamierza robić z taką ilością tego lekkiego metalu, i to jeszcze sproszkowanego? A te tłuszcze? Do czego to wszystko? Przecież nie na handel?

Nelson wiedział, że milioner obraca akcjami kopalni srebra, ale nie słyszał nigdy, żeby miał do czynienia z fabrykami glinu. Łamał więc sobie głowę chcąc odgadnąć przeznaczenie kolosalnego transportu, pochodzącego, jak wskazywały napisy na pakach, z zakładów elektrometalurgicznych Cowlesa.

— Bah! Cóż mnie to, koniec końców, obchodzi?! — rzekł sobie wreszcie dzielny marynarz. — Zrobię, co do mnie należy. Niechaj Brighton zamienia swój jacht na handlową barkę, kiedy mu się tak podoba, nie ja na tym stracę.

I kapitan Nelson zabrał się do jak najakuratniejszego spełnienia otrzymanych zleceń.

Naładowawszy „Srebrną Gwiazdę”, wyprawił swego porucznika na ląd celem poszukania ludzi, o których pisał w liście Brighton. Werbunek szedł opornie, kapitan nie potrafił bowiem objaśnić zgłaszającym się robotnikom, jakiego rodzaju praca ich czeka; musiał więc brać każdego, kto się zgadzał z nim jechać, wybierając tylko ludzi dobrze zbudowanych i zdrowych.

Na dwa dni przed terminem wyjazdu Nelson miał już sześćdziesięciu zuchów gotowych wędrować za sześć dolarów dziennie choćby na koniec świata i podjąć się każdej czynności bez różnicy.

Kajuty były też gotowe na przyjęcie zapowierianych pasażerów; zapas węgla znajdował się w składach — słowem, w oznaczonym dniu wszystkie rozkazy Brightona spełniono akuratnie. „Srebrna Gwiazda” mogła w każdej chwili podnieść kotwicę.

Osiemnastego lipca o dziesiątej rano rozpalono ogień pod kotłami, oczekując przybycia Brightona.

Minęło jednak południe, następnie godzina druga, czwarta i wreszcie piąta, a „król srebra” nie zjawiał się.

Kapitan poczynął się już niecierpliwić, a nawet wątpić o tym, czy będzie miał jakichkolwiek pasażerów, gdy w końcu około szóstej wieczór na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy” zjawiono się ośmiu ludzi, pomiędzy którymi nie było jednak mister Brightona.

— Jedziemy, panie Nelson — rzekł jeden z nich, sympatyczny, młody brunet. — Pozwól pan, że się przedstawię: Edwin Harting. Oto bilecik

mister Brightona, w którym oddaje on do mej dyspozycji „Srebrną Gwiazdę”.

Nelson rzucił okiem na kartkę, na której były wypisane następujące słowa:

Jedź Pan tam, dokąd oddawca niniejszego, pan Edwin Harting, udać się zechce, i spełniaj Pan jego życzenia tak jakby moje. Szczęśliwej drogi i powodzenia!

Brighton

Przeczytawszy, kapitan ukłonił się i rzekł:

— Jestem do usług.

— Dziękuję stokrotnie i przepraszam, że tak bezwzględnie narzucam panu moją wolę — odparł grzecznie Harting. — Poznajomię pana z moimi kolegami, członkami wyprawy — dodał zwracając się do swych towarzyszy. — Pan Barrett, chemik; pan Nodd, elektrotechnik; pan Wattson i pan Sims, fizycy; pan Smith i Knocks, geometrzy; pan Litt, meteorolog; pan Adams, astronom.

— Dobrze, iż panowie przybywacie — rzekł Nelson uściskawszy rękę swym pasażerom — inaczej nie wiedziałbym doprawdy, co począć.

— Masz pan wszystko w pogotowiu? — zagadnął Harting.

— Tak jest!

— Aluminium?

— Na spodzie.

— Łój, wosk i saletrę?

— Także.

— Paki z narzędziami?

— Są.

— Ludzie?

— Mam sześćdziesięciu zuchów, gotowych iść choćby do piekła.

— Wydad pan więc rozkaz podniesienia kotwicy.

— Ależ powiedzie mi pan, dokąd jedziemy?! — zawołał kapitan. —

Jak żyję, nie podnosiłem kotwicy nie znając celu podróży.

— Płyniemy na południe, kapitanie, do przylądka Horn.

— A stamtąd?

— Na północ i wylądujemy na zachodnich wybrzeżach Ameryki

Południowej.

— Gdzie?

— Nie wiem jeszcze.

Nelson wzruszył niechętnie ramionami. Te skąpe objaśnienia nie podobały mu się, ukrył jednak swoje niezadowolenie i udał się na mostek kapitański.

— Naprzód! — zakomenderował.

W kilka sekund potem zaszumiały śruby i „Srebrna Gwiazda”, zwolniona z kotwicy, drgnęła i ruszyła z wolna ku wyjściu z zatoki.

W godzinę potem znikła na horyzoncie wśród lekkich, wieczornych chmur.

ROZDZIAŁ VIII

DALEKOWIDZ-OLBRZYM

Firma „Alvan Clarke and Sons”, zaopatrzona obficie w materialne środki przez Brightona, krzątała się z nadzwyczajną energią około

budowy zamówionego u niej teleskopu. Dzięki długoletniemu doświadczeniu pana Alvana Clarke'a i jego przedsiębiorczości potężna soczewka po kilku nieudanych próbach została szczęśliwie odlana.

Bryła szkła zupełnie przezroczystego i jednolitego poszła natychmiast do szlifierni, gdzie już oczekiwały na nią nowe i wielkie maszyny, specjalnie zamówione i pośpiesznie wykonane w nowojorskich zakładach.

Szlifowanie szkła tych rozmiarów trwa zwykle kilkanaście miesięcy; Alvan Clarke miał jednak nadzieję, iż dzięki nowym środkom i ulepszeniom technicznym uda mu się dokonać w pół roku tej trudnej operacji.

Rurę do teleskopu, postument, koła, osie i inne części metalowe zamówiono w Nowym Jorku. Wykończenie ich było stosunkowo łatwym zadaniem, dziesięćkroć łatwiejszym aniżeli oszlifowanie podwójnej achromatycznej soczewki*, stanowiącej główną część przyrządu.

Brighton, który dowiadywał się często o postępach robót, otrzymał zapewnienie, iż olbrzym będzie niezawodnie gotów na oznaczony termin, który przypadał według brzmienia kontraktu na dzień 18 czerwca 189... r.

Zwłoka kilkumiesięczna mogła obrócić wniwecz wszystkie zabiegi, albowiem Mars, biegnąc po swej drodze dookoła Słońca, zbliżał się do Ziemi i w niespełna dziesięć miesięcy miał się znaleźć względem niej w opozycji, podczas której obie planety oddziela odległość wynosząca zaledwie pięćdziesiąt milionów kilometrów.

Gdyby Harting nie skorzystał z tych wyjątkowo przychylnych

** Soczewka achromatyczna — układ soczewek nie rozszczepiający załamany światła. Soczewki zwykle dają przy świetle białym obraz niewyraźny, zabarwiony na brzegach.*

warunków, naraziłby całe przedsięwzięcie na niezawodne fiasko lub też musiałby czekać do następnej opozycji przez kilka lat.

Naleganie o pośpiech ze strony Brightona pozwalało mniemać, iż próby z nowo wynalezionym przez chemika Barretta światłem wypadły pomyślnie. Gdyby było inaczej, milioner nie omieszkałby odwołać swego zamówienia u Alvana Clarke'a; olbrzymi teleskop bowiem, jak się tego słusznie domyślał Tabb, miał odgrywać w wykonaniu dziwacznych planów Hartinga poboczną rolę.

Opinia publiczna ciągle jeszcze zajmowała się projektami młodego astronoma. Dzienniki, śledząc postępy budowy refraktora, usiłowały odgadnąć, gdzie tenże po wykończeniu zostanie umieszczony. Wszyscy jednomyślnie wypowiadali zdanie, iż ogromna luneta powinna znaleźć się pod jasnym niebem podzwrotnikowym, na którym gwiazdy są o wiele lepiej widzialne aniżeli na mglistym firmamencie północnym.

Ażeby nadto uniknąć nieznośnego dla astronomów „migotania” albo raczej „mrugania” obrazu obserwowanego ciała niebieskiego w polu widzenia, należy postawić refraktor jak najwyżej nad poziomem oceanu, gdzie atmosfera nie jest już tak ruchliwa jak w niżej położonych warstwach.

Luneta Licka w Kalifornii i refraktor w Wilson Peak — największe teleskopy świata — są położone, jak wiadomo, na szczytach gór wyniesionych na tysiąc kilkaset metrów!

Edwin Harting wiedział widocznie doskonale o tym wszystkim, bo obrał dla swej lunety nadzwyczaj odpowiedni punkt; mianowicie jeden ze szczytów górskich na samym południu Sierra Madre. Miejsce to, leżące w pobliżu Oceanu Spokojnego i w sąsiedztwie linii drogi żelaznej

„Mexican Central Railroad”, jest stosunkowo dostępne; dostawa surowców, przewiezienie części składowych teleskopu i soczewki nie wymagały więc szczególnych wysiłków.

„Król srebra” w nieobecności Hartinga wziął na siebie trud wzniesienia dostrzegalni na wyznaczonym miejscu. W Stanach Zjednoczonych inżynierowie są niezmiernie zręczni: wybudowanie nowego obserwatorium na szczycie góry sterczącej dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza było dla nich bagatelką, tym bardziej iż Brighton dla pośpiechu nie szczędził kosztów.

W miesiąc po wyjeździe Hartinga wyruszyła do Sierra Madre cała falanga robotników z inżynierami na czele i roboty rozpoczęły się.

Pragnąc zachęcić do pośpiechu wykonawców, Brighton przyrzekł wypłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów tytułem premii za ukończenie dostrzegalni na czas, toteż na Sierra Madre pracowano dniem i nocą bez wytchnienia.

Za pomocą potężnych min dynamitowych ścięto sam wierzchołek góry i zamieniono go na dość obszerną platformę, na której można było wznieść potrzebne budynki.

Najważniejszą rzeczą było postawienie kopuły mającej pomieścić w swoim wnętrzu olbrzymią lunetę. Kopuła ta, wykonana w Cleveland, miała średnicę przeszło sześćdziesięciu metrów i była zrobiona całkowicie z żelaza. Dowcipny hydrauliczny mechanizm pozwolił z łatwością obracać ją dookoła pionowej osi tak, iż szczelina, przez którą wyglądać miał refraktor swym okiem, mogła być skierowana na każdy punkt nieba; ten sam mechanizm podnosił podłogę, skoro zachodziła potrzeba obserwowania gwiazdy znajdującej się w pobliżu horyzontu. Kopuła obserwatorium ważyła trzysta ton i kosztowała bagatelkę — sto tysięcy dolarów.

Przewiezienie jej na szczyt góry sprawiło niemało kłopotów panom inżynierom.

W październiku 189... r. gmach obserwatorium i mieszkania astronomów były zupełnie gotowe; pozostawała więc tylko najtrudniejsza czynność — montowanie w pośrodku kopuły samego refraktora.

Ponieważ rura przyrządu wraz z osiami i postumentem wyszła z fabryki już przy końcu października, przeto postanowiono dla oszczędzenia czasu przewieźć je niezwłocznie do dostrzegalni i ustawić na razie bez soczewki.

Alvan Clarke miał ją wyprawić natychmiast po ukończeniu szlifowania i osobiście wypróbować lunetę na miejscu, a nie jak zazwyczaj — w swoich zakładach.

Wiadomo, iż każdy teleskop musi być ustawiony ekwatorialnie, to znaczy tak, iżby oś jego była równoległa do osi ziemskiej. Jeżeli jeszcze potrafimy przemieszczać rurę przyrządu w płaszczyźnie równoległej do osi Ziemi, wtedy możemy spoglądać na każdy dowolny punkt nieba. Ażeby obserwowana gwiazda nie zeszła z pola widzenia, trzeba ją gonić; dlatego też oś lunety powinna poruszać się w kierunku przeciwnym biegowi Ziemi.

Zadanie to jest niezmiernie trudne; spełnienie go wymaga dość skomplikowanego mechanizmu, w którym olbrzymi zegar odgrywa główną rolę.

W listopadzie dostawiono wszystkie składowe części owego mechanizmu.

Postument żelazny, spoczywający na granitowym podłożu i mocnym podmurowaniu, ważył osiemdziesiąt ton. Wysokość jego równała się

połowie długości teleskopu, to jest piętnastu metrom. Głowa owego słupa dźwigała biegunową oś liczącą pół metra średnicy, pięć metrów długości i pięć ton wagi; druga oś, stalowa jak i tamta, miała tę samą prawie wagę i rozmiary. Sama rura dwumetrowego refraktora wyglądała jak kolosalna stalowa armata o trzydziestu metrach długości; ciężar jej wraz z przy-należnościami, to jest systemem kół zębatych i mechanizmem służącym do kierowania na dowolny punkt firmamentu — równał się dwudziestu przeszło tonom. Sam tylko zegar kontrolujący ruch tego przyrządu miał imponującą wagę czterech ton.

Te liczby powinny dać nam wyobrażenie o dziele Alvana Clarke'a i firmy „Warner and Swasey” z Clevelandu, która zbudowała metalowe części lunety.

Specjalista sprowadzony do Kalifornii z Bostonu zajął się zmontowaniem dwumetrowego refraktora.

Ta czynność zabrała sporo czasu; nie mogła ona być ukończona przed wstawieniem do rury lunety dwumetrowej soczewki, nad której oszlifowaniem żarliwie pracowano u Alvana Clarke'a.

Skoro tylko obserwatorium było przygotowane do zamieszkania, Brighton mianował podług rad Hartinga astronomów, którzy mieli w nim pracować. Ma się rozumieć, iż pomiędzy nimi znalazł się także szanowny pan Davis, autor znanego nam już a przychylnego dla projektu Hartinga artykułu.

Oto lista osób powołanych do największego w świecie teleskopu:

Pan Davis — dyrektor.

Pan Harting — główny asystent. Pan Fields—drugi asystent.

Pan Richardson—trzeci asystent.

Pan Sharp — naczelny meteorolog.

Oprócz astronomów mieli stale przebywać w obserwatorium fotografowie obznajmieni z używaniem lunety, mechanicy, wreszcie kilkunastu pomocników i dozorców.

Nominacje te wywołały wielkie ożywienie w kołach astronomów.

— Kto są ci szczęśliwcy, którym wolno będzie patrzeć na niebo przez olbrzymi refraktor? — pytano ze wszystkich stron.

Oprócz Davisa, który zajmował już od dawna wybitne stanowisko jako adept królowej nauk, cały personel dostrzegalni składał się z ludzi młodych, zupełnie nie znanych światu naukowemu.

O Fieldsie i o Richardsonie wiedziano tylko, że są to osobiści przyjaciele Edwina Hartinga, jego koledzy uniwersyteccy. Pierwszy z nich zyskał sobie niejaki rozgłos swoimi pracami w dziedzinie mechaniki niebieskiej, drugi nie zrobił jeszcze dla nauki nic; miano go wszakże za zdolnego astronoma.

— Bardzo dobrze — mówiono — luneta ma być niebawem gotowa, obserwatorium także, personel już mianowany. Pytanie teraz, jaką pracę przedsięwzją ci ludzie?

— Będą obserwowali Marsa podczas opozycji — odpowiadano na to.

— To nie ulega wątpliwości, lecz w jakim celu? Czy będą się starali odkryć za pomocą potężnego refraktora jakieś ślady rozumnych istot na powierzchni tej planety?

— Byłoby to naiwne pragnienie, dwumetrowa luneta nie zdoła bowiem odkryć tajemnicy świata, odległego o pięćdziesiąt milionów kilometrów; co najwyżej pozwoli dokładniej zbadać Marsa.

— W takim razie — pytano dalej, z drugiej strony — jakąż rolę będzie odgrywała kolosalna luneta w projektach Hartinga? Prawdopodobnie dziwak astronom zechce szukać nią odpowiedzi na sygnał, jaki zamierza przesłać w kierunku Marsa.

— Sygnał, jak tego dowiedziono, jest niepodobieństwem —
odpowiadano zwolennikom Hartinga. — Całe przedsięwzięcie zarzucono
dla nieprzewycięzonych trudności technicznych. Brighton odda lunetę
na własność publiczną i sprawa na tym się skończy.

Wielbiciele młodego astronoma kiwali wszakże z niedowierzaniem
głowami.

— Nie, Harting nie cofnął się — utrzymywali oni. — Zniknął z Bostonu,
ale to niczego nie dowodzi. Niezawodnie udał się w jakiś zakątek
Stanów i pracuje tam nad przeprowadzeniem swych genialnych planów.

Starano się zbadać, gdzie się podział Harting, i po długich
poszukiwaniach przekonano się, iż odjechał na „Srebrnej Gwieździe”, w
towarzystwie swego przyjaciela i kilkudziesięciu ludzi.

Dokąd jednak popłynął jacht milionera?

Ponieważ ocean nie zachowuje śladów żadnego okrętu, który pruje
jego powierzchnię, przeto powyższe pytanie pozostało nie rozstrzygnięte
ku wielkiemu zmartwieniu zwolenników szalonego projektu Hartinga.

ROZDZIAŁ IX KARAWANA W GÓRACH

Jeżeliby jaki podróżny zechciał przebyć w dniu 20 grudnia 189... r.
łańcuch Kordylierów w miejscu odległym o sto trzydzieści kilometrów na
południowy wschód od stolicy Ekwadoru — Quito, to natrafiłby na
poważną przeszkodę, która zmusiłaby go do cofnięcia się z drogi.

Przeszkody owej nie stanowiły ani zwałone trzęsieniem ziemi skały,
ani lawiny śnieżne spadłe ze szczytu pobliskich gór, ani wyrócone
burzą drzewa — był nią olbrzymi żywy wąż, którego sploty składały się z
nieskończonego szeregu ciężko objuczonych mułów.

Zwierzęta te, dźwigające na grzbietach po dwie paki, musiały
postępować bardzo ostrożnie, gdyż każdy niepewny krok groził śmiercią.

Wąziutka ścieżka, którą kroczył ów wąż, wiła się bowiem kapryśnie
tuż nad brzegiem bezdennej przepaści, w której głębinach warczały
głucho pienne potoki, spływające po wschodnich stokach Kordylierów
ku dalekiemu Atlantykowi; z drugiej strony ta naturalna droga dotykała
stromej ściany skalnej, porosłej

z rzadka ciernistymi krzakami i karłowatymi drzewami, wpijającymi swe
korzenie w każdą szparkę granitu; wilgoć niesiona na te wyżyny przez
obłoki, otulające gęstym całunem okoliczne szczyty, czyniła ścieżkę
śliską do tego stopnia, iż tylko ostre kopyto muła lub nabity kolcami
trzewik mógł znaleźć na niej punkt oparcia.

Muły były snadź przyzwyczajone do podobnej drogi, gdyż nie
zatrzymywały się wcale na najtrudniejszych przejściach;
z lekka próbowały gruntu końcem kopyta, po czym śmiało stawiały nogę
na najwyższym występie skały, nie czekając zachęty ze strony swych
przewodników — Indian, pomykających w ślad za nimi po urwiskach ze
zręcznością i lekkością cyrkowych akro-batów.

Karawana, jak powiedzieliśmy, była wyjątkowo duża: tworzyło ją co
najmniej trzysta mułów i tyluż na pół dzikich Indian. Czoło jej ginęło w
wąwozie rozcinającym na dwoje olbrzymie zbiorowisko skał ciągnących
się na wschód, ogon zaś był zaledwie dostrzegamy na przełazie
odległym o trzy kilometry i przedstawiał się jak nikły, szarawy łańcuszek
na ciemnym tle skał i skąpej górskiej roślinności.

Tak liczne zbiorowisko ludzi i zwierząt było niezwykłym zjawiskiem w
mało uczęszczanych ekwadorskich Kordylierach. Indianie, strzegący

trződ guanaków* na stokach gór, z podziwem patrzyli na tego węża czołgającego się powoli w południo-wo-wschodnim kierunku, w głąb kraju zaludnionego po większej części przez dzikie plemiona i nie utrzymującego żadnych stosunków ze światem cywilizowanym.

Na samym końcu tajemniczej karawany jechało na tęgich mułach kilku jeźdźców. Wnosząc z łuf dubeltówek, sterczących spod jaskrawych i szerokich guanakowych ponczo**, i z rewolwerów, lśniących w olstrach siodeł, można by wziąć tych ludzi za miejscowych myśliwców uganających się w dolinach za pumami lub jaguarami.

Przypuszczenie to byłoby wszakże mylne, jeźdźcy bowiem

* *Guanako* — zwierzę pokrewne lamie; w Ameryce Południowej żyje w stanie dzikim.

** *Ponczo* — rodzaj okrycia używanego w Ameryce Południowej. Jest to kwadratowa lub prostokątna płachta z otworem na głowę.

należeli widocznie do składu karawany i stanowili jej straż tylną. Nie mieli oni nadto charakterystycznych rysów hiszpańskich: jasnobłond włosy, biała cera i niebieskie lub szare oczy zdradzały w nich obcych przybyszów; mówili pomiędzy sobą nie dźwięcznym językiem hiszpańskim, lecz po angielsku, amerykańskim akcentem.

Ubranie zmienia niesłychanie fizjonomię, toteż nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby czytelnicy nasi nie poznali pomiędzy wzmiankowanymi jeźdźcami naszych wspólnych znajomych — pana Edwina Hartinga i Józefa Barretta.

Nasz astronom i jego przyjaciel, chemik, mieli na sobie oprócz malowniczo udrapowanych ponczo skórzane spodnie do jazdy wierzchem, krótkie buty z olbrzymimi ostrogami i kapelusze „panama” z nadzwyczaj szerokimi rondami; biodra ścisnęły grubymi pasami z bawolego rzemienia — słowem, wyglądali jak rodowici Ekwadorczycy.

Powierzyć swoje życie zmyślności muła, widzieć przed sobą przepaść otwierającą skaliste ramiona — położenie to niezbyt przyjemne, zwłaszcza dla tych, którzy nigdy jeszcze w nim się nie znajdowali, toteż Harting i jego towarzysze byli w najgorszych humorach, czego nawet nie mogli ujawnić żadnym gwałtowniejszym ruchem ze względu na swoje bezpieczeństwo; poprzestawali więc na rzucaniu dosadnych frazesów, którymi chcieli sobie nieco ulżyć.

— Tam do diabła — mruzczał Barrett zamykając oczy na widok wąziutkiego przejścia, na które właśnie wstępował jego muł — tu już będzie koniec, czuję to.

— Do widzenia na tamtym świecie! — odparł mu Edwin. Młody astronom uśmiechnął się przy tych słowach, lecz czynił to z przymusem, i on bowiem doznawał charakterystycznego lechtania w tydkach, które się zjawia zawsze u ludzi obawiających się upadku z wysokości. Nastąpiło milczenie trwające kilka minut, przerwał je Barrett.

— Cóż to, jeszcze nie skręciliśmy karku?! — zawołał, oddychając ciężko i otwierając zmrużone oczy. — Dalibóg, te muły to cudowne zwierzęta! Wiesz co? Za sto tysięcy dolarów gotówką nie podjąłbym się przejść tędy pieszo.

— A jednak nasi Indianie robią to za marnego plastra dziennie i w dodatku narażają swe zwierzęta. Widzisz więc, iż niebezpieczeństwo jest w tym wypadku względne albo nawet urojone.

— Urojone? — powtórzył Barrett, urażony cokolwiek. — Zapomniałeś widać, że wczoraj jeden z tych zuchów o mało nie skręcił sobie karku, pomimo iż od dzieciństwa biega po takich-wertepach.

— Uspokój się, szanowny wynalazco — rzekł Harting — droga poprawi się niebawem. Nasz przewodnik objaśnił mnie dziś rano, iż

przed zachodem słońca przejdziemy strumień i znajdziemy się w obliczu góry, na której masz urządzić swój fajerwerk.

— Ba! To znaczy, że przy końcu czeka nas najtrudniejsza przeprawa. Wcale mnie tym nie pocieszasz, do licha! Ciekawym, dlaczego obrałeś ten właśnie szczyt dla rozpalenia światła, kiedy w okolicy jest tyle innych, znacznie dostępniejszych.

— Dlatego po prostu, iż leży on na linii prostej przechodzącej przez trzy inne punkty, z których składać się ma północny promień mojej gwiazdy. Zbacząc na wschód lub na zachód, popsułbym regularną geometryczną formę sygnału i naraziłbym się na to, iżby nie zwrócono nań uwagi.

— Kilkanaście kilometrów niewiele by tu znaczyło.

— Tak ci się zdaje?

— To nie ulega wątpliwości.

— Ja zaś na zasadzie dokonanych obliczeń sądzę inaczej. Wolę nadłożyć cokolwiek drogi i przewyciężyć trochę trudności aniżeli popsuć całą sprawę.

— To złam sobie kark, wszystko mi jedno! — odparł niechętnie Barrett, poprawiając się na siodle.

W tej chwili ogon karawany znalazł się w najprzykrzejszym punkcie drogi, rozmowa więc urwała się. Jeźdźcy nie śmieli oddychać. Nie chcąc dostać zawrotu głowy, patrzyli nie na dno otwierającej się pod nimi przepaści, lecz na ścianę skalną, o którą muły prawie ocierały się bokami.

Był to jedyny sposób zachowania zimnej krwi, tak niezbędnej w każdym niebezpieczeństwie.

Podczas gdy nasi podróżni posuwali się z biciem serca na-przód, słońce zniżało się coraz bardziej ku widnokręgowi i nikło poza skałami, pograżając się w mrokach przepaści, a zapalając jarzące blaski na sąsiednich, śniegiem wiecznym pokrytych szczytach.

Subtelne opary podnosiły się z nizin i pokrywały wółprzezroczystym całunem dna dolin. Całun ten gęstniał jednak szybko, przybierał brudnoszarą barwę i, falując w podmuchach niedostrzegalnego wiatru jak powierzchnia nagle powstałego jeziora, zalewał stopniowo wyżej położone miejsca; niebawem wypełnił do połowy przepaść, której brzegiem szła karawana.

Kiedy Harting spojrział na dół, dostrzegł u stóp swych zamiast próżni ocean mgły wzbierający w oczach.

— To wspaniałe, śliczne! — zawołał. — Czy widzisz, Józefie? — dodał zwracając się do przyjaciela.

— Widzę — odparł Barrett — wcale jednak nie zachwycają się tymi cudami, wolałbym podziwiać je kiedy indziej.

— A to dlaczego?

— Bo ta mgła wznosząca się w górę może niebawem nas dosięgnąć. Dziękuję za taką przyjemność! Edwin wzruszył ramionami.

— Cóż to nas obchodzi? — rzekł. — Opary te nie są tak gęste, jak sądzisz, i z pewnością nie przeszkodziłyby nam w niczym.

— Zobaczmy — mruknął Barrett — wolałbym jednak znajdować się gdzieś w bezpieczniejszym miejscu. Podróż po omacku w tak bliskim sąsiedztwie przepaści nie uśmiecha mi się wcale.

Harting nic nie odpowiedział przyjacielowi i zapatrywał się dalej oparom pełzającym po urwiskach; nie przypuszczał ani na chwilę, żeby to morze pary wodnej grozić mogło karawanie powodzią ciemności.

Niebawem jednak jego spokój zniknął; obłoki bowiem zbijały się w zwartą masę, tworzyły jedną grupę, nieprzeniknioną dla wzroku oponę, która szybko wznosiła się w górę.

Edwin zauważył, że Indianie popędzali energicznie muły, wydając od czasu do czasu jakieś okrzyki w swoim narzeczu. Widocznie pilno im było wydostać się z niebezpiecznej ścieżki, która miała wkrótce utonąć w całunnie mgły. Zwierzęta, jak gdyby pojmując swe przykre położenie, przyspieszały kroku, o ile na to pozwalały warunki otoczenia. Rozwartymi szeroko nozdrzami wciągały do płuc wilgoć, wydając głośnie chrapanie, w którym czuć było przestrasz.

— Niech diabli porwą! — zawołał Barrett przechylając się na siodle, żeby lepiej widzieć mgłę. — Za kwadransik będziemy się musieli zatrzymać na nocleg. Ładna historia, ani słowa!

— Tak źle nie będzie! — odparł Harting wyjmując z kieszeni lunetę i obserwując przez nią górną część karkołomnej ścieżki. — Patrz no, front naszej karawany znajduje się już w wąwozie i my zdążymy się tam dostać przed zmrokiem.

— Oby! — westchnął Barrett. — Co do mnie jednak, wolę zawczasu poszukać sobie bezpiecznego miejsca w jakim załomie skały. Radzę ci zrobić to samo, inaczej nie dam i trzech groszy za twoją skórę.

I chemik zaczął się rozglądać po gładkiej, trachitowej* ścianie, gotów wleźć w pierwszą lepszą dziurę po drodze. Kilkakrotnie chciał się zatrzymać, ale Harting i jego ludzie, jadący z tyłu, naglili go o zrobienie im miejsca. Barrett więc nie mogąc się cofnąć, posuwał się rad nierad naprzód.

Niestety, przypuszczenia naszego wynalazcy sprawdziły się wkrótce; nie upłynęło nawet pół godziny od powyższej rozmowy, gdy morze oparów dosięgło karawany.

Indianie, nie czekając zupełnych ciemności, zatrzymywali się w najbezpieczniejszych punktach drogi; muły na głos swych panów klękały ostrożnie, po czym kładły się na brzuchach jak najbliżej ściany, niektóre z nich, nie znajdując dostatecznej przestrzeni dla siebie, ryczały głucho, budząc przeciągłe echa.

W ciągu kilkunastu sekund mgła stała się tak gęsta, iż Harting nie mógł dojrzeć przyjaciela, chociaż ten znajdował się od niego zaledwie o kilkanaście kroków.

Należało zaniechać dalszej podróży, która w podobnych warunkach byłaby szaleństwem.

Edwin zsiadł więc ostrożnie ze swego muła, wziął go za uzdę i pociągnął jak najbliżej do skały, o którą opierał się plecami.

— Gdzie jesteś, Barrett?! — zawołał.

— Tutaj! — odezwał się chemik. — Znalazłem sobie siedzenie, nie najwygodniejsze, to prawda, lecz dosyć bezpieczne. Muł będzie mi służył za poduszkę i za ogień zarazem, bo mi już dia-belnie chłód dokucza.

* *Trachit* — skała barwy szarej lub żółtawej, pochodzenia wulkanicznego.

Harting starał się przebić wzrokiem białą oponę dzielącą go od przyjaciela, lecz nadaremnie; widział nie dalej niż na cztery lub pięć kroków przed sobą, i to bardzo niewyraźnie.

Mgła, która zaskoczyła tak nagle karawanę, nie wyglądała na krótkotrwałą; należało więc przygotować się na przepędzenie nocy między niebem a ziemią, na wąziutkiej przestrzeni, nie dającej nawet wygodnego oparcia niewybrednym mułom.

Harting jednak przypomniał sobie, iż znajduje się prawie na samym końcu karawany, a więc ma swobodę ruchu wstecz; z tyłu jechało tylko czterech ludzi, pomiędzy którymi był także jego służący Bob.

Edwin nie widział ich, słyszał jednak z pewnej odległości rozmowę, której pojedyncze słowa dobiegały wyraźnie jego uszu.

- Bob! — krzyknął.
- Słucham — odpowiedział młody głos.
- Co robisz?
- Siedzimy we czterech i przywiązujemy muły do drzewa.
- Czy macie dużo miejsca?
- Niewiele, ale niech pan idzie do nas śmiało, póki jeszcze nie ciemno.

Harting po chwili namysłu zdecydował się opuścić swego muła, który leżał spokojnie w płytkim zagłębieniu skały; schyliwszy się więc, popelził na czworakach w stronę, gdzie niewyraźnie rysowała się sylwetka niskiego drzewa. Nie widząc zatopionej we mgle przepaści nie doznawał tej obawy, która prześladowała go od samego początku podróży w Kordylierach. Niebawem znalazł się w miejscu, gdzie rozłożyli się jego towarzysze. Było tu ciasno, to prawda, ale bezpiecznie; skała bowiem łagodnie pochylała się ku trachitowemu muirowi, tworząc rodzaj rowu naturalnego, napelnionego drobnymi okruchami tufu wulkanicznego, naniesionego przez wiatry z sąsiednich wyniosłości.

W kąciiku tym rosło trochę mchu i alpejskich traw, a nawet drzewo z rosochatymi, powykrzywianymi dziwacznie gałęziami. Harting, Zająwszy wskazane sobie miejsce, odetchnął całą piersią. Przepaść, którą czuł niedawno tuż pod swymi nogami, drażniła go nieznośnie; teraz dzielił go od niej próg skalisty — zawsze to coś znaczy. Nie potrzebował już liczyć się z każdym

swym ruchem, mógł więc spokojnie myśleć nad położeniem karawany.

— Czy wszystkie muły znalazły dość miejsca na tej przeklętej ścieżce?

Przypomniał sobie szerokie na parę stóp za ledwie przejście, które widział niedawno, i dreszcze go brały na przypuszczenie, iż pewna liczba obładowanych ciężkimi pakami zwierząt została zaskoczona przez mgłę w takich właśnie miejscach.

Rozumiał teraz, iż popełnił błąd nie do darowania, zapuszczając się z taką masą ludzi i zwierząt w dzikie, niedostępne, pozbawione wszelkich naturalnych i sztucznych dróg pasmo zachodnie ekwadorskich Kordylierów. Gdyby karawana składała się z kilkudziesięciu mułów, podobnie nieprzyjemna przygoda nie mogłaby jej spotkać. Teraz dość było silnej wichury, ażeby strącić w otchłań tych wszystkich, którzy nie zdążyli usunąć się na czas z karkołomnej ścieżki.

Harting więc z niepokojem nadstawiał ucha, .czy nie dosłyszysz charakterystycznego szumu wiatru w górach.

Na szczęście w atmosferze panowała zupełna cisza, mgła leżała nieruchomo, podobna do grubej warstwy puchu.

Karawana musiała więc oczekiwać dnia pomiędzy niebem a ziemią.

ROZDZIAŁ X NOCNA NAPAŚĆ

Co prowadziło Hartinga w zakątki niebotycznych gór, gdzieśmy go tak niespodziewanie napotkali? W jakim celu wiódł on ze sobą ten olbrzymi orszak mułów i Indian? Co zawierały tak mozolnie transportowane paki?

Ażeby móc odpowiedzieć na te pytania, musimy wniknąć bliżej w plany młodego astronoma.

Dzięki przebiegłości Tomasza Tabba i jego dowcipnemu zastosowaniu fonografu zdołaliśmy już poznać je w głównych zarysach.

Wiemy, że Harting zamierzał dać znać przypuszczalnym mieszkańcom Marsa o istnieniu ludzkości; domyślamy się także cokolwiek, jaką drogą chciał przeprowadzić swe ekscentryczne przedsięwzięcie.

Przesłać świetlny sygnał do punktu odległego o pięćdziesiąt milionów kilometrów, zadanie to jednak niełatwe, jeżeli się nawet dysponuje potrzebnym do tego światłem.

Harting je miał dzięki pomysłowości swego przyjaciela Bar-retta.

Uczony chemik rozwiązał kwestię bardzo prosto: zamiast uciekać się do elektryczności wymagającej kosztownych urządzeń, użył — aluminium.

— Aluminium? — powtórzy z niedowierzaniem osoba mało obeznana z tajemnicami chemii. — Jakże metal może służyć do wytworzenia światła, i to jeszcze tak potężnego jak to, którego potrzebował do swych ryzykownych prób Harting?

Otóż może. Należy bowiem wiedzieć, iż glin, ów lekki metal zawarty w glinie, pali się zupełnie tak samo jak magnezjum oślepiająco białym płomieniem, nie ustępującym wcale co do jasności łukowi elektrycznemu Volty.

Dawniej, kiedy aluminium potrafiiono otrzymywać tylko w małych ilościach bardzo kosztownymi metodami, nie można było marzyć nawet o zastosowaniu go do oświetlenia; dziś jednak, dzięki elektryczności, produkcja tego pierwiastka stała się nadzwyczaj łatwa i cena jego spadła znacznie.

Wyżej zaznaczona przeszkoda znikła więc, glin może służyć obecnie do wytwarzania światła taniego, a silnego.

Na nieszczęście, nie znamy ekonomicznych i łatwych do urządzenia lamp aluminiowych; dopiero Barrettowi udało się wynaleźć sposób usuwający wszelkie trudności.

Nasz chemik, zamiast palić glin, tak jak się pali magnezjum, we wstążeczkach, połączył je z tłuszczami oraz saletrą i otrzymał mieszaninę płonąca olśniewającym blaskiem.

Na próbach w obecności Hartinga napełniona ową masą i ważąca zaledwie dziesięć gramów rurka rozsiewała światło o natężeniu tysięcy świec.

Drogą prostego obliczenia Barrett przekonał się, iż dla urządzenia projektowanego przez jego przyjaciela sygnału należało zabrać tysięcy ton. aluminium i prawie taką samą ilość tłuszczów i saletry. Materiały te kosztowały zaledwie milion paręset tysięcy dolarów, to jest sumę w stosunku do środków Brightonu nieznaczną.

Największa trudność została pokonana.

W kilka tygodni po doświadczeniach potrzebna ilość wyżej wymienionych ciał znajdowała się już w posiadaniu Edwina, który też przystąpił niezwłocznie do wykonania swych nadzwyczajnych planów.

Gdzie powinien zabłysnąć sygnał, przeznaczony dla przypuszczalnych mieszkańców Marsa?

Najodpowiedniejszym miejscem po temu wydał się Hartingowi jakiś punkt leżący na równiku.

Lecz który?

Przypatrując się mapie obu półkul ziemskich, astronom nasz zwrócił uwagę na Ekwador.

Mały ten kraj, pokryty olbrzymimi górami i wzniesiony średnio prawie dwa tysiące metrów nad poziomem morza, doskonale odpowiadał wymaganym warunkom; można było bowiem znaleźć w nim z łatwością potrzebną ilość wywyższonych punktów na pomieszczenie ognisk tworzących sygnał.

Harting musiał wybierać punkty wzniesione, gdyż chciał mieć ponad sobą czystą i rzadką atmosferę, która by mu pochłonęła jak najmniej światła, pod sobą zaś obłoki; tych się najbardziej obawiał, gdyż mogły mu zasłonić niebo.

Po długim namyśle Harting postanowił nadać swemu sygnałowi następujący kształt:



Miała to więc być gwiazda składająca się z dziewięciu świetlnych punktów, z których pięć leżałoby na równiku, cztery zaś — na południku.

Punkty owe tworzyły cztery promienie wskazujące północ, południe, wschód i zachód.

Forma gwiazdy i jej położenie na powierzchni Ziemi od razu musiały, zdaniem naszego astronoma, rzucić się w oczy mieszkańcom Marsa i naprowadzić ich na domysł, iż mają do czynienia nie z dziełem przypadku, lecz z wytworem istot inteligentnych.

Dokonane wcześniej obliczenia przekonały Edwina, iż pojedyncze punkty jego gwiazdy powinny znajdować się w odległości przynajmniej sześćdziesięciu kilometrów jeden od drugiego. W przeciwnym razie sygnał przedstawiłby się z Marsa jako świetlna plama o niewyraźnych kształtach.

Plan był więc gotów, należało go teraz wykonać.

Wylądowawszy w Esmeraldas, małej przystani położonej pod samym równikiem, Edwin Harting zabrał się do niezmiernie trudnego dzieła.

Należało przewieźć z brzegu morskiego do wnętrza ekwadorskich Kordylarów, przez okolice pozbawione wszelkich nowoczesnych środków komunikacji, olbrzymią ilość — przeszło dwa tysiące ton — palnej masy i, rozdzielwszy wszystko na dziewięć części, umieścić takowe w wytkniętych na mapie punktach.

Wyprawę czekały nie lada trudy.

Harting, nie mając do rozporządzenia innych środków komunikacyjnych, musiał użyć mułów. Sformowana przez niego karawana po długiej wędrówce przez dziewicze lasy, poprzerzynane rzadko uczęszczanymi ścieżkami, dotarła w końcu do zachodniego pasma Kordylarów.

W okolicy Quito karawana rozdzieliła się na dziewięć grup, z których każda otrzymała rozkaz dostawienia na wyznaczone sobie miejsce dwustu pięćdziesięciu ton palnej masy.

Naczelnikiem oddziału drugiego mianowano Simsa, z którym zawarliśmy znajomość na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy”.

Uczony ten miał bardzo trudne zadanie; musiał bowiem wdrzeć się na stromy, trzywierzchołkowy wulkan Antisana, leżący na skraju wschodnich Kordylierów o dziesięć mil na południo--wschód od Quito, i tam, jak najwyżej, założyć stację.

Pan Sims był nieustraszonym podróżnikiem, czego dał dowody podczas swych dwóch wypraw podbiegunowych; zadanie powyższe nie wydało mu się więc nadzwyczajne.

Rozstając się z Hartingiem obiecał, iż wytęży wszystkie siły, aby dostać się na środkowy szczyt Antisany.

Pan Sharp, podług otrzymanych instrukcji, powinien był znajdować się w samym środku sygnału na równiku.

Za centrum dla swej gwiazdy obrał Harting punkt leżący o trzy mile geograficzne na zachód od wulkanu Cayambe, przez którego krater przechodzi równik.

Miejsce to położone na stoku poprzecznego węzłowiska, które bieży ze wschodu na zachód płaskowzgórza, jest zupełnie dostępne. Harting zamierzał rozniecić tam najsilniejsze światło. Pan Sharp musiał przeto prowadzić ze sobą olbrzymią karawanę, składającą się, w celu ułatwienia pochodu, z trzech oddziałów.

Panowie Smith i Fields otrzymali polecenie urządzenia północnego promienia gwiazdy. Dla skrócenia sobie trudnej drogi w górach wylądowali oni nie w Esmeraldas, lecz u ujścia rzeki Mira. Smith miał zająć pozycję na szczytach pasma Kordylierów pod $1^{\circ} 20'$ szerokości północnej i o $40'$ na zachód od Quito. Wody rzeki Miry zanosły go do miejsca odległego zaledwie o pięć mil geograficznych od celu podróży.

Fieldsowi polecono trzymać w głębokiej tajemnicy swe zamiary w celu uniknięcia przeszkód ze strony mieszkańców tamtych okolic, dość gęsto zaludnionych.

Pan Richardson podjął się najtrudniejszego zadania, a mianowicie założenia światła na wschodnim punkcie, który, według obliczeń Hartinga, leżał w dorzeczu rzeki Napo.

Ażeby dokonać tego trudnego dzieła, należało dotrzeć jak najbliżej ujścia rzeki Czoty, przebyć całą szerokość wielkiego płaskowzgórza i przedrzeć się następnie na wschodnie stoki wschodnich Kordylierów, gdzie zaczynały się już dziewicze puszcze, sięgające aż do brzegów dalekiego Atlantyku.

Harting dlatego tylko powierzył Richardsonowi tę trudną misję, iż miał możliwość poznać go w drodze jako człowieka o żelaznej woli, obdarzonego niepospolitym zdrowiem, które mu pozwalało znosić bezkarnie wszelkie trudy.

Przeprowadzenie olbrzymiej karawany do tak odległego i niedostępnego punktu wymagało pewnego doświadczenia, które pan Richardson nabył już od dawna w swych naukowych podróżach po wszystkich prawie krajach Ameryki.

Najmniej kłopotów spadło na głowę pana Nodda, który miał obowiązek urządzenia światła na zachodnim promieniu gwiazdy.

Pan ten nie potrzebował odbywać niebezpiecznych podróży przez dziewicze lasy lub niebotyczne góry, mógł bowiem dostać się do miejsca przeznaczenia wspaniałą rzeką Esmeraldas i jej dopływami.

Umówiono się, iż sygnał zostanie zapalony punktualnie o dziewiątej wieczorem, dnia 12 października.

Każdy z uczestników wyprawy powinien był zawiadomić Hartinga, znajdującego się na szczycie góry Zuncho, o zajęciu wskazanego sobie

punktu i o możliwości spełnienia zadania. Był to bardzo ważny środek ostrożności.

Natychmiast po dokonaniu wielkiego dzieła nasi podróżni, zgodnie z napisaną przez Hartinga instrukcją, mieli powrócić nad morze do Guayaquilu albo do Esmeraldas i tam oczekiwać na jacht Brightona.

Widzimy więc, iż karawana miała jeszcze przed sobą kilkadziesiąt kilometrów mozolnej drogi przez strome pasmo oddzielające ją od celu podróży.

Harting, uspokojony cokolwiek ciszą panującą w atmosferze, pogodził się powoli ze swym nieprzyjemnym położeniem. Ostatecznie noc musiała minąć, a mgła pierzchnąć przed pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

Trzeba było pomyśleć o spoczynku, ażeby pokrzepić siły nadwątłone całodzienną drogą.

Garstka ludzi, przytulona w zagłębieniu skalnym, wiszącym nad przepaścią, zaczęła niebawem odczuwać przykry chłód. Jakkolwiek bowiem Ekwador leży pod samym równikiem, to jednak temperatura na pokrywających go od zachodu górach i płasko-wzgórzach, wzniesionych często na kilka tysięcy metrów nad poziom morza, opada czasem do zera; najwyższe szczyty wulkanów takich, jak Cotopaxi, Pichincha, Chimborazo i innych są nawet pokryte nigdy nie topniejącym śniegiem.

Harting i jego towarzysze chętnie rozgrzaliby się przy ogniu, gdyby go mieli z czego i gdzie rozniecić.

Drzewo, pod którym się znajdowali, dostarczyłoby od biedy opału, gdyby je było można ściąć i porąbać bez narażenia się na skręcenie karku.

Bob próbował odłamać kilka niżej rosnących gałęzi i w tym celu wdrapał się na pień, głucho trzeszczenie w korzeniach ostrzegło go jednak, iż powinien się mieć na ostrożności, gdyż drzewo nie stoi dość mocno.

Podróźni nasi musieli zatem wyrzec się ciepła i szczerkać zębami w chłodnej mgle, która stawała się coraz gęściejsza.

O wieczery nie było co myśleć. Harting dla rozgrzania się łyknął tylko trochę koniaku ze swej podróżnej manierki, potem, owinąwszy się w swe obszerne, wełniane ponczo, umieścił się, jak mógł najwygodniej, w załomie skały obok towarzyszy i postanowił przespać, jeżeli się da, przykrą noc.

Barrett, który znajdował się w cokolwiek lepszych warunkach, miał bowiem stosunkowo dosyć miejsca, chrapał już od dawna w swojej norze, oparłszy głowę na grzbiecie leżącego tuż przy nim muła.

Bob, Murzyn będący w służbie u Hartinga, oraz czterej ludzie zabrani przez kapitana Nelsona z Bostonu i należący do wyprawy ulokowali się także jako tako i wkrótce wraz ze swym przywódcą zapadli w sen głęboki.

Jak długo Edwin spał? Na to pytanie nie potrafiłby na pewno odpowiedzieć, ocknął się nagle na odgłos jakiegoś niezrozumiałego chrapania czy też mruczenia, które dobiegło jego uszu.

Zrzuciwszy z głowy ponczo, Harting wsparł się na łokciu i bacznie nad słuchiwał w otaczającej go ciemności.

Za chwilę owe głosy powtórzyły się; najwyraźniej wydawały je muły wierzchowe, przywiązane w odległości kilkunastu kroków do jakiegoś krzaka, wyrastającego ze szczeliny w skale.

Bob, spoczywający obok swego pana, przebudził się także i, przecierając klejące się oczy, patrzył we mgłę, daremnie usiłując cokolwiek bądź dostrzec.

— Słyszałeś? — zagadnął go Harting.

— Słyszałem, panie — odparł Murzyn. — Muły przelękły się czegoś i dlatego tak mruczą.

— To zapal kawałek suchej gałęzi i idź zobacz, co się stało. Właśnie Murzyn zabrał się do spełnienia otrzymanego rozkazu, gdy wtem rozpaczliwy, pełen bólu i trwogi ryk muła rozdarł powietrze; zaraz potem rozległo się głośnie szamotanie i silne uderzenie kopytami w skałę.

— Baczość! Broń w rękę! — zawołał Harting zrywając się na równe nogi i chwytając dubeltówkę.

W tej chwili zajaśniał płomień rozniecony przez Boba. Przy świetle tym, słabo rozpraszającym ciemności, nasz astronom z trudnością mógł rozeznaczyć cośkolwiek na trzy kroki przed sobą; pomimo to ruszył w kierunku mułów, podpierając się dla pewności lufą swej strzelby.

Jego towarzysze, zaalarmowani okrzykiem i hałasem, szukali po omacku dubeltówek, szykując się do odparcia niewidzialnego wroga. Brakowało im wszakże odwagi wysunąć się naprzód, przepuścili więc koło siebie Hartinga, który zachował zimną krew i gotów był powitać kulą każdego napastnika.

Zbliżywszy się do miejsca, gdzie stały muły, nasz astronom odwiódł kurki od dubeltówki nabitej stalowymi pociskami i zatrzymał się na chwilę, chcąc coś dostrzec w grubej mgle.

Rozległ się znowu ryk, podobny do poprzedniego, lecz znacznie już słabszy. Edwin usłyszał nadto jakieś stłumione gniewne mruczenie, które go przejęło lekkim dreszczem. — Bob! Prędeż ze światłem tutaj! — zawołał.

Murzyn był posłuszny, pomimo iż drżał cały z przestachu.

— Jestem, panie, jestem! — rzekł. — To jaguar albo puma morduje muła. Wróćmy się lepiej, panie, wróćmy, inaczej on rzuci się na nas.

Pomimo tych błagalnych próśb Boba Harting szedł dalej, nie zważając na nic. Bolesne jęki szarpanego muła zbudziły w nim nieprzepartą chęć ukarania mordercy.

Postąpiwszy jeszcze parę kroków naprzód, młody astronom ujrzał wreszcie muły: biedne zwierzęta, strwożone, zbite w gromadę, przytuliły się do skały i nie próbowały nawet ratować się ucieczką; czuły snadź, iż mają zamkniętą drogę, i biernie poddały się losowi. Harting na pierwszy rzut oka nie dostrzegł napastnika, który był powodem tego popłochu, dopiero potem, kiedy Bob podniósł wysoko ponad głowę płonącą gałąź, oczom jego przedstawiła się krwawa scena.

Pod wystającą skałą, w półkulistym zagłębieniu, leżał muł miotając się konwulsyjnie w uściskach niedźwiedzia; z rozdartego gardła i boku ofiary spływała struga czerwonej, pieniącej się krwi, którą morderca chciwie chęptał.

Na widok człowieka niedźwiedź podniósł głowę, przyozdobioną białą łatą, i mruknął gniewnie, nie porzucając jednak swej zdobyczy; chytrymi, małymi oczkami mierzył Hartinga, jakby oczekując zaczepki.

— Uciekajmy, panie! — jęczał Murzyn chowając się za najbliższego muła.

— Milcz! — rzekł Harting.

— Och, on idzie do nas! Uciekajmy! — błagał dalej Bob.

Edwin nie zwracał jednak uwagi na swego służącego, podniósł do ramienia dubeltówkę i celował z zimną krwią.

W parę sekund potem rozległ się wystrzał, któremu zawtórowały długie, tysiękrotne echa w otaczających górach.

Kiedy dym prochowy rozszedł się cokolwiek, Harting z trwogą przekonał się, iż niedźwiedź, zamiast paść od razu, zbliżał się ku niemu ze złowrogim sapaniem; otrzymał snadź tylko postrzał w przednią nogę, gdyż kulał.

Na widok rozjuszzonego zwierza trzymający pochodnię Murzyn zaczął się cofać, zostawiając swego pana w ciemnościach.

Harting, korzystając ze słabnącego światła, złożył się z szybkością błyskawicy i dał ognia powtórnie. Na huk dubeltówki odpowiedział przeciągły ryk niedźwiedzia. Był to dowód, iż druga kula nie sprawiła się lepiej od pierwszej.

Edwin znalazł się nagle sam jeden wobec rozdrażnionego ranami zwierza; instynktownie sięgnął po rewolwer, lecz na nieszczęście nie znalazł go za pasem.

„Zginąłem!” — pomyślał cofając się po śliskich skałach.

Słyszał wyraźnie oddech niedźwiedzia i szelest jego kroków, oczekiwał więc, na wpół nieprzytomny, rychtoli uczuje potężne pazury i zęby na swych piersiach.

— Tu, do mnie! — zawołał stłumionym głosem. Zdawało mu się, że ktoś odpowiedział na to rozpaczliwe wezwanie, lecz nie był tego pewny; wypuściwszy z dłoni bezużyteczną już dubeltówkę, szedł po omacku tuż przy trachitowej ścianie, uderzając czołem o występy skały. Panowały zupełne ciemności, bo pochodnia Boba zagasła przed chwilą. Była to ucieczka bez nadziei uniknięcia niebezpieczeństwa. Na domiar złego Edwin, zawadziwszy o jakiś kamień, potknął się i upadł; cudem tylko nie zleciał w przepaść, od której oddzielała go maleńka przestrzeń.

Chciał się zerwać i biec dalej, gdy nagle usłyszał jakiś dziwny odgłos, było to jakby uderzenie twardym przedmiotem o coś miękkiego. Zaraz potem odezwało się w pobliżu przeciągłe chrapnięcie, szelest kamieni staczających się w otchłań i głuchy łoskot gdzieś nisko.

Rzecz dziwna: Harting nie czuł przy sobie niedźwiedzia, choć ten powinien był go już dosięgnąć. Podniósłszy się postąpił parę kroków naprzód i wyciągniętymi rękoma dotknął jakiegoś ubrania.

— Czy to ty, Harting? — odezwał się głos w ciemności. Równocześnie zabłysła zapalka i nasz astronom ujrzał przed sobą Barretta z dubeltówką przygotowaną do strzału.

— Niedźwiedź, niedźwiedź! — rzekł głosem drżącym ze zdenerwowania. — Strzeż się!

— Nie widzę go — odparł chemik.

— Goni mnie... jest tu na ścieżce, zraniłem go.

— Et, pleciesz! — rzekł Barrett zapalając drugą zapalkę. Oddawszy pudełko przyjacielowi, chemik wyminął go i z przyłożoną do ramienia bronią posuwać się zaczął naprzód. Harting szedł wolno za nim, przyświecając, jak się dało. W ten sposób obaj dotarli aż do mułów, nie napotkawszy nic po drodze.

— Gdzież, u licha, podział się twój niedźwiedź? — zapytał chemik wybuchając głośnym śmiechem. Edwin stał zdziwiony nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Albo ja wiem? Uciekł czy zleciał w przepaść. Zdawało mi się nawet, że słyszałem upadek jakiegoś ciężkiego ciała. Chodź i zobacz zagryzionego muła... tam leży... o, jeszcze żyje nieborak...

Teraz dopiero Barrett przekonał się, że przyjaciel jego mówił prawdę. Rany muła zadane długimi pazurami, od których ślady widniały na ziemi,

stanowiły niezbity dowód, iż przygoda astronoma nie była przywidzeniem.

Co się jednak stało z niedźwiedziem?

Nasi podróżni, oglądając przy świetle zapalonej na nowo pochodni miejsce wypadku, zdołali w końcu rozwiązać tę kwestię.

Rzecz miała się tak:

Raniony niedźwiedź w istocie porzucił swą ofiarę w zamiarze spróbowania zębów i pazurów na naszym astronomie. Wprzód jednak, zanim go zdołał osiągnąć, musiał przebyć wąski szlak ścieżki, na którym stały muły; jeden z nich, przestraszony zbliżeniem się napastnika, poczęstował go prawdopodobnie potężnym kopnięciem i wtrącił w przepaść.

Gdyby nie ten szczęśliwy obrót sprawy, Harting przyplaciłby życiem swą odwagę; jego towarzysze bowiem, pogrążeni w ciemnościach, nie mogli pomimo chęci zrobić użytku ze swych dubeltówek i rewolwerów.

Nauczeni przykrym doświadczeniem, nasi podróżni mieli się odtąd na baczności do samego poranka. Harting, słusznie obawiając się drugiej wizyty nieproszonego gościa, rozkazał czuwać z bronią w ręku jednemu ze swych ludzi.

Ostrożność ta okazała się wszakże zbyteczna; reszta nocy minęła bez żadnego wypadku.

Słońce, które ukazało się niespodziewanie, bez jutrzeńki, na niewidzialnym horyzoncie, rozproszyło niebawem mgłę i otworzyło drogę uwięzionej od szesnastu godzin karawanie.

O ósmej rano karawana zaczęła się znów posuwać w kierunku mających niewyraźnie szczytów, na których miał zajaśnieć południowy promień gwiazdy Hartinga.

ROZDZIAŁ XI DZIWNE ZJAWISKO

Oprócz długiego szeregu głębokich wąwozów przerzynających zachodnie stoki Kordylierów, od celu podróży dzieliła jeszcze naszą karawanę rzeka Pastaza, będąca lewym dopływem Amazonki.

Mapy wskazywały istnienie kilku mostów w górnej części biegu tej rzeki. Jednym z nich Harting zamierzał się przeprawić; w tym celu, zamiast iść w kierunku góry Patas, zwrócono się cokolwiek na zachód.

Przez dwa dni następne, to jest 22 i 23 sierpnia, karawana posuwała się bardzo powoli, zatrzymywana co chwila przez ja kąś trudną do wyminięcia przeszkodę. Strome ściany skalne, odosobnione szczyty, najeżone potężnymi głazami kotliny — zmuszały Hartinga do częstego zbaczania z drogi.

Brzegi Pastazy ujrano dopiero 27 sierpnia o dziesiątej rano. Rzeka ta, rozlewająca się szeroko poniżej, w tym miejscu stanowiła bystry, kręty potok, ujęty w skaliste, usiane odłamami skał koryto. Na pierwszy rzut oka wydawał się on dosyć głęboki.

Po parogodzinym pochodzie wzdłuż brzegu karawana znalazła się wreszcie w miejscu, gdzie zgodnie z mapami miał leżeć most.

Powiedzieliśmy „miał leżeć”, gdyż w rzeczywistości wcale go tu nie było. Dopiero Indianie po długich poszukiwaniach zdołali odszukać gdzieś pomiędzy drzewami rzadko obrastającymi brzegi potoku niejaki ślady, które pozwoliły domyślić się, iż most ów w swoim czasie nie był mitem.

Zbutwiałe szczątki grubych lin, splecionych z pnąców, zwieszających się z przeciwległego brzegu, nie na wiele mogły się przydać; o zbudowaniu nowej kładki nie było nawet co myśleć wobec braku odpowiedniego materiału. Należało tedy wynaleźć inny sposób przeprawienia się przez Pastazę.

Barrett proponował, ażeby zbudować tratwę i przewozić muły po kilka sztuk. Przyjrząwszy się jednak szumiącym pomiędzy skałami nurtom, odstąpił od swego planu.

W istocie przeprawa na tratwie przez pieniaący się potok byłaby lekceważeniem życia; nawet Indianie, przyzwyczajeni żeglować po bystrych, górskich rzekach, potrzęsali przecząco głowami, dowiedziawszy się o zamiarach naszego chemika.

Cóż więc miał robić Harting?

Budować prom?

I takie przedsięwzięcie było niemożliwe; jakimże bowiem sposobem przerzucić przez rzekę ciężką linę i. następnie przymocować ją na przeciwległym brzegu?

Harting, naradziwszy się z Indianami, postanowił szukać brodu; w braku zaś tegoż — jakiegoś miejsca w górze rzeki, dogodnego do żeglugi tratwą.

Karawana ruszyła więc znowu lewym brzegiem zarosłym krzakami i soczystą trawą, którą muły uraczyły się do woli na postoju.

Harting jechał jak mógł najbliżej potoku i co kilkadziesiąt metrów kazał towarzyszącym mu Indianom mierzyć głębokość wody.

Okazało się jednak niebawem, że Pastaza jest we wszystkich punktach nie do przebycia; koryto jej ku źródłom pogłębiało się coraz bardziej, wciśnięte pomiędzy dwie prostopadłe, poszarpane ściany, u których stóp nurty wrzały z podwójną energią. Z dna wystawały gęsto potężne głazy, przez które woda przeskakiwała, okrywając się białą pianą; podróżni napotykali nadto katarakty coraz groźniejsze i bardziej spiętrzone.

Pastaza stawała się burzliwym, niszczącym potokiem górskim, który można było przeskoczyć, ale nigdy przepłynąć.

Harting niecierpliwił się; Barrett zaś, któremu podróż dała się porządnie we znaki, przeklinał Ekwador i niedbalstwo jego mieszkańców.

— Jeżeli wszystkie mosty są tutaj podobne do tego, na który liczyliśmy, to wypadnie nam chyba obchodzić źródło Pastazy, ażeby się dostać na jej brzeg przeciwny — mówił gestykulując z oburzeniem. — Ci Hiszpanie pod względem środków komunikacji stoją, jak się okazuje, znacznie niżej od Peruwian, dawnych władców tej krainy, którzy budowali w swoim czasie wspaniałe drogi w Kordylierach.

Oto co może zrobić z najbardziej kwitnącego i ucywilizowanego kraju rabunkowa gospodarka łakomych na złoto zdobywców!

Na bezskutecznych poszukiwaniach brodu zszedł cały dzień. Zniechęcony Harting już na godzinę przed zachodem słońca dał wystrzał sygnał do zatrzymania się na nocleg.

Obrane przez niego miejsce leżało tuż naprzeciw ujścia wąwozu wijącego się we wschodnim kierunku ku śnieżnemu pasmu, przez które z tak wielkim trudem przedarła się niedawno karawana. Pastaza szumiała tutaj w głębokim na kilkanaście metrów łożysku, pomiędzy malowniczo ugrupowanymi bazaltowymi skałami, których szczyty piętrzyły się wysoko ponad głowami naszych podróżnych.

W pięknym tym, lecz dzikim ustroniu rosło trochę krzewów i trawa, na którą chciwie rzuciły się spętane i rozjuczone muły. Niebawem u stóp skał zapłonął długi szereg skąpych ogni, które obsiedli w kucki Indianie. Harting i Barrett rozłożyli się na wierzchołku płasko ściętej piramidy i zabrali się niezwłocznie do gotowania paragwajskiej herbaty — powszechnego i ulubionego napoju Ekwadorczyków.

Bob zaś z namaszczeniem zaczął ściągać skórę z zastrzelonego po południu wigonia*, który miał stanowić główną część kolacji.

Edwin i jego przyjaciele chętnie godzili się z miejscową kuchnią i nie tęsknili bynajmniej za wykwinnym stołem, jaki mieli na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy”. To koczownicze życie, które pędzili od kilku tygodni, zupełnie odpowiadało ich usposobieniu:

czyste, rozrzedzone górskie powietrze, oddziałując dodatnio na funkcje ich organizmów, potęgowało niesłychanie apetyt. Barrett, który zawsze jadł dużo, zrobił się w podróży prawdziwym żarłokiem, zdolnym pochłonąć za jednym posiedzeniem pięć funtów wonnej pieczeni z lamy lub cały prawie udziec wigonia.

Chęć zaspokojenia podwyższonych wymagań żołądka zrobiła zeń myśliwca, który nie darował żadnej zwierzynie zbliżającej się do karawany na odległość strzału.

Dzięki temu nasz chemik zapoznawał się powoli z bogatą fauną Kordyliarów i stawał się po trosze dyletantem-zoologiem. Harting, także interesujący się przyrodą, z ochotą dotrzymywał mu towarzystwa w przygodnych myśliwskich wyprawach, których owoce wobec braku świeżych prowiantów były bardzo pożądane.

Oprócz bowiem Edwina, Barretta i Boba do pieczeni mieli jeszcze pretensje ludzie eskortujący karawanę; nasz astronom zabrał ich ośmiu, innych przyłączono do pozostałych grup.

Wynalazca aluminiowego światła nie trzymał się więc i nie marnował prochu bezużytecznie.

O szóstej słońce skryło się za dalekim łańcuchem zachodnich Kordyliarów, po czym mrok zaczął zapadać szybko, jak zwykle pod równikiem, Harting jednak zrobił ciekawe spostrzeżenie, że zachodnia część nieba stosunkowo przez długi czas po zniknięciu gwiazdy dziennej gorzała jaskrawoczerwoną łuną. Fakt ten tym bardziej był dziwny, iż nasi podróżni ani razu nie widzieli zorzy

* *W i g o ñ* — duży ssak pokrewny lamie.

wieczornej, zjawisko to bowiem, jak wspomnieliśmy, nie znane jest w gorących strefach.

Cóż więc znaczyło owo niespodziewane zaognienie się nieba?

Harting po zastanowieniu się przyszedł do przekonania, iż zaobserwowany przez niego fakt miał prawdopodobnie za przyczynę obecność subtelnego pyłu w górnych warstwach atmosfery. Zapewne jeden z licznych okolicznych wulkanów ożywił swą działalność, co zresztą często zdarza się w Ekwadorze podminowanym przez siły podziemne.

Nasi podróżni zapomnieliby wkrótce o swym spostrzeżeniu, gdyby nie zdarzenie, jakie zaszło w kilka godzin potem.

Po wieczery, spożytej z apetytem, karawana ułożyła się do nocnego spoczynku. Czuwało tylko kilku Indian, którzy pilnowali mułów pasących się nad brzegiem Pastazy. Ognie słabo zasilane paliwem gasły jeden po drugim, pogrążając ujście wąwozu wraz z biwakiem w ciemnościach,

rozpraszanych tylko światłem gwiazdozbiorów jasno iskrzących się na firmamencie.

Harting, mocno znużony utrudzającą podróżą, spał jak zabity na swym ponczo, z głową opartą na siodle. Obok niego chrapał straszliwie Barrett, któremu z daleka wtórowali członkowie eskorty.

Zasłużony tak uczciwie spoczynek nie trwał jednak długo, tylko tym razem nie naruszył go ani niedźwiedź, ani żaden inny napastnik, lecz — Pluton*.

Była może pierwsza po północy, kiedy we wnętrzu skał, na których znajdowała się karawana, zahuczał przeciągły, głuchy grzmot, podobny zupełnie do dalekiego ognia działowego. Odgłos ten, chociaż dość silny, nie spędził snu z powiek naszych podróżnych. Indianie oswojeni z objawami działalności sił podziemnych, tak pospolitymi w Ekwadorze, również nie zwrócili na huk uwagi.

W pół godziny jednak po pierwszym huku nastąpił drugi, tak gwałtowny, iż wszyscy członkowie karawany, przerażeni, otworzyli oczy.

— Burza nadchodzi! — rzekł Barrett nie wysuwając głowy spod poucza.

** Pluton — bóg podziemi w mitologii rzymskiej.*

— Ale gdzie tam! — odparł Harting. — Niebo jest zupełnie pogodne.

— Jak to? — oburzył się chemik. — Słyszałem przecie najwyraźniej silny grzmot.

— I ja także — rzekł Edwin — ale to nie burza.

— Więc cóż by?

— To trudno odgadnąć. Może jakaś skała zawaliła się nagle w pobliżu.

— To nieprawdopodobne. Gdyby zresztą taki wypadek miał miejsce, słyszelibyśmy krótki łoskot, któremu towarzyszyłoby wstrząśnienie.

Dalsze domysły przerwał nowy grzmot. Był to jakby turkot ciężko ładowanych wozów po ulicznym bruku, zakończony krótkim wybuchem, od którego z lekka zdrząły skały.

— Oho! Podziemna muzyka! — rzekł Barrett. — Zapewne jakiś sąsiedni wulkan postanowił sobie trochę pohulać. Takie historie zdarzają się tu dość często, jak słyszałem.

— Częściej aniżeli w jakiegokolwiek bądź innej okolicy Ameryki — odparł Harting. — Ekwador, a zwłaszcza miejscowości, w których się znajdujemy, są jednym olbrzymim wulkanem o kilkunastu kraterach, ciągle prawie czynnych.

— Cotopaxi, nasz najbliższy sąsiad, od niepamiętnych czasów zionie dymem i ogniem i splątał już niejednego figla tutejszym mieszkańcom. Grzmoty, które słyszeliśmy przed chwilą, to zapewne jego sprawa. Trzeba ci wiedzieć, mój kochany, iż w Ekwadorze trzęsienia ziemi są codziennym nieledwie zjawiskiem.

— Miły kraj!... — rzekł chemik krzywiąc się.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Patrz, nasi Indianie nawet nie raczyli się podnieść.

— Czy tę odgłosy podziemne zwiastują wybuch? — zagadnął Barrett.

— Tak, każą one spodziewać się wzmożenia działalności sił wulkanicznych i ewentualnie trzęsienia ziemi.

— Ciekawe to być musi, ale wolałbym, żeby nas nie spotkało, zwłaszcza tutaj w górach.

— Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać świadkiem tak wspaniałego zjawiska, jakim jest trzęsienie zie-

mi — rzekł Harting zamyślając się. — Lubię patrzeć na rozpa-sane żywioly i na ich wybryki, bo wtedy czuję, iż natura żyje. Ziemia żyje także. Wulkany są jej płucami, ogień i dym oddechem, lawa — krwią, a wstrząśnienia skorupy — pulsem.

— Bardzo piękny pogląd. Szkoda tylko, iż owe objawy życia naszego globu bywają zawsze przyczyną śmierci wielu istot ludzkich i...

Barrettowi przerwał nowy huk, znacznie dłuższy i potężniejszy od poprzednich. Tym razem nawet Indianie zaczęli się niepokoić. Niektórzy z nich kładli się na brzuchy i przykładali ucho do powierzchni ziemi, jak gdyby pragnąc się dowiedzieć, co się dzieje w jej wnętrzu.

Harting, zaintrygowany takim zachowaniem się swych ciemnoskórych towarzyszy, pytał ich o rezultaty tych spostrzeżeń.

Za całą odpowiedź mulnicy kiwali poważnie głowami, wskazując ręką ku północo-zachodowi, w kierunku wulkanu.

O czwartej rano Indianie zaczęli pośpiesznie objuczać muły; pilno im było widocznie opuścić zacieśnione, otoczone skałami miejsce noclegu.

Nie ulegało tedy wątpliwości, iż zwiastowane podziemnymi grzmotami trzęsienie ziemi mogło nastąpić lada chwila i zagrozić karawanie zmiążdżeniem pod jakimś wałącym się, granitowym kolosem.

Harting, ulegając radzie swych przewodników, wyruszył więc natychmiast, choć brakowało jeszcze pół godziny do wschodu słońca.

Noc nie była jednak ciemna; księżyc w pełni otulony w wielką, lisią czapę oświetlał dostatecznie drogę. Posuwano się dalej brzegiem Pastazy, unikając starannie bliskiego sąsiedztwa skał sterczących nad burzliwymi nurtami. Nie zawsze było to możliwe, często bowiem karawana miała przed sobą jedyne przejście pomiędzy dwiema ścianami, odległymi od siebie o kilkanaście metrów zaledwie.

Gdyby wstrząśnienie zastało naszych podróżnych w takim wąskim i długim korytarzu, nie obeszłoby się bez katastrofy, a przynajmniej bez jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

Toteż w podobnej gardzieli Indianie okazywali wyraźny prze strach, każdy silniejszy grom podziemny wywoływał pomiędzy nimi popłoch.

Muły, raczone potężnymi uderzeniami rzemieni, przyśpieszały kroku potykając się o kamienie zawalające drogi. Kto żyw, chciał jak najprędzej wydostać się na wolną przestrzeń.

Po trzygodzinnej gorączkowej wędrówce karawana znalazła się nareszcie w miejscu względnie bezpiecznym.

Było to obszerne, o surowej fizjonomii płaskowzgórza, nagie zupełnie, pochylone łagodnymi występami ku rzece. Na jego pooranej rozpadlinami powierzchni nie sterczały owe wysokie, groźne skały, których sąsiedztwa tak się obawiali Indianie. Gdzieś tam tylko dostrzegłeś tutaj jakiś odłam bazaltu lub granitu, wyniesiony zapewne przez szalejącą podczas deszczów Pastazę z jej kamiennego łóżyska.

Punkt ten nadawał się doskonale do przeczekania mających zajść wypadków.

Harting nie traciłby drogiego czasu w bezczynności, gdyby znajdował się w płaskiej okolicy, tutaj jednak, wpośród gór, które mogły lada chwila zachwiać się od potężnego wstrząśnienia i zasypać gradem skał doliny i wąwozy, musiał zaniechać na pewien czas swej podróży.

Ostrożność ta, jak się niebawem pokazało, była konieczna. Jeszcze bowiem karawana nie zdążyła zająć obranego na przystanek płaskowzgórza, gdy nagle ziemia drgnęła.

Barrett, który akurat zsiadł ze swego muła, uczuł silne wstrząśnienie, jakby na skutek miny zapalanej gdzieś głęboko pod jego stopami.

Harting, znajdujący się jeszcze na siodle, widział najwyraźniej, jak odległe o kilkadziesiąt kroków wierzchołki spiczastych skał nad brzegiem Pastazy zachwiały się na krótką chwilę pod wpływem tego uderzenia, po którym nastąpiły trzy wystrzały. jeden po drugim.

Wpółśród karawany zapanowała panika. Przeróżone muły kładły się na ziemię drżąc całym ciałem lub też rozkraczywszy nogi ryczały żałośnie. Niektóre z nich, wyrwawszy się z rąk swych właścicieli, biegały jak szalone w kółko z pochyloną nisko głową. Indianie, znajdujący się jeszcze w pobliżu skał, uciekali na otwarte miejsce, gnani niepohamowaną trwogą. Każdy szukał instynktownie schronienia, zapominając, iż znaleźć go niepodobna. Gdzie się ukryć, kiedy każde miejsce za minutę albo dwie może zamienić się w otchłań ziejącą płomieniami i rozpaloną lawą? Harting i jego przyjaciel nieprędko zdołali przyjść do siebie. Zdawało im się, że stoją na podminowanym gruncie. Ziemia parzyła stopy. Przykre wrażenie znikало stopniowo, pozostawiając jednak po sobie niezatarte wspomnienie.

— Czy to już koniec? — zagadnął Barrett siadając na płaskim kamieniu.

Edwin wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odparł — najpewniej jednak był to dopiero początek, po którym nie wiadomo jeszcze, co nastąpi. Huk podziemny nie ustał... zły prognostyk!

— Ha, czekajmy zatem dalszego ciągu! — rzekł z rezygnacją chemik, zdejmując siodło ze swego muła. — Brr!... Ależ to brzydka rzecz takie trzęsienie ziemi!... Zwariowałbym chyba, gdyby mi kazano mieszkać ciągle w tych stronach.

Ponieważ uderzenie nie ponowiło się, strach ludzi i zwierząt minął niebawem. Karawana zajęła płaskowzgórze na przestrzeni stu metrów wzdłuż brzegu Pastazy. Indianie, przewidując, iż wypadnie im zabawić dłużej w tym miejscu, wzięli się do budowy lekkich szałasów z długich liści palmy, które wozili w tym celu z sobą. Obficie rosnący w pobliżu mech dostarczył paliwa na ogień, przy którym zamierzano usmażyć ryby łowione w Pasta-zie przez odkomenderowany oddział.

Co do mułów, to musiały się zadowolić rzadkimi kępkami trawy wyglądającej spomiędzy brył tufu, który pokrywał płaskowzgórze grubą warstwą.

Nasi podróżni, nie czując ponad głowami groźących upadkiem skał, powrócili do równowagi.

Barrett, Zająwszy stanowisko na najwyższym punkcie płaskowzgórza, badał przez lunetę przebyte niedawno wyniosłości i starał się wynaleźć jak najwygodniejszą drogę w labiryncie ciemnoszarych granitów, które ciągnęły się daleko po obu stronach kapryśnej Pastazy.

Przyglądając się uważniej otoczeniu, chemik dostrzegał na każdym kroku ślady minionych katastrof. Całe płaskowzgórze nie było niczym innym, jak tylko olbrzymim strumieniem zastygłej lawy, która wypłynęła niegdyś z jakiegoś pobliskiego krateru, nieczynnego już teraz, i zapełniła prawdopodobnie dawne koryto Pastazy. Następne wybuchy rzuciły tu ową niesłychaną ilość wszędzie obecnego tufu i wiele żużlu, walającego się pomiędzy bazaltami i trachitami.

Popiół, naniesiony z daleka przez wiatry, utworzył wierzchnią warstwę, na której znalazły przytułek mizerne mchy i trawy.

Jakiś specjalista — geolog wyczytałby z tych danych wielowiekową historię płaskowzgórza i sąsiadujących z nim miejscowości. Barrett wywnioskował tylko, iż karawana znajduje się w miejscu, na którym bożek Pluton szczególnie lubił broić. Trzeba więc było przygotować się na wszystko lub wynosić gdzie indziej.

Z dwojga złego wolał Barrett to pierwsze, wiedział bowiem, iż w pobliżu nie ma żadnego czynnego krateru, który by wyrzucał roztopioną lawę lub rozpalone głązy.

Skończywszy swoje geologiczne obserwacje, Barrett powracał wolnym krokiem do obozu, gdy wtem, zupełnie niespodziewanie, nastąpiło nowe uderzenie.

Tym razem nie był to jeden odosobniony podskok partych w górę formacji, lecz kilka konwulsyjnych podrygów, poprzedzonych na mgnienie oka jakimś głuchym chrzęstem.

„Jakie to szczęście, że nie jesteśmy w tej chwili w zamkniętym miejscu albo w mieście! — pomyślał nasz chemik. — Ładne rzeczy muszą się teraz dziać w Quito, jeżeli wstrząśnienia aż tam dochodzą... Dziwne to pomyśleć sobie, iż cały nasz glob jest kropelką rozpalonej, płynnej lawy, pokrytej cienkim kożuszkiem, który może zapaść się pod nogami... Ba, a tutaj ów kożuszek, jak po wszystkim widać, jest diablo cienki i, co gorsza, podziurawiony kraterami jak wał forteczny wybuchami bomb...”

Barrett przerwał swoje rozmyślenia o trzęsieniu ziemi, gdyż uderzył go nadzwyczajny zamęt wpośród karawany... Indianie, siedzący przed chwilą jak najspokojniej przy ogniskach, zrywali się jeden po drugim i wśród gromkich okrzyków pędzili jak wariaci ku rzece. Rzecz dziwna, ich fizjonomie i ruchy nie wyrażały bynajmniej przerażenia, widniało w nich raczej zdziwienie i ciekawość.

Przy szaląsie wzniesionym świeżo dla naczelników karawany nie było nikogo. Nawet Bob oddalił się pozostawiając na łasce losu dużą, świeżutką rybę, którą widocznie zamierzał upiec przy płonącym z trzaskiem ogniu,

— Co to wszystko znaczy, u diabła? — zapytał sam siebie Barrett.

Chemik szukał oczyma powodu owego nagłego poruszenia, lecz nie dostrzegł na razie nic godnego uwagi. Indianie zgromadzili się na brzegu Pastazy. Zainteresowany tym Barrett przyśpieszył kroku i niebawem ujrzał Hartinga przypatrującego się pilnie rzece.

— Na cóż gapicie się tak zajadle? — zagadnął zbliżywszy się do niego.

— Niesłychane, niepojęte zjawisko! — zawołał astronom nie odwracając głowy. — Wyobraź sobie, Pastaza w przeciągu kilkunastu minut opadła o dziesięć stóp* przynajmniej i poziom jej obniża się dalej w oczach. Czyż nie widzisz?

Barrett spojrzął na wodę płynącą u swych stóp i krzyknął ze zdziwienia.

Szumiący tak głośno i groźny do niedawna potok zamienił się w wąziutką, spokojnie szmerzącą pomiędzy skałami strugę. Wody biegły w dół łożyska, nikły w dali, a inne nie zajmowały opróżnionego przez nie miejsca.

Źródła wspaniałej Pastazy wyschły snadź nagle wskutek nie-
wytlumaczonych przyczyn.

W pięć minut po przybyciu Barretta koryto szerokiej na trzydzieści metrów rzeki było zupełnie suche, gdzieniegdzie tylko w zagłębieniach świeciły drobne kałuże. Czarne, bazaltowe głązy, wygładzone

długoletnim działaniem fal, nieśmiało odbijały od mokrej jeszcze swej powierzchni promienie południowego słońca. Kropelki nieociekłej wody błyszcząły na ich czarnych cielskach jak brylanty na aksamicie.

Ryby zaskoczone nagłym brakiem swego żywiołu miały się konwulsyjnie z rozwartymi szeroko paszczami na wilgotnym, różnobarwnym żwirze.

Pastaza uciekła, jakby spłoszona przewrotami w łonie ziemi, zostawiając bezlitośnie na pastwę powietrza i słońca cały ten

** Stopa angielska = 30,478 cm.*

świat podwodny, który od wieków ukrywała w swym kryształowym łonie.

Nasi podróżni stali wobec tego niepojętego faktu zdumieni, nie wierząc jeszcze własnym oczom. Minęła jedna chwila, druga, dziesiąta — a rzeka nie wracała do opuszczonego tak niespodziewanie koryta.

Czyż obrała sobie krótszą drogę pomiędzy górami, czy wpadła w jaką przepaść, którą otworzył w jej łozu wybuch wulkanu?

Nie wiadomo, dość że karawana ujrzała nagle rzecz dziwną — powstrzymanie przez jakąś siłę wód tamujących jej przejście.

Pierwszy ocknął się z wrażenia Harting.

— Dziwne rzeczy dzieją się w tym kraju — rzekł podnosząc ramiona.
— Trzeba jednak skorzystać ze sposobności i przepawić się natychmiast na drugą stronę.

— Ma się rozumieć — odparł Barrett zacierając ręce. — Bożek Pluton okazał się wyjątkowo uprzejmym dla nas, za co jestem mu niewymownie wdzięczny. No, ale nie traćmy czasu, bo kto wie, co nastąpi.

Harting wydał niezwłocznie rozkaz przejścia osuszonej niespodziewanie Pastazy. Na szczęście muły znajdowały się jeszcze pod ręką. Indianie objuczyli je w kilkanaście minut i przeprawa rozpoczęła się. Dostęp do koryta był łatwy dzięki łagodnemu spadkowi płaskowzgórza. Nieznaczne urwiska przybrzeżne zasypało w mgnieniu oka bryłami tufu i utworzono w ten sposób zjazd, po którym muły wygodnie schodziły na samo dno łożyska, usiane twardym żwirem.

Edwin i Barrett jechali na przedzie, wskazując drogę. Niebawem koryto Pastazy napęłnił tłum zwierząt i ludzi kroczących śmiało tam, gdzie przed pół godziną pływały w rwących, pianistych nurtach pstrągi.

Indianie, zachwyceni tą oryginalną przeprawą, wydawali okrzyki triumfu, ludzie zaś należący do zbrojnej eskorty zbierali chciwie ryby rzucające się w płytkich kałużach i na wilgotnym żwirze.

Opróżnione z wód łożysko rzeki wyglądało jak nieskończenie długi, błotnisty wawóz do połowy zasypany kamieniami, zaokrąglonymi i wypolerowanymi bryłami skał, oderwanych gdzieś w górach i zaniezionych aż tutaj gwałtownym prądem.

Harting mógł pobieżnie zaledwie przypatrzeć się temu oryginalnemu widokowi, gdyż pilno mu było wyprowadzić na przeciwległy brzeg karawanę.

Znalazłszy dogodne wyjście z koryta, pierwszy stanął na suchym gruncie i wraz z Barrettem doglądał przeprawy, która odbywała się we wzorowym porządku.

W niespełna kwadrans wszystkie prawie muły znajdowały się na prawym brzegu Pastazy. Kilku maruderów pozostało w głębi koryta, ażeby zaopatrzyć się w ryby, których była nieprzebrana ilość pomiędzy głazami sterczącymi z piasku. Harting otworzył właśnie usta, ażeby nakazać im pośpiech, gdy wtem szum jakiś obił się o uszy.

To Pastaza powracała do swego łożyska. O kilkaset metrów wyżej pędziły z szaloną szybkością powstrzymane na krótki czas jej wody,

przeskakiwały zastępujące im drogę kamienie z dzikim pośpiechem, zajmowały skwapliwie swe dawne miejsce i, zapienione z gniewu, śpieszyły ukarać zuchwalców, którzy wtargnęli w ich posiadłość.

Indianie, spostrzegwszy zbliżające się niebezpieczeństwo, rzucili się do ucieczki.

Było jednak za późno. Nadciągająca jak huragan fala dosięgła ich, zanim zdążyli dotrzeć do brzegu, w mgnieniu oka powaliła i rozsrożona, biegła dalej z ogłuszającym rykiem, miotając swe ofiary o wystające z dna głazy.

Tak Pastaza pomściła splamienie swego łona przez ludzkie stopy.

ROZDZIAŁ XII

EDWIN HARTING I JEGO PRZYJACIEL ZAWIERAJĄ NOWĄ ZNAJOMOŚĆ

Po tym tragicznym wypadku, w którym tak niespodzianie utraciło życie trzech ludzi, karawana posuwała się dalej brzegiem zdradzieckiej Pastazy; Harting i Barrett bowiem pragnęli koniecznie dowiedzieć się, jaka przyczyna spowodowała dziwne zjawisko.

Chemik utrzymywał, iż silne wstrząśnienie ziemi podniosło dno rzeki i powstrzymało bieg wód. Harting zaś, bardziej ob-znajmiony z działaniem sił wulkanicznych, przypuszczał, iż do koryta Pastazy zwaliło się kilkanaście dużych skał nadbrzeżnych i utworzyło nagle wysoką tamę, przez którą woda nie mogła sobie na razie utworować przejścia.

Dla rozwiązania tak interesującej kwestii warto było nadłożyć trochę drogi.

Harting więc rozkazał zatrzymać się karawanie na małej równinie i sam, w towarzystwie Barretta i dwóch ludzi z eskorty, pojechał wzdłuż brzegu Pastazy, w celu zbadania przyczyn zaszłego wypadku.

Posuwano się dobrym kłusem, nie zważając na powtarzające się co kilka minut podziemne grzmoty i na rozpadliny, często na kilka metrów głębokie, którymi usiana była równina rozciągająca się aż do przyległego pasma górskiego.

Było jeszcze wcześniej. Nasi przyjaciele mieli przed sobą większą część dnia, mogli więc zapuścić się nawet kilkanaście kilometrów w górę rzeki.

Barrett, niezmiernie zaciekawiony, pędził na przedzie, trzymając się jak najbliżej brzegu i rzucając baczne spojrzenia na wody .toczące się w głębokim korycie.

Nie dostrzegł jednak nic podejrzanego. Pastaza szumiała tak jak dawniej pomiędzy kamieniami wyzierającymi ponad jej powierzchnię. Poziom jej nie był wcale wyższy niż zazwyczaj, słowem — żadne zmiany nie przypominały porannego zdarzenia.

— Kto wie, czy nie zadajemy sobie daremnego trudu! — rzekł Harting. — Być może, iż miejsce, którego szukamy, leży o kilkanaście kilometrów stąd...

— Toteż nie pojedziemy daleko — odparł chemik. — O trzeciej po południu wracamy, choćbyśmy się niczego nie dowiedzieli. Poczekaj no... Z tego urwiska rozciąga się rozległy widok na rzekę, trzeba popatrzeć przez lunetę.

Nasi podróżni, zboczywszy cokolwiek na lewo, wjechali na występ skały zawieszony ponad wodą i stamtąd zaczęli rozglądać się po okolicy.

Zaledwie jednak przyłożyli do oczu perspektywy*, gdy usłyszeli głośnie okrzyki gdzieś w pobliżu.

- A to co? — zagadnął Harting.
- Ktoś woła o pomoc — odparł chemik.
- Skąd? Nikogo nie widzę.
- Zdaje mi się, iż ktoś krzyczał pod nami.

Rzekłszy to, Barrett zsiadł z muła i, ostrożnie zbliżywszy się; na skraj urwiska, spojrzął na pieniaące się o dziesięć metrów poniżej fale Pastazy.

Harting zaciekawiony uczynił to samo.

Wodząc wzrokiem po czarnych odłamach bazaltu, sterczących) nad powierzchnią wody, nasi podróżni ku wielkiemu swemu zdziwieniu dostrzegli na jednym z nich kilku ludzi, którzy starali się wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę.

Nieznajomi, tuląc się do siebie, siedzieli na płasko ściętym głazie, dokoła którego, tuż pod nimi, kipiwały wartkie nurty Pastazy. Rzeka pieniała się jakby z gniewu, iż nie może dosięgnąć swych ofiar.

— Ciekawym, jak ci się dostali tutaj?! — zawołał Barrett. — Chyba nie wodą?

— Rozbiła im się łódź czy co?

— Zapewne, trzeba ich koniecznie wyratować z tego niezbyt przyjemnego położenia.

— Będzie to trudne zadanie — rzekł zafrasowany Harting. — Jakże się dostać do tych nieboraków przez rwący prąd?

— Trzeba nad tym pomyśleć, przecie nie pozostawimy ich na łasce losu. Jest między nimi jakiś Europejczyk, reszta to Indianie.

— Myślę, że najlepiej byłoby rzucić im z brzegu linkę ratunkową.

— Ba! A skąd ją weźmiemy?

— Nasi przewodnicy mają przecież rzemieńne lassa.

— Prawda, zapomniałem o tym. Ruszaj no który z powrotem! — zawołał Barrett do towarzyszących mu ludzi. — Potrzeba nam ze trzydzieści metrów lassa, tylko prędko!

Wysłaniec odjechał galopem. Podczas jego nieobecności nasi

* *Perspektywa*— rodzaj dawniej używanej lunety.

podróżni usiłowali nawiązać rozmowę z rozbitkami siedzącymi na skale.

Szum roztrącających się o głazy fal głużył jednak słowa. Pytania rzucane na odległość kilkudziesięciu kroków nie mogły więc być zrozumiane. Barrett ochrypl w końcu i musiał zaniechać tego sposobu porozumiewania się.

W niespełną godzinę przyjechało dwóch Indian z dużym pętkiem lassa; Harting kazał związać wszystko w jeden długi rzemień i przystąpiono do ratowania nieznajomych.

Dzięki nieporównanej zręczności przewodników, przyzwyczajonych od dzieciństwa do władania lassem, rzemień po kilku chybionych próbach dosięgnął skały. Jeden z rozbitków pochwycił go w locie, a w minutę potem komunikacja była zorganizowana. Nieznajomi skorzystali bardzo dowcipnie z tego zaimprovizowanego mostu. Przywiązawszy lasso mocno do skały, przeciągnęli je przez swe szerokie, skórzane pasy i posuwali się wolno za pomocą rąk ku wzniesionemu brzegowi, nie dotykając wcale powierzchni rwącej rzeki.

Przeprawili się w ten sposób kolejno: najpierw jeden Indianin, po nim Europejczyk.

Nieznajomy, stanąwszy obok naszych podróżnych na urwisku, zdjął grzecznie swój panamski kapelusz.

— W samą porę przyszlście nam panowie z pomocą! — rzekł najczystsą w świecie angielszczyzną. — Gdyby nie wy, musielibyśmy Bóg wie jak długo siedzieć w pułapce, którą nam urządziła ta przeklęta rzeka. Przyjmijcie więc wyrazy wdzięczności od rodaka. Jestem doktor Gardener z Nowego Jorku.

— Do diabła! Znajdowałeś się w bardzo niewygodnej sytuacji, panie doktorze — odparł Barrett przyjmując podaną sobie dłoń. — Powiedz mi jednak, jakim sposobem dostałeś się na tę skałę położoną prawie na środku Pastazy?

— To ciekawa historia — odparł doktor poprawiając ubranie. — Wyobraźcie sobie, moi panowie, iż dotarłem tam z przeciwnego brzegu suchą nogą. Rzeka bowiem wyschła nagle i...

— Więc i pan byłeś świadkiem tego ciekawego zjawiska? — przerwał Harting. — My także skorzystaliśmy z niespodziewanego opadnięcia wód. Przeprawa kosztowała nas jednak drogo. Powracająca rzeka zabrała nam trzech ludzi, którzy utonęli.

— To, to, to! — zawołał nieznajomy. — I mnie spotkałby niezawodnie taki sam koniec, gdybym się nie wdrapał w porę na skałę, którą przed chwilą opuściłem. Rzeczywiście ciekawe zjawisko, nie umiem go sobie wytłumaczyć.

— Tak jak i my — rzekł Barrett. — Właśnie zamierzaliśmy udać się w górę rzeki, w celu zbadania przyczyn tego niepojętego faktu. Cieszę się, że mogliśmy oddać przy sposobności tę małą przysługę.

— Daruj pan — wtrącił Harting — iż zapytam, co za smutna konieczność zmusiła pana podróżować w tych okolicach? Na te słowa doktor zarumienił się mocno.

— Konieczność? — powtórzył jakby zmieszany. — Nie jest to bynajmniej konieczność... Udamę się w góry dla własnej przyjemności... właściwie w celach naukowych.

— Aha! Zamierzasz pan studiować przyrodę Ekwadoru — rzekł Barrett.

— Tak jest! — potwierdził doktor. — Miałem już piękną kolekcję tutejszych minerałów, roślin i owadów, lecz utraciłem je w tej oryginalnej przygodzie.

— Poniosłeś pan stratę trudną do powetowania! — zawołał ze współczuciem Harting.

— Niestety! — westchnął doktor. — Utonęły także moje bagaże wraz z dźwigającym je mułem. Okoliczność to bardzo przykra.

— Nie kłopotz się pan o tę bagatelkę! — rzekł spiesznie Harting. — Mamy dużo zbywających rzeczy i miło nam będzie, jeżeli zechcesz z nich korzystać.

Doktor podziękował uprzejmie za okazane sobie względy i przyjął nawet miejsce na siodle Hartinga. Jego szczupła figurka nie przysporzyła wiele ciężaru mułowi, nasi podróżni więc nie zaniechali wycieczki.

Indianie, towarzyszący Gardenerowi, otrzymali polecenie przyłączenia się do karawany i oczekiwania przy niej na powrót swego pana.

Jechali teraz cokolwiek wolniej pomiędzy wysokimi krzakami dzikiego aloesu i wspaniałymi agawami, strzelającymi w górę na podobieństwo olbrzymich żyrandoli. Brzegi Pastazy stawały się coraz dostępnejsze, rozpościerała się na nich lekko pofalowana równina, poprzerzynana szczelinami.

Po godzinie drogi Harting, zniechęcony, zamierzał już zawrócić swego muła, ale Barrett nalegał, ażeby posunąć się jeszcze o parę kilometrów dalej.

Upór chemika przyniósł dobre rezultaty. Niebawem dostrzegli w niewielkiej odległości jakąś obszerną płachtę wody, lśniąca w promieniach słońca jak roztopione srebro. Zbliżywszy się, nasi podróżnicy przekonali się, iż mają przed sobą spore jezioro, przez które przepływa Pastaza.

— Nic nie wiedziałem o istnieniu tak znacznego zbiornika wód w tych okolicach! — rzekł ze zdziwieniem Harting, sięgając po mapę. — A co! — zawołał po chwili. — Miałem słuszność. Jezioro to utworzyło się prawdopodobnie dzisiaj dopiero.

— A to jakim cudem? — zagadnął Barrett ściągając cugle swemu mułowi.

— Nie domyślasz się?

— Więc przypuszczasz, że w tym miejscu bieg wód został powstrzymany nagle wskutek trzęsienia ziemi?

— Ależ naturalnie. Poczekaj no chwilę, zaraz przekonamy się, czy tak jest w rzeczywistości.

Powiedziawszy to, astronom skierował swego wierzchowca nad sam brzeg Pastazy i jechał tuż nad wodą. Po kwadransie siedzący z nim doktor chwycił go za rękaw.

— Wodospad szumi! — rzekł nadstawiając ucha. — Czy nie słyszycie, panowie?

Zaciekawiony tym spostrzeżeniem, Harting dał mułowi ostrogę i, popędziwszy naprzód, znalazł się wkrótce w miejscu, którego szukał od rana. Hipoteza, postawiona niedawno, okazała się zupełnie zgodna z prawdą. W poprzek rzeki leżała wysoka tama zagradzająca całkowicie koryto. Składała się ona ze szczątków pagórka, który zawalił się nagle wskutek podziemnego uderzenia i zatamował bieg wód. Jego podstawa, podmyta zapewne długoletnim działaniem bystrego nurtu, błyszcząca świeżo obnażoną skałą.

Pastaza, nie mogąc przeskoczyć potężnego wału tak nagle wydźwigniętego w jej korycie, musiała na chwilę powstrzymać swój bieg. Przyjmując co chwilę nowe wody płynące z gór, rosła, podnosiła się, aż wreszcie wystąpiła ze skalistych brzegów i, rozlewając się w jezioro, szukała nowej drogi. To właśnie spowodowało osuszenie jej łożyska poniżej miejsca, w którym zawalił się pagórek. Trwało ono dopóty, dopóki wody Pastazy nie znalazły sobie nowego ujścia. Obecnie rzeka płynęła już dawnym łożyskiem, omijając bokiem przeszkodę, która stanowiła niewielką groblę na jeziorze liczącym trzysta do trzystu pięćdziesięciu metrów średnicy.

Harting nie mógł się powstrzymać od sfotografowania tego nowego krajobrazu. Barrett zaś ze swej strony zanotował wszystkie godniejsze uwagi szczegóły tego jedyne w swoim rodzaju wypadku.

Dokonawszy tych czynności, nasi podróżni pośpieszyli z powrotem do karawany.

Indianie doktora znajdowali się już tutaj od kilku godzin, oczekując na swego pana.

Ponieważ od dość dawna siły podziemne nie zmanifestowały swej działalności żadnym hukiem, przeto Harting, porozumiewszy się z przewodnikiem, nakazał wyruszać.

Podczas gdy Indianie ładowali paki na swoje zwierzęta, młody astronom zaopatrzył doktora w przedmioty niezbędne do podróży; dał

mu dubeltówkę, koldrę, hamak oraz trochę żywności, o którą trudno było wystarać się w górach.

Otrzymawszy to wszystko, doktor podziękował z salonową uprzejmością, nie objawiał jednak chęci opuszczenia naszych podróźnych; przeciwnie — zachowywał się tak, jak gdyby należał do składu karawany.

— Udajecie się panowie w góry, nieprawdaż? — rzekł ze słodziutkim uśmiechem, gdy Harting siadał na muła.

— Tak, doktorze — odparł astronom. — Czeka nas bardzo przykra przeprawa przez pasmo wschodnich Kordyliarów.

— To doskonale! Będę miał nadzwyczaj przyjemne towarzystwo, udaję się bowiem także w głąb kraju dla poszukiwań naukowych. Jedziemy więc razem. W tych okolicach niebezpiecznie błąkać się samemu.

Harting przygryzł usta, nie życzył sobie wcale mieć ciągle przy boku doktora, którego osoba nie zrobiła na nim dodatniego wrażenia. Nie wypadało jednak być impertynentem. Młody astronom musiał więc pomimo woli przyjąć ofiarowane sobie towarzystwo.

— Wcale nie pragnę, ażeby ten człowiek wiedział, dokąd jedziemy i co zamierzamy robić! — rzekł do Barretta, gdy przez chwilę znaleźli się sami. — Nie mów więc z nim wcale o tej kwestii.

— Zgoda! — odparł chemik. — Przyznaję, że i mnie się on nie podoba. Jest nieznośny gaduła i blagier, jakich mało. Musisz na niego uważać.

ROZDZIAŁ XIII

PRZYGODA W PARAMOSACH

Przebywszy w tak wyjątkowy sposób Pastazę, karawana zapuściła się w ponure, dziko spiętrzone Kordyliary wschodnie, najniegościnniejsze tereny Ekwadoru.

Przed oczyma naszych podróźnych rozpościerał się cały labirynt zawrotnie głębokich dolin, krętych wąwozów, fantastycznie rzeźbionych szczytów, nad którymi królowała potężna Ilanganate, rysująca się na ciemnym tle nieba w północno-wscho-dnim kierunku jak biały obłoczek. Na drugim planie widniała trochę dalej leżąca Zuncho i Topa. Odwróciwszy się ku południowi, Harting mógł napawać wzrok wspaniałym widokiem wulkanu Tunguragua, stojącego w swój śnieżny, regularnego kształtu stożek, podobny do olbrzymiej głowy cukru.

U stóp tych kolosów rozsiadło się liczne grono ich niższych braci, nie sięgających wierzchołkami do linii wiecznego śniegu, a więc czarnych i ponurych.

Okolica z początku przyjemna, obfitująca w urocze krajobrazy, w miarę tego jak karawana zapuszczała się wyżej nad poziom morza, zmieniała swój charakter na coraz surowszy.

Bogata roślinność płaskowzgórza środkowego, oddzielającego Kordyliary wschodnie od zachodnich, ustępowała szybko miejsca florze pasa umiarkowanego.

Karawana nocowała już wpośród górskich sosen i karłowatych krzewów, nazajutrz zaś znalazła się w nieskończonych paramosach.

Paramosy to łąki alpejskie Kordyliarów.

Nie myślcie jednak, iż spotkać tam można ową cudowną zieleń, pachnącą kwiatki, szmaragdową trawkę — tak przyjemnie bawiące oko

w Tatrach lub Alpach. Paramosy cechuje właściwy im ponury, dziki wygląd. Są to pagórkowate wyniosłości pokryte rumowiskami skalnymi i skąpą roślinnością.

Pustkowia te wydają się na pierwszy rzut oka zupełnie nie zamieszkałe; w splątanej, gęstej trawie przesuwa się jednak czasami paramoski jeleń, żarłoczna puma, polujący na małe zające górskie niedźwiedź z białym czołem, chytry lis lub stadko alpaków.

Ociężałe sępy i majestatycznie pływające w powietrzu ponad przepaściami kondory nie są w stanie ożywić smutnego, martwego krajobrazu.

Paramosy to kraina wichrów, mgły, śniegów i gradów. Kiedy zawyje huragan kładąc pokotem morze traw i chwiejąc odłamkami skał, wtedy wszystko, co żyje, chowa się gdzieś od razu. Pozostać bowiem podczas burzy na otwartej przestrzeni — jest to narażać się na porwanie przez wichry i strącenie w przepaść.

W odległości kilku dni drogi jedna od drugiej stoją w paramosach samotne, nędzne domki, zbudowane najczęściej z potężnych, nie ociosanych bloków lawy.

Zazwyczaj mieszka tu jedynie urcucama — Indianin, pilnujący półdzikich stad bydła, które pasą się swobodnie w paramosach.

Smutne Jest życie urcucamy: całodzienna włóczęga po paramosach, bez względu na śnieg, przenikający wicher, siekący grad lub palące słońce, i zdejmowanie skór z padłych zwierząt — oto jego obowiązki.

A wynagrodzenie? Trochę mleka, kartofle lub bataty*, kawa-łek nadpsutego mięsa i lekkie ponczo, niezdolne ochronić go od dotkliwego zimna panującego w górach. Tylko raz w roku zjawiają się tu parobcy z hacjend położonych gdzieś w dolinach, aby policzyć bydło. Poza tym w pustynie te rzadko zapuszcza się jaki wędrowiec.

Takie okolice musiała przebyć karawana Hartinga, ażeby do-

** Bataty — roślina zwrotnikowa, której bulwiaste kłącza przypominają kartofle.*
trzeć do góry Topa, w pobliżu której miało zapłonąć najbardziej na południe wysunięte światło.

Droga przez wyżyny Chimborazo i Iqualaty, jakkolwiek mozolna, wydawała się teraz naszym podróżnym przyjemnym spacerem w porównaniu z przedzieraniem się przez paramosy. Muły, obciążone pakami, ginęły w trawie, której ostre liście kaleczyły im nogi. Harting z wysokości swego siodła widział tylko pofalowane morze szarawej zieloności, którego monotonii nie przerywało najmniejsze nawet drzewko.

Gardener, kołysany przyjemnie na grzbiecie muła, palił jedno cygaro po drugim i gawędził wesoło z Hartingiem, nie troszcząc się wcale o trawę, przez którą niedawno przedzierać się musiał z takim mozołem.

— Co za pustkowie! — mówił rozglądając się dookoła. — Przy najlepszych chęciach z trudnością zdołałbym upolować tu cokolwiek, a wielka szkoda, bo strzelam wcale nieźle i chętnie wzbogaciłbym swoją kolekcję przy obecnej sposobności. Powiedziałem „swoją kolekcję”, to mi się udało, ani słowa! Zapomniałem, że spoczywa sobie teraz na dnie Pastazy. Trzeba podejmować pracę na nowo.

— Wiesz co, doktorze? — zagadnął Barrett.— Jeżeli tylko naprawdę jesteś myśliwym, to urządzimy sobie jutro rano maleńkie polowanko.

— Ciekawym na co?

— Nie obawiaj się pan, zwierzyny nam nie zabraknie. Mamy do wyboru wyprawę na dzikie lamy, na wigonie, na alpaki albo na guanaki.

— Phii! — skrzywił się Gardener. — Wolałbym coś mniej pospolitego.

— Na przykład?

— Ot, na przykład jakiegoś mało znanego ptaka, który ozdobiłby moje zbiory, pozostałe w Nowym Yorku.

— No, to spróbuj pan strzelać do tego kondora, który waży się nad naszymi głowami.

Rzekłszy to, chemik wskazał Gardenerowi wspaniałego ptaka, bujającego w powietrzu na wysokości około stu metrów. Potężny ptak wietrzył prawdopodobnie jakąś padlinę, gdyż zataczał spiralną linię coraz węższą, zamierzając widocznie opuścić się w głąb pobliskiego parowu.

— Nie wiem, czy trafię do tak drobnego i ruchomego celu! — rzekł doktor. — Nie znam nadto broni, którą tak łaskawie ofiarowaliście mi panowie.

— Niesie wybornie! — zapewnił Harting. — Sam z niej strzelałem kilkakrotnie i zawsze z dobrym skutkiem. Radzę panu przekonać się o tym.

— Tym bardziej, iż należysz, doktorze, jak sam powiedziałeś, do dobrych strzelców — dodał Barrett.

Gardener uległ tym namowom. Niechętnie zdjął z ramienia strzelbę i dał ognia do kondora, który właśnie przelatywał ponad nim.

— Pudło! — zawołał Barrett widząc, że olbrzymi ptak szybuje dalej, nie zwróciwszy uwagi na huk wystrzału. — Teraz na mnie kolej.

I szybko złożywszy się, posłał kulę w kierunku chybionego przez doktora celu.

Strzał był celny. Kondor, trafiony od spodu, zakręcił młynka w powietrzu, uderzył kilka razy konwulsyjnie szerokimi skrzydłami i spadł ciężko na trawę, tuż prawie przed skonfundowanym doktorem.

— Ładna sztuczka — rzekł Barrett zeskakując z muła.

— Zawstydziłeś mnie pan! — zawołał z uśmiechem Gardener. — Muszę panu powinszować takiego znakomitego strzału.

— Dziękuję — odparł złośliwie chemik. — Moim zdaniem, nie zasługuję jednak na taką pochwałę, gdyż nie dokonałem nic nadzwyczajnego. Każdy przeciętny myśliwy zdobyłby się na to samo.

Doktor przygryzł wargi.

— Kiedyż będę mógł naprawić niepoehlebną opinię o moich myśliwskich zdolnościach? — zapytał.

— Choćby zaraz, szanowny doktorze — rzekł chemik. — Jest w tej chwili piąta.

— To za późno! Poczekajmy lepiej do jutra.

— Niechże i tak będzie! A zatem jutro natychmiast po wschodzie słońca wyruszamy na łowy! Pamiętaj pan! Kondor, zabity przez Barretta, należał do niepospolicie dużych

okazów. Mierzył on przy rozpostartych skrzydłach czternaście stóp, ważył zaś najmniej osiem kilogramów. Naga, czerwona szyja, mała grzywka z delikatnych piórek na karku, wyrostek na dolnej części podgardla, zakrzywiony na końcu dziób, czar-noszara barwa — czyniły go bardzo szpetnym. Pomimo to Barrett postanowił wypchać swoją zdobycz i polecił zdjąć z ptaka skórę.

Wkrótce po tym epizodzie rzucającym ujemne światło na prawdomówność doktora, słońce zaszło i karawana, korzystając z krótkiego zmroku, zatrzymała się na nocleg w wąskim i długim parowie, który dawał jakieś takie schronienie od przejmującego wichru, panującego w paramosach prawie bez ustanku.

Pierwsza noc, przepędzona na wyżynach Kordylierów wschodnich, pozostawiła przykre wspomnienia w umysłach naszych podróżnych.

Karawana, pozbawiona zupełnie paliwa, musiała obejść się bez ognisk. Zamiast więc gorącej herbaty i wonnej pieczeni Bob mógł ofiarować swemu panu na wieczerzę tylko suchy chleb, owoce i koniak. Po tym skromnym posiłku obaj przyjaciele owinęli się w najgrubsze, jakie posiadali, poncza i podłożywszy sobie siodła pod głowę próbowali usnąć.

Szalone poświsty wichru spędzały jednak sen z ich powiek. Na domiar złego temperatura, poczynając od zachodu słońca, obniżała się coraz bardziej, tak iż nad ranem termometr Hartinga wskazywał dwa stopnie zimna.

Ażeby się rozgrzać, Barrett biegał w kółko i gimnastykował się energicznie. Nabyte w ten sposób ciepło unosił jednak lodowaty wiatr i niebawem nasz chemik musiał ponawiać swój manewr.

Świt zastał naszych podróżnych na nogach. Barrett, pamiętając o przyrzeczeniu danym doktorowi, oczyścił swą broń, nakładł w torbę myśliwską żywności i o szóstej był gotów do wyruszenia.

Umówiono się, iż Harting będzie się posuwał we wschodnim kierunku i w południe zatrzyma się w odległości dziesięciu kilometrów nad brzegiem jednego ze strumieni wpadających do Pastazy. Tam będzie oczekiwał powrotu towarzyszy.

Gardener, widocznie nie przyzwyczajony do rannych wycieczek, z trudnością pozwolił się wyciągnąć spod stosu mchu i trawy, w których szukał ucieczki przed nocnym chłodem.

— Więc na jaką zwierzynę będziemy polowali? — zagadnął ziewając.

— Nie darujemy żadnej, jaka znajdzie się na naszej drodze — odparł Barrett.

— A jeżeli spotkamy pumę albo niedźwiedzia?

— Tym lepiej, kochany doktorze.

— Trzeba więc nabić kulami dubeltówkę?

— Rzecz prosta.

— Czy pojedziemy na mułach? — zagadnął po chwili milczenia Gardener.

— Skąd znowu?! — zaśmiał się chemik. — Pójdziemy pieszo.

Wypadnie nam przecież zajrzeć do niejednej dziury i wdrapać się na niejedno urwisko.

Doktor westchnął. Włóczęga w trawach paramosów nie nęciła go widać wcale, nic jednak nie rzekł, nabił tylko starannie swą dubeltówkę i, tyknąwszy na drogę kilka kieliszków koniaku, ruszył za Barrettem w stronę pobliskiego szczytu, ozłoconego wspaniałe słońcem.

— Wejdziemy cokolwiek wyżej! — rzekł chemik torując sobie drogę przez trawy za pomocą lufy swej strzelby. — Tu, w tym gąszczu, nie dostrzeżemy żadnej zwierzyny, choćby się zbliżyła na trzy kroki od nas. W sąsiedztwie linii wiecznych śniegów obrzydliwe zielsko ustępuje miejsca mchom i drobnym roślinom, które nam przynajmniej nie przeszkadzają dobrze widzieć, co się dookoła dzieje.

Doktor, spojrzawszy w górę, przekonał się, że jego towarzysz miał słusność. To dodało mu energii, szedł więc raźnie po dość stromej pochyłości, rzucając co chwila okiem to na prawo, to na lewo i nadstawiając ucha na każdy podejrzaną szelest.

Po kilkunastu minutach szanowny doktor uczuł niezwykle zmęczenie, nogi mu drżały, oddech stał się szybki, puls uderzał w skroniach gorączkowym tempem, w uszach zaczęło szumieć nieprzyjemnie.

— Nie mogę iść dalej! — zawołał zatrzymując się nagle. — Czuję się strasznie znużony tym wdrapywaniem się pod górę. Odpocznijmy trochę.

— I mnie się niewiele należy! — odparł Barrett sapiąc.

— Co to znaczy? — zagadnął Gardener odzyskawszy oddech. — Przecież oddaliliśmy się od obozu pięćset kroków zaledwie, a pochyłość nie jest tutaj zbyt stroma.

— Zapominasz widocznie, doktorze, iż znajdujemy się cztery tysiące metrów nad poziomem morza, w bardzo rozrzedzonym powietrzu, do którego płuca nasze nie przywykły jeszcze. Utlenianie krwi nie odbywa się tutaj tak łatwo jak pod normalnym ciśnieniem. Stąd pochodzi owo nienaturalne zmęczenie, na jakie obaj się uskarżamy.

— Tak, zapewne — odparł namyślając się Gardener. — Powiedz mi pan jednak, dlaczego Indianin, który nosi ciężary na grzbiecie, nie doznaje tego samego uczucia?

— Po prostu dlatego, iż od dzieciństwa przebywa w górach, organizm jego jest specjalnie przystosowany do warunków panujących tutaj. Odpocząłeś pan już?

— Tak, możemy iść dalej.

— A więc ruszajmy — odparł. Barrett zakładając na ramię dubeltówkę, którą się podpierał. — Hm, jakoś nic nie widać. Jestem...

Zdanie to zostało nie dokończone, nasz wynalazca bowiem zniknął nagle sprzed oczu postępującego za nim doktora jak gdyby za sprawą jakiejś nadnaturalnej przyczyny.

Na razie Gardener nie wiedział, co to miało znaczyć. Przypuszczał, iż Barrett zginął w gęstej trawie. Postąpił więc parę kroków naprzód, noga jego natrafiła jednak na próżnię. Szanowny doktor uczył, iż spada, i w sekundę potem uderzył potężnie głową o coś twardego.

Była to kolba dubeltówki Barretta, który siedział tuż obok, odurzony niespodziewanym zdarzeniem.

— Więc i ty, doktorze? — zagadnął chemik swego towarzysza niedoli bolejącym głosem.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Gardener leżał nieruchomy i blady. Spomiędzy jego rudawoblond włosów spływały na ramię . krople krwi, brocząc ponczo.

— Tego jeszcze brakowało! — rzekł sam do siebie Barrett. — Będzie źle z nami! Ostatnie słowa wypowiedział, gdy spojrzał na prostopadłe, gładkie ściany szczeliny, w której znalazł się tak niespodziewanie. Do jaśniejącego w górze otworu było co najmniej pięć metrów, chemik pojął więc od razu, iż z pułapki nie wydostanie się łatwo.

Zorientowawszy się w położeniu, Barrett zabrał się do cucenia omdlałego doktora: dmuchał mu w nos, łechtął pod pachami, szczypał w ręce... Żaden z tych środków nie odniósł wszakże pożądanego skutku.

Zaniepokojony tym chemik zaczął uważnie oglądać zakrwawioną głowę Gardenera. Odgarnąwszy włosy, dostrzegł wreszcie pośrodku ciemienia ranę, która nie była jednak ciężka.

— To bagatelka! — mruknął. — Zobaczmy teraz, czy nasz doktor nie złamał sobie jakiejś kości.

Ażeby zbadać lepiej towarzysza, Barrett ściągnął zeń obszerne ponczo i rozpiął marynarkę, chcąc obmacać najprzód żebra.

Podczas tej czynności wynalazca nasz zauważył, iż z bocznej kieszeni Gardenera wypadł na ziemię jakiś papier. Rzuciwszy nań mimo woli okiem, przeczytał swoje nazwisko zaraz w pierwszych wierszach.

To zdziwiło go bardzo.

„Co on może o mnie pisać?” — pomyślał biorąc w palce kartkę wydartą świeżo z notatnika.

Przez chwilę wahał się, delikatność nie pozwalała mu wglądać w sprawy obcego człowieka. Ciekawość przemogła w końcu i przeczytał, co następuje:

Boston — Redakcja „Echa”

Dnia 3 września 189... r. we wschodnich Kordylierach. Wczoraj przyłączyłem się do Hartinga i Barretta. Karawana posuwa się w głąb Ekwadoru do miejsca, w którym ma być zapalony sygnał przeznaczony dla mieszkańców Marsa. Wkrótce prześlę bliższe szczegóły o przedsięwzięciu.

Tomasz Tabb

— Hm, hm! — chrząknął Barrett. — Rzekomy doktor Gardener jest więc rzeczywiście Tomaszem Tabbem, korespondentem „Echa”, które tak niedyskretnie rozgłosiło zamiary tego zapaleńca Edwina i Brightona. Zdaje mi się nawet, że ów koncept z fonografem jest właśnie sprawką pana Toma. „Ach! Bardzo mi przyjemnie wiedzieć, z kim mam do czynienia.

„Do diabła! Ale też ci szaleńcy musieli narobić niemało hałasu i zainteresować wszystkich półgłówków w całych Stanach, skoro dzienniki wysyłają za nami specjalnych reporterów aż tutaj!

Harting będzie zły, czuję to. Rozmazywanie tego głupstwa w prasie niemało mu już zaszkodziło. Brightonowi zaś, o ile wiem, poderwało kredyt.

„Że też ci dziennikarze wszędzie nos muszą wetknąć!”

Powyższe myśli nie przeszkadzały jednak Barrettowi zajmować się w dalszym ciągu rannym.

Na szczęście, oględziny pobieżne nie wykazały żadnych ważniejszych obrażeń na ciele mniemanego doktora Gardenera. Omdlenie nie przechodziło jednak, pomimo iż Barrett robił, co mógł.

„Powinien bez pomocy powrócić do przytomności — pomyślał wreszcie nasz chemik, wyczerpawszy cały zasób swych trzeźwiących środków. — Hm! Najlepiej byłoby skropić mu porządnie twarz zimną wodą, ale skąd jej wziąć? Trzeba przede wszystkim wyleźć z tej dziury”.

I podniósłszy się, Barrett zaczął iść przed siebie, szukając dogodnego wyjścia albo, w braku tegoż, jakiego występu w skale, który by mu dopomógł wdrapać się na pionową, gładką ścianę.

Zrobiwszy ze sześćdziesiąt kroków, musiał się jednak cofnąć, szczelina bowiem zwężała się do tego stopnia, iż człowiek nie był w stanie precyzyjnie przejść przez nią.

Barrett był więc zmuszony zawrócić do miejsca, z którego przybył, i próbować szczęścia w przeciwnym kierunku.

I tym razem wszakże doznał zawodu. Rozpadlina była bardzo wydłużona, stawała się coraz głębsza, a co gorsza — błotnista. Ostatecznie Barrett po półgodzinnej wędrówce znalazł się znowu obok doktora, a raczej Tomasza Tabba, nic nie wskórawszy.

— Cóż u diabła, czy nie potrafisz wygrzebać się z tej dziury?! — zaklął rozdrażniony niepowodzeniem. — Jestem, jak się okazuje, niedołągą w całym znaczeniu tego wyrazu!

Dodawszy sobie powyższymi słowy energii, Barrett puścił się znowu na badanie rozpadliny.

Dotarłszy powtórnie do miejsca, w którym obie ściany schodziły się na odległość metra zaledwie, zatrzymał się.

„Gdybym miał jaki drążek, wydostałbym się z łatwością za jego pomocą na wierzch — pomyślał. — Aha, a dubeltówka? Znalazłem!”

Pędem pobiegł z powrotem i w kilka minut potem powrócił niosąc w ręku obie strzelby.

— Ot, tak! — rzekł umieszczając ukośnie swoją dubeltówkę pomiędzy ścianami rozpadliny, jak mógł najwyżej. — To będzie pierwszy szczebel ruchomej drabinki.

Pochwyciwszy za lufę przy zamku, podciągnął się w górę jak gimnastyk na trapezie i po chwili stał już lewą nogą na kolbie, opierając się o małą nierówność skały.

Teraz znajdował się o całe dwa metry od dna rozpadliny i mógł powtórzyć raz jeszcze swój dowcipny manewr. Od stopnia, który utworzyła druga dubeltówka użyta w ten sam sposób jak pierwsza, było już tylko półtora metra do powierzchni ziemi. Barrett, wychyliwszy głowę ponad krawędź rozpadliny, ujrzał dookoła siebie gęstą trawę. Nie namyślając się długo zagarnął pęk jej prawą dłońią i, uzyskawszy punkt oparcia, zdołał nareszcie wyleźć z pułapki.

— Wody, wody!

Barrett rozglądał się dookoła, lecz nic nie był w stanie dostrzec poprzez zieloną zasłonę. Wspiąwszy się na palce, spostrzegł, iż o kilkadziesiąt kroków dalej trawa była bardzo niska. To go naprowadziło na przypuszczenie, iż znajduje się tam jakieś zagłębienie gruntu, w którym, być może, zebrało się trochę wody.

Naznaczywszy brzeg niebezpiecznej rozpadliny za pomocą kawałka papieru zatkniętego na źdźbło trawy, pobiegł w tamtą stronę.

Przecucie nie omyliło go. Na dnie niewielkiej kotliny zebrało się rzeczywiście cokolwiek wody deszczowej, mętnej już wprawdzie, ale za to bardzo zimnej.

Zaczerpnąwszy jej w but zdjęty z nogi, Barrett powrócił na krawędź szczeliny i znalazł niebawem miejsce, gdzie leżał jego towarzysz.

Strumień orzeźwiającego płynu, wylany z góry na twarz, po skutkował doskonale. Szanowny korespondent „Echa” otworzył oczy i uśmiechnął się blade.

— To nic... nic... — rzekł cichym głosem — dziękuję... Chciał się podnieść, ale siły mu nie dopisały. Usiadł więc i oparł się plecami o skałę.

— Jakżeś pan stąd wyszedł? — zagadnął po chwili.

— Dzięki szczęśliwemu pomysłowi, kochany panie Tabb! — odparł Barrett kładąc nacisk na tym ostatnim wyrazie.

Usłyszawszy swój e nazwisko, wymówione tak niespodziewanie, reporter zmieszał się. Na twarz jego, bladą przed chwilą, wystąpił żywy rumieniec.

— Widzisz pan — ciągnął dalej chemik, wyciągając się na ziemi, ażeby mu było wygodniej prowadzić rozmowę — traf dopomógł mi poznać właściwe nazwisko doktora Gardenera. Gramy więc w otwarte karty, nieprawdaż? Nie zaprzeczysz pan chyba, iż przyjechałeś do Ekwadoru w celu posyłania sprawozdań dotyczących naszego przedsięwzięcia? — Tak jest... nie mylisz się pan...

— A jednak wiedział pan od samego początku, iż Brightonowi i Hartingowi chodziło o zachowanie w tajemnicy całej sprawy!

— Obowiązkiem moim jest wiedzieć o wszystkim.

— Dopuszcł się pan względem nas brzydkiego podstępku, ażeby łatwiej przeprowadzić swoje plany.

— Przypadek zmusił mnie do tego.

— Wszystko mi jedno. Proszę pana o słowo honoru, iż nie pošlesz żadnej wiadomości o nas ani do „Echa”, ani do innego jakiegokolwiek bądź dziennika.

— Daruj pan, ale takiego przyrzeczenia dać nie mogę nikomu.

— Zmusimy pana być dyskretnym.

— W jaki sposób? — zaśmiał się ironicznie Tabb.

— W bardzo prosty. Pozostawię pana tutaj, gdzie się znajdujesz.

— To mi nie przeszkodzi w pełnieniu nadal moich obowiązków.

— Kto wie!

— Więc przypuszcza pan, iż nie wydostanę się stąd?

— W każdym razie nieprędko zdoła pan to uczynić.

— Chcesz pan więc wyzyskać moje przykre położenie? — oburzył się korespondent.

— Niestety, będę musiał skorzystać z pańskiego nieszczęścia, jeżeli nie otrzymam żądanego zapewnienia.

— Nie otrzyma pan.

— Czy to ostateczna odpowiedź? — zagadnął chemik powstając.

— Naj-os-ta-tecz-niej-sza.

— Zastanów się pan! Nie masz sił, jesteś ranny, zginiesz tu z głodu lub od pazurów niedźwiedzia, jeżeli wprzód nie zmarzniesz w nocy.

— Nie potrzebuję się zastanawiać.

— Czy chce pan, żebym odszedł?

— Nie zależy mi bardzo na pańskim towarzystwie, potrafię dać sobie radę bez niczyjej pomocy.

— Żegnam pana zatem!

— Do widzenia!

Barrett czekał przez parę minut, sądząc, iż uparty dziennikarz zmięknie. Omylił się jednak. Tabb milczał.

— Oświadczam panu po raz ostatni, iż za pięć minut oddalam się, pozostawiając pana na łasce losu.

— Nie trać pan czasu nadaremnie, bardzo proszę — odparł korespondent. — Żadne groźby nie przeszkodzą mi spełnić tego, czego się podjąłem dla dobra „Echa”.

— Niezmiernie mi przykro, iż muszę być niehumaniczny wobec pana. Trudno jednak, trzeba się bronić.

— Uważam pana za zupełnie wytłumaczonego.

— A więc jeszcze raz... żegnam pana! Mam nadzieję, iż nie zobaczymy się już więcej.

Tabb nic nie odpowiedział. Chemik więc oddalił się, nasłuchując, czy nie zostanie wezwany.

Zawiódł się jednak. Korespondent „Echa” okazał się bohatersko upartym i przyjął los swój ze spokojem godnym podziwu.

Barrett wahał się przez chwilę, czy wykonać swe pogróżki. Miał wyrzuty sumienia, iż jest okrutny, chciał się wrócić, ale w końcu powziął ostateczne postanowienie i, zarzuciwszy na ramię dubeltówkę, ruszył żwawo szeroką bruzdą, jaką pozostawiła za sobą karawana w gęstej trawie paramosów.

ROZDZIAŁ XIV

NA SZCZYCIE ZUNCHO

Było samo południe, kiedy Barrett, znużony forsowną wędrówką, dogonił karawanę, która właśnie zatrzymała się w umówionym punkcie.

— A gdzie doktor? — zagadnął ze zdziwieniem Harting, ujrzawszy przyjaciela samego. — Czy dźwiga zwierzynę i dlatego pozostał w tyle?

— Zaraz się dowiesz — odparł chemik ocierając pot z czoła. — Dajcie mi tylko wprzód przekąsić cokolwiek, gdyż umieram z głodu.

Podczas gdy Barrett pochłaniał żartocznie skromny obiad, podany w oka mgnieniu przez wzorowo spełniającego swe obowiązki Boba, Edwin patrzył nań pytająco. Przeczynał już, że jego przyjaciel ma coś ciekawego do opowiedzenia.

Barrett nie śpieszył się jednak z objaśnieniami. Zjadłszy do szczętu wszystko, co mu podano, zapalił cygaro i rozciągnął się wygodnie na kocu rozestłanym na ziemi.

— Mówże w końcu, gdzie Gardener? — nalegał Harting, zaintrygowany.

— Powiedz raczej Tomasz Tabb — poprawił chemik.

— Jak to? Więc doktor Gardener jest właściwie Tomaszem Tabbem, owym dziennikarzem, który narobił mnie i Brightonowi tyle nieprzyjemności swoim figlem?

— Nie inaczej, kochanku. Złapaliśmy się, przyjmując go do swego towarzystwa. Czy wiesz, że on donosił do Bostonu o każdym twoim kroku?

— Skąd, u licha, dowiedziałeś się o tym?

Teraz dopiero Barrett opowiedział z właściwym sobie humorem ranną przygodę i swe zajście z Gardenerem.

Harting słuchał go zakłopotany, dowiedziawszy się jednak o zakończeniu całej sprawy, oburzył się.

— Zostawiłeś go w rozpadlinie?! — zawołał. — Ależ to zabójstwo, mój drogi! Nie przypuszczałbym, iż jesteś zdolny do czegoś podobnego.

— No, no, nie zaperzaj się tak — przerwał mu chemik dłubiąc z flegmą w zębach. — Naszemu doktorowi nie stanie się nic złego, co najwyżej trochę się wynudzi.

— Przecież sam powiedziałeś, iż bez pomocy dubeltówek albo drążków nie wydostanie się stamtąd!

— Ma się rozumieć, o własnej sile nie wyjdzie wcale, a przynajmniej nieprędko.

— Nie możemy pozwolić na to.

— Dlaczego? Niechaj sobie posiedzi w rozpadlinie przez noc. Jutro około południa powiem jego Indianom o wypadku. Zanim wrócą do parowu i odszukają swego pana, będziemy już daleko stąd. Zje diabła, jeżeli spróbuje znaleźć nas w tym labiryncie gór. Powinieneś być mi wdzięczny, że cię uwolnił od natręta.

— Przyznaję, że niepospolicie szybko potrafisz skorzystać z okoliczności — odrzekł Harting. — Wolałbym jednak użyć jakiegoś innego sposobu.

— Cha, cha, cha! Może byś mu powiedział, że sobie nie życzysz, żeby pisał swe korespondencje, co? — zaśmiał się chemik. — Dużo on by sobie robił z tego! Trzeba ci wiedzieć, że to uparciuch, jakich mało. Jestem pewien, że nie odstraszyłbyś go, gdybyś go nawet obiecał upiec w aluminiowym ogniu. Ba! Sam by weń wlaź, ażeby tylko przypatrzeć się lepiej! Z takimi ludźmi inaczej sobie nie poradzisz. Zresztą, co mu się stanie?! Pojutrze wydobędą go z pułapki, a przez te dwadzieścia cztery godziny wylizę się z siniaków.

Harting musiał się pogodzić z faktem dokonany. Żał mu było trochę Tabba, lecz równocześnie był zadowolony, iż Barrett spisał się tak zręcznie.

Tego samego dnia po południu karawana przeszła najwyżej położony punkt w tym łańcuchu górskim i ujrzała przed sobą wulkan Ilanganate w całym majestacie jego ogromu.

Od stóp tej góry, łagodnie zaokrąglonej, było już tylko trzydzieści kilometrów wygodnej stosunkowo drogi do szczytu Zun-cho, stanowiącego właściwy kres podróży Hartinga.

Tę niewielką przestrzeń spodziewano się przebyć w przeciągu następnego dnia. Po nocy przepędzonej na południowym stoku Ilanganate karawana posuwała się brzegiem małego jeziora, oddzielającego ten wulkan od Zuncho.

Nasi podróżni znaleźli się niebawem pośród roślinności stref umiarkowanych, która wydała im się wspaniała w porównaniu z monotonią paramosów. Barrett, który zaczął od pewnego czasu interesować się także botaniką, skwapliwie zbierał zielnik, włączając doń najbardziej godne uwagi okazy.

Harting co kilka godzin oznaczał na mapie przebytą przestrzeń i przyglądał się z każdej wysokości doskonale już widzialnemu w północno-wschodnim kierunku szczytowi Zuncho, będącemu ostatecznym punktem, do którego dążył od dwóch prawie tygodni olbrzymi wąż karawany.

Pomimo ulewnego deszczu, który spadł o godzinie dziesiątej przed południem i uczynił podróż niezmiernie nużącą, karawana dotarła do podnóża Zuncho w czasie przewidzianym z góry. Trudy ludzi i zwierząt skończyły się nareszcie!

Należało teraz poszukać dogodnego miejsca do złożenia olbrzymiego ładunku pak z aluminium, tłuszczami i saletrą.

Zadania tego podjął się Harting. Nie bacząc na znużenie i na późną porę, postanowił on zbadać bliżej okolicę. Wziął więc ze sobą dwóch Indian, nieodstępного Boba i, nie zsiadając z muła, zapuścił się w gęste krzaki, porastające stoki góry dumnie wznoszącej swe czoło ku niebu.

Młody astronom przekonał się niebawem, iż góra ta, obrana na podstawie mapy, doskonale nadawała się do jego celów. Szczyt jej, łagodnie zaokrąglony, był łatwo dostępny od południowej strony i przedstawiał wygodny pod każdym względem punkt do urządzenia sygnałowego światła.

Na jednym z występów od zachodu można było założyć zasłoniętą od wiatrów stację. Licznie rozrzucone po spiętrzonych jeden nad drugim tarasach bloki lawy i bazaltu, które strąciło z wierzchołka góry jakieś gwałtowne wstrząśnienie, dawały wyborny materiał na potrzebne budynki.

Ładunek aluminium można było przenieść prawie na sam szczyt dzięki lekko pochyłemu stokowi południowemu; słowem — Harting znalazł warunki, jakich potrzebował.

Zaraz o świcie następnego dnia muły poczęły przenosić paki na miejsce odległe o paręset zaledwie metrów od szczytu; ładunek złożono tymczasowo u stóp ostatniego tarasu, gdzie było

zupełnie sucho. Po dokonaniu tej czynności Harting uwolnił mulników, hojnie

ich wynagradzając. Pozostawił sobie tylko pięciu z nich, którzy wraz z sześcioma ludźmi eskorty mieli się zająć wybudowaniem stacji i przygotowaniem palnej masy.

Garstka ta musiała przebywać na Zuncho kilka tygodni, sklecenie więc jakiegoś szalasu było konieczne.

Indianie, w braku drzewa, postanowili wybudować małą chatkę z bloków lawy.

Materiału na górze — jak powiedzieliśmy — nie brakowało, toteż ściany wysokie na dwa metry stanęły w przeciągu paru dni. Dach pokryto chrustem i grubą warstwą trawy, która rosła wszędzie w obfitości. W pośrodku poszycia pozostawiono spory otwór, który miał odgrywać rolę komina.

Żadnych sprzętów podróży nasi nie zabrali, niestety, ze sobą, musieli więc urządzać się bardzo pierwotnie. Cztery gładkie kawały lawy zastąpiły stół i krzesła, sucha trawa, przykryta ponczem — łóżka. Kuchnię Bob założył sobie w samym środku chaty, w dole, starannie obmurowanym kamieniami. Dym, napełniający cały budynek, nie przeszkadzał mu bynajmniej w przygotowywaniu potraw, bardzo urozmaiconych, jak na warunki, w których się znajdował.

Kiedy poutykano mchem szpary w ścianach i przysłonięte skórą okna i wejścia, Harting i jego pomocnicy mieli przynajmniej jakie takie schronienie przed dokuczliwym zimnem i zawiejami śnieżnymi, które od czasu do czasu pokrywały stoki góry grubą warstwą, szybko zresztą topniejącego śniegu.

Usadowiwszy się w obranym punkcie, Harting z niecierpliwością oczekiwał wiadomości od towarzyszy. Umówiono się bowiem, iż każdy z członków wyprawy złoży raport młodemu astronomowi, skoro tylko zajmie wyznaczone sobie stanowisko i przekona się, iż spełnienie włożonego nań zadania nie nastręczy nadzwyczajnych trudności.

Przesłanie tych sprawozdań wymagało niemało czasu, gdyż rozmaite punkty, w których miało być rozniecone światło, leżały w znacznej odległości od Zuncho.

Środek sygnału, jak wiemy, miał się znajdować na samym równiku o kilkanaście kilometrów na zachód od wulkanu Ca-yambe. Północny zaś promień sięgał aż do wschodniego pasma Kordylierów pod $1^{\circ} 14'$ szerokości północnej. Od Zuncho dzieła go zatem przestrzeń prawie trzydziestu ośmiu mil, to jest cała średnica gwiazdy.

Inne punkty sygnału leżały bliżej nieco. Raporty nadchodziły kolejno.

Dla skrócenia czasu Barrett błąkał się po całych dniach w okolicy stacji, z dubeltówką na ramieniu, siejąc śmierć pomiędzy jeleniami, alpakami, zającami i dzikimi lamami, które zapuszczały się niebacznie na szczyt góry.

Gdyby nie to zamiłowanie do myślistwa szanownego wynalazcy, Harting i jego ludzie byliby skazani na kilkutygodniowy post, gdyż zapasy żywności zabrane z Guayaquilu wyczerpywały się już.

Barrett polował jednak sam, najwyżej w towarzystwie jednego z Indian; Harting nie towarzyszył mu nigdy. Młody astronom, wydobywszy z podróżnej walizy swoje astronomiczne książki, utonął w obliczeniach.

Tak upragniona przez niego opozycja Marsa zbliżała się. Niebawem planeta, interesująca Edwina, miała się znaleźć w tym punkcie swej drogi wokół Słońca, kiedy odległość jej od Ziemi jest najmniejsza i tarcza jaśnieje najwyższym blaskiem. Chwila ta, jakkolwiek najkorzystniejsza do obserwacji astronomicznych, nie jest dogodna do podania sygnału świetlnego; Ziemia bowiem, odwrócona nie oświetloną przez Słońce półkulą do swego sąsiada, staje się dlań wtedy zupełnie niedostrzegalna.

Taki stan rzeczy szybko się jednak zmienia. Ziemia, wyprzedzając Marsa, odsłania mu coraz bardziej swą skąpaną w jasności dziennej połowę. Najprzód wygląda jak wąziutki sierp, potem jak księżyc w

drugiej kwadrze, a w końcu przyświeca mu całą powierzchnią swej tarczy.

Harting zamierzał zapalić swój sygnał w chwili, kiedy Ziemia przybierze dla dostrzegacza znajdującego się na Marsie postać sierpa; w takich warunkach gwiazda sygnałowa mogłaby być łatwo widzialna na nie oświetlonej części naszego globu i pochodzenie jej nie budziłoby żadnych wątpliwości.

Do tego stanowczego momentu brakowało jeszcze dwudziestu pięciu dni, Barrett więc miał dość czasu na przygotowanie światła.

W tydzień po przybyciu na Zuncho Harting otrzymał wreszcie najważniejszy raport od Simsa, który znajdował się już na południowym stoku stromego wulkanu Antisany i zamierzał zapalić swe światło na jednym z dwóch jego szczytów.

Szanowny fizyk donosił, iż udało mu się założyć stację na wysokości pięciu tysięcy czterystu metrów nad poziomem oceanu, obiecując nadto, iż postara się dotrzeć jeszcze bliżej wierzchołka góry.

Nodd równie dzielnie wywiązał się z włożonego nań zadania. Przedarłszy się z wielkim trudem przez lasy dziewicze porastające dorzecze rzeki Miry, dosięgnął szczęśliwie pasma Kordylierów oddzielających Ekwador od Nowej Grenady i zajął stanowisko na jednym z najwysokościjszych jego szczytów.

Smith spod równika, Fields ze wschodniego krańca gwiazdy, położonego wpośród bezludnych okolic na granicach Kolumbii, Sharp z pasma górskiego biegnącego wzdłuż Rio Toaechi, dopływu Esmeraldas, dokąd miał sięgać zachodni promień gwiazdy, i inni członkowie wyprawy przysłali także raporty bardzo pomyślne.

Materiały niezbędne do rozniecienia dziewięciu światel znajdowały się już we właściwych miejscach. Teraz dość było rzucić na nie iskrę, ażeby załąły powodzią jasności przestrzeń stu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Harting mógł oczekiwać spokojnie ostatecznego wykonania swego tytanicznego planu.

ROZDZIAŁ XV

SŁOŃCE NA ZIEMI

Stanowcza chwila zbliżała się. W dniu 12 października, o godzinie dziewiątej wieczorem miała zabłysnąć gwiazda, dzięki której Harting spodziewał się nawiązać pierwsze kontakty z dalekim i nieznanym światem.

Czas już było zatem poczynić ostateczne przygotowania, które Barrett wziął całkowicie na siebie. Pewnego dnia wydobyto z pak złożonych w grocie aluminium, tłuszcz, saletrę i zabrano się do sporządzenia dokładnej mieszanki tych ciał — zgodnie z przepisami wynalazcy.

Była to praca wcale nie łatwa. Ludzie Hartinga, zaopatrzeni w łopaty i tłuczki drewniane, kładli sproszkowany drobno metal i saletrę do dwóch miedzianych kotłów, napełnionych roztopionymi tłuszczami, i starannie mieszały wszystko, aż do zupełnego zastygnięcia.

Ponieważ Harting potrzebował aż dwustu pięćdziesięciu ton palnej mieszanki, przeto operację wymienioną musiano powtórzyć kilkadziesiąt razy, co zajęło dużo czasu.

Otrzymałą masę pokrajano w kostki kilkucentymetrowej wielkości i ułożono w drewnianych pakach.

Światło postanowiono zapalić na płasko ściętym szczycie, który wznosił się tuż nad stacją. Barrett kazał go, o ile się dało, wyrównać łopatami, oczyścić z gładów, a w końcu na krótko przed terminem wysypać starannie ciekłą warstwą umyślnie w tym celu przywiezionej magnezji, aby jak najwięcej światła odbijało się od powierzchni Ziemi. Gdyby zaniedbano tego prostego środka, pewna, dość znaczna ilość promieni zostałaby pochłonięta przez ciemno zabarwioną skałę. Magnezja zatem, jak widzimy, zastępowała tutaj zwierciadło.

Najbliższego dnia rano Barrett zaczął ustawiać na płaskowzgórzu paki napełnione palną substancją.

Stosownie do instrukcji, wydanych wszystkim członkom wyprawy, nie nagromadzono mieszaniny w jednym punkcie, lecz utworzono z niej rodzaj koncentrycznych wieńców.

W ten sposób Barrett zwiększał znakomicie natężenie ogólne światła i ułatwiał palenie się mieszaniny. — Powiedz mi, Józefie, jak podłożymy od razu ogień w tylu punktach? — zagadnął przyjaciela Harting.

— Zapomniałeś, jak widzę, o instrukcji, którą przygotowałem — odparł Barrett. — Ładna historia! Gdybyś się znalazł sam, tak jak Sims na przykład, to kto wie, czy potrafiłbyś dać sobie radę.

— Aha! Już przypomniałem sobie! — zawołał zawstydzony brakiem pamięci astronom. — Mamy przecie zapalić nasze światło za pomocą elektryczności.

— Tak. Przewodniki i bateria znajdują się w pogotowiu. Tobie, rzecz jasna, kiedy przyjdzie chwila po temu, przypadnie zaszczyt przesłania iskry do wszystkich pak.

— Alboż twoja mieszanina zapali się od iskry elektrycznej? — Nie obawiaj się, zastanawiałem się już nad tą trudnością i potrafię jej zaradzić. Zauważyłeś przecie, iż zabraliśmy ze sobą kilkanaście kilo chloranu potasu i sporo siarki w proszku. Z tych dwóch ciał urządzimy sobie doskonałą podpałkę, czułą na działanie iskry elektrycznej, podobnie jak proch.

Barrett krzątał się żywo. W niespełna trzy dni pięćset pak palnej masy stało już na wyznaczonym miejscu. Tworzyły one razem pięć koncentrycznych kół, z których największe miało dwieście metrów średnicy. Miedziany drut, biegnący od stosu Volty, złączył wszystkie paki; światło można było więc zapalić w każdej chwili.

Próby, czynione celem przekonania się, czy elektryczność nie zawiedzie w stanowczym momencie, wypadły zupełnie dobrze. Harting więc mógł oczekiwać spokojnie.

Podczas tych przygotowań wschodzący codziennie o siódmej Mars nabierał coraz żywszego blasku. Nietrudno go już było odszukać pomiędzy gwiazdami pierwszej wielkości, od których wyróżniał się swą ceglastoczerwoną barwą.

Chociaż od środka opozycji minęło już sporo czasu, planeta ta rzucała wyraźne cienie oświetlanych przez siebie przedmiotów, królowała na niebie.

Harting był zachwycony jasnością gwiazd pod równikiem i żałował, że refraktor został umieszczony w Sierra Madre, a nie tutaj, w Kordylierach.

Jakich to ślicznych obserwacji można by dokonać pod tym ciemnobłękitnym niebem w rozrzedzonej atmosferze, rzadko tylko zanieczyszczonej dymem wulkanicznym i przez pięć miesięcy w roku nie nawiedzanej prawie wcale przez chmury!

Barrett codziennie był świadkiem, jak jego przyjaciel z lunetą w dłoni wpatrywał się całymi godzinami w czerwoną tarczę Marsa, jak gdyby spodziewając się, iż za pomocą tego słabego narzędzia zdoła wydrzeć jakąś tajemnicę nieznanemu światu.

Planeta ta formalnie magnetyzowała naszego astronoma, pociągała go ku sobie jak księżyc lunatyka.

O czym myślał Edwin w takich chwilach?

Zapewne o istotach, które podług jego mniemania powinny zamieszkiwać ten piękny glob, o ich powierzchowności, ustroju, o nauce, którą stworzyli, o stopniu rozwoju, do jakiego doszli.

Być może, iż marzył o odpowiedzi, którą spodziewał się otrzymać na swój znak.

Po jego zapale znać było, iż wierzył niezachwianie w powodzenie swego przedsięwzięcia.

W sercu jego kołatały jednak małe obawy. Nie potrafił się ich pozbyć.

Czy tylko w stanowczej chwili coś nie przeszkodzi wykonaniu projektu? Jakiś wulkan może nasycić atmosferę gęstym dymem lub popiołem i uczynić ją zupełnie nieprzezroczystą. Wypadki tego rodzaju zdarzają się stosunkowo dość często w Ekwadorze. Pewnego razu Cotopaxi utrzymywał Quito i jego okolicę przez siedem lat w bezustannym zmroku. Gdyby nawet nic podobnego nie zaszło, to pierwsza lepsza chmura większych rozmiarów może przytłumić światło, rozniecone z takim mżawką. Harting tym bardziej lękał się takiej niespodzianki, iż pora deszczów minęła dopiero niedawno.

Jeśliby choć jeden z dziewięciu punktów, składających gwiazdę, został zasłonięty, sygnał chybiłby celu niezawodnie; najgenialniejsi astronomowie z trudnością zdołaliby się domyślić jego pochodzenia.

Trawiony bezustannym niepokojem, Harting widocznie zmi-zerniał na twarzy i pozołkł. Pomimo zdrowego powietrza, którym oddychał, tracił humor i właściwą sobie rozmowność, po całych dniach nie otwierał nawet ust do Barretta. Ciągle prawie przebywał na płaskowzgórzu wpośród przygotowanych do podpalenia pak aluminiowej masy lub badał stan barometru.

Obawy naszego astronoma okazały się jednak płonne; żaden wulkan nie zapylił wspaniałej atmosfery, w której tonęły śnieżne szczyty Kordylierów. Wiatr wschodni, suchy i zimny, nie pozwalał ukazać się najmniejszej chmurce na ciemnobłękitnym tle nieba; słowem — warunki układały się jak najkorzystniej.

Poranek dnia, w którym miała zabłysnąć kolosalna gwiazda na Ziemi, był dziwnie piękny. Zdało się, iż natura pragnęła uśmiechem swym dodać Hartingowi odwagi i ufności. Barometr, jak na miejscowość wzniesioną na cztery tysiące metrów nad poziom morza, stał stosunkowo bardzo wysoko, zapowiadając długotrwałą pogodę. Szumiący przeciągle wpośród skał wicher był umyślnie jakby zesłany przez przyjazne naszemu astronomowi wieszczki po to, żeby rozganiać dymy, które miały się niebawem wytworzyć nad płaskowzgórziem wskutek spalania olbrzymiej ilości mieszaniny aluminium i saletry. Firmament przybrał ciemne zabarwienie, co dowodziło, iż w atmosferze znajduje się bardzo mało pary wodnej.

To wszystko wpłynęło dodatnio na usposobienie Hartinga, Barretta zaś wprawiło w różowy humor.

— Doświadczenie nasze powinno się udać znakomicie — powtarzał szanowny wynalazca zacierając co chwila ręce, według zwyczaju. — Jestem pewien, że sygnał będzie widzialny nie tylko na Marsie, ale nawet na Jowiszu, jeśli tylko znajdują się tam jacyś obserwatorzy. Tutaj zaś na Ziemi oślepną od niego wszystkie stworzenia w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Co do nas, nie ma obawy, ukryjemy się przed światłem na stacji. Trzeba tylko wydać surowe rozporządzenie ludziom, iżby żaden z nich nie zechciał spojrzeć na szczyt płaskowzgórza podczas palenia się mieszaniny.

— Czy rzeczywiście byłoby to niebezpieczne? — zagadnął Harting.

— Nie radzę ci robić prób, mój drogi! Nasze światło ma mieć natężenie co najmniej czterdziestu milionów świec; będzie więc znacznie silniejsze od słonecznego. Jestem pewny, że można by ulec poważnemu porażeniu wzroku, wystawiając się na jego działania. Ostrożnie zatem.

— A cóż uczynimy, jeśli pewna liczba pak nie zapali się?

— Nic. Żadna ludzka istota nie zdoła zbliżyć się do płaskowzgórza dla naprawienia złego, naraziłaby się bowiem jeżeli nie na śmierć, to przynajmniej na kalectwo i długotrwałą chorobę. Nie obawiaj się jednak, kochanku! Elektryczność wywiąże się z zadania ku zupełnemu twemu zadowoleniu, zobaczysz!

Harting musiał, po głębszym zastanowieniu, przyznać słuszność przewidywaniom przyjaciela. Światło, jak wiedział, wywiera na organizm zwierząt i roślin silny wpływ, potęgujący się w miarę wzrostu jego natężenia.

Jeżeli słońce letnie może przyprawić o porażenie często śmier telne, to jaki skutek wywarłoby światło wielokroć jeszcze silniejsze?

Nikt nigdy nie czynił podobnych doświadczeń, najroztropniej więc było zastosować środki ostrożności zalecane przez Barretta, który miał przecież pewne pojęcie o działaniu wynalezionej przez siebie światła.

W południe Harting z największą troskliwością sprawdził po raz ostatni, czy druty łączące paki znajdują się w porządku, następnie sam wypakował ze skrzynki znacznego rozmiaru stos Volty, złożony z kilkunastu miedzianych i cynkowych blach.

Tego rodzaju bateria jest łatwo przenośna i łatwa w użyciu; doskonale więc nadawała się do celów Hartinga.

Na krótko przed zachodem słońca Barrett i nasz astronom obejrżeli przez lunetę cały horyzont, aby się przekonać, czy nie zbliżają się czasem chmury, mogące w ostatniej chwili zaszkodzić doświadczeniu.

Ku wielkiemu swemu zadowoleniu nie spostrzegli jednak nic zatrważającego: nieboskłon był idealnie czysty, gwiazda dzienna sadowiła się wspaniale za dalekimi szczytami, na których olśniewająco błyszcząły leżące w zagłębieniach śnieżne plamy.

O szóstej Harting w otoczeniu swych ludzi udał się do budynku stacyjnego. Schodząc z płaskowzgórza, na którym stały symetrycznie rozmieszczone paki, młody astronom zatrzymał się nagle i położył obie ręce na ramieniu kroczącego za nim Barretta.

— No, jak sądzisz, czy uda mi się? — zagadnął patrząc bystro w oczy przyjacielowi.

Barrett zrozumiał, iż Edwinowi trzeba dodać otuchy, rzekł więc:

— Jeżeli tylko twoja hipoteza, iż Mars jest zamieszkiwany, zgadza się z rzeczywistością, to sygnał powinien być dostrzeżony i zrozumiany.

Moje światło niechybnie zdoła przedrzeć się przez atmosferę ziemską i przebyć pięćdziesiąt milionów kilometrów w międzyplanetarnych przestrzeniach. Nasza gwiazda znajduje się w doskonałym położeniu, ma formę jak najodpowiedniejszą; słowem — zrobiliśmy wszystko, na co ludzkość zdobyć się dziś potrafi.

— A zatem, do dzieła! — zawołał Harting z ogniem. — Czy wszyscy są tutaj? — dodał licząc wzrokiem obecnych.

— Wszyscy, panie! — odparł Bob błyskając radośnie białymi zębami.

Murzyn o mało nie skakał, dowiedziawszy się, iż światło, na które tak dawno oczekiwał, miało zapłonąć nareszcie. Widział on w nim wspaniałą fajerwerk, iluminację niebywałą i nic więcej. Główny cel przedsięwzięcia wcale go nie obchodził. Biedak nie słyszał nigdy o planetach, a tym bardziej nie domyślał się, iż mogą one mieć jakichś mieszkańców.

Jego towarzysze — członkowie eskorty — także niewiele interesowali się zamiarami naszego astronoma, poczytywali go za coś w rodzaju nieszkodliwego wariata, rozsiewającego pieniądze na głupstwa, i wzruszali znacząco ramionami, dowiedziawszy się, że przypędzono ich w góry dla urządzenia iluminacji, której nikt nie miał oglądać.

— No, kiedy nikogo nie brak, to marsz do stacji! — rzekł Barrett. — Kto nie chce narazić się na ślepotę, ten niechaj się wystrzega, ażeby nie patrzeć na szczyt płaskowzgórza, skoro zapalimy światło.

— Więc nie można przyglądać się? — rzekł Bob krzywiąc się paskudnie.

— Nie, nieboraku, musisz wyrzec się przyjemności oglądania fajerwerku — odparł chemik uśmiechając się — on nie jest dla nas przeznaczony!

Po tej instrukcji, która wielce się nie podobała, Barrett ruszył przodem, prowadząc całą gromadkę.

Znalazłszy się w szalasie, który leżał, jak wiemy, na wschodnim stoku góry, Harting zaczął składać stos Volty mający służyć do zapalenia światła z odległości. Uczyniwszy to, nasz astronom wyszedł po raz ostatni przed szalas, ażeby się przekonać, czy Mars jest dobrze widzialny.

Planeta, której zamierzał dać znać o istnieniu ludzkości, ukazała się zaraz prawie po zachodzie słońca i w tej chwili była już wzniesiona o kilkanaście stopni ponad horyzontem; o jedenastej miała ona zająć na niebie punkt najwyższy.

O tej porze, pogrążony w mroku nocnym, Ekwador znajdował się w ciemnej części ziemskiej tarczy. Sygnał Hartinga powinien być więc przedstawic się umieszczonemu na Marsie spostrzegaczowi jako czteropromienna, geometryczna gwiazdka, leżąca tuż obok oświetlonego przez Słońce skrawka o kształcie sierpa.

— Chciałbym niezmiernie dowiedzieć się za pomocą telegrafu iskrowego, czy w tej chwili panuje równie piękna pogoda w punktach zajętych przez naszych kolegów — rzekł Harting skończywszy swe badania. — Kto mi zaręczy, czy Sims, na przykład, nie jest teraz w rozpaczce z powodu chmur albo dymu wulkanicznego, zasłaniającego mu niebo?

— Sam już nie wiesz, czego się obawiać! — odparł Barrett zniecierpliwiony. — Czyż barometr mógłby stać tak wysoko, gdyby gdzieś w pobliżu znajdowało się dużo wilgoci atmosferycznej? Et, nudzisz w końcu! Zapalajmy światło! Za dziesięć minut dziewiąta.

Harting, nic nie odpowiedziawszy, zbliżył się do stołu, na którym leżał guziczek od baterii elektrycznych, i przycisnął go pewną ręką, spojrzawszy wprzód na swój chronometr.

— Nareszcie! — rzekł chemik oddychając z ulgą. — Zadanie nasze spełnione.

— Pali się? — zagadnął Edwin zbliżając się szybko do okienka przysłoniętego matą.

Nie potrzebował jednak odpowiedzi. Ze szczytu bowiem góry spływało łagodne, księżycowe światło, bladoniebieskawe, podobne zupełnie do elektrycznego... Skąły sterczący ponad szaląsem poczynały kąpać się w nim samymi swymi wierzchołkami, rzucając długie, ostre cienie na dół. Jasność ta w pierwszych chwilach bladła, nabierając szybko siły, dorównała w parę minut blaskowi błyskawicy i wciąż potęgowała.

Harting widział, jak okolica rozwidniała się od padającego z płaskowzgórza światła niby od zorzy polarnej. Ciasny niedawno i zamroczony krajobraz nabierał życia. Ciemności, wypierane przemocą z dolin i zakątków, pomiędzy ponurymi bazaltami pierzchały gdzieś w dal, poza horyzont, ustępując miejsca ostrym promieniom wdzierającym się w powietrze niby strzały. Sylwetki odległych o kilkanaście kilometrów wyniosłości zarysowały się na tle głębokiego nieba z przedziwną, niebywałą wyrazistością. Stojące bliżej odłamy skalne płonęły jak bryły rozpalonego do białości metalu. Dziwne, nie znane oku światło wsiąkało w przestrzeń, nadając całemu otoczeniu jakiś oryginalny, nieuchwytny wyraz.

— Brawo! — zawołał Barrett podnosząc wyżej zasłonę. — Jest widno jak w dzień. Ale to jeszcze nie koniec. Nasz fajerwerk zacznie palić się na dobre nie prędzej niż za pół godziny, wtedy dopiero będzie na co patrzeć z Marsa.

I chemik, zadowolony ze swego dzieła, wodził uśmiechniętymi oczyma po obecnych, jak gdyby oczekując pochwał.

Harting, Zająwszy stanowisko przy okienku, patrzył z biciem serca, jak leżący przed nim krajobraz rozświeślał się coraz bardziej. Białe dymy, pędzone silnym zachodnim wiatrem z gorejących ognisk, unosiły się w jarzących obłokach ponad doliną i napępniały oślepiającym pyłem pobliskie wąwozy.

Było coś wspaniałego, niezmiernego w tej powodzi światła, odbierającego zuchwale ciemnej nocy berło panowania nad opuszczonym przez dzień obszarem, w tym słońcu stworzonym ręką obawiającego się jego promieni człowieka.

Kondory, drzemiące na podniebnych urwiskach, obudziły się nagle i sądząc zapewne, że dzień nowy zajaśniał, zrywały się do lotu. Harting widział je wyraźnie, jak krążyły ponad skałami, zdziwione rażącym ich oczy blaskiem, i z szybkością strzały śpieszyły ku światłu na swą zgubę.

Natura, złudzona dziełem ludzkim, wstawała ze snu. Rośliny w nizinach rozpoczynały na nowo swoje fizjologiczne procesy. Z daleka dochodził ryk jakiegoś oślepionego straszną jasnością niedźwiedzia, drobne ptactwo opuszczało swe gniazda; słowem — Harting i Barrett naruszyli odwieczny porządek życia mieszkańców ekwadorskich Kordyliarów.

— Nie mogę dłużej patrzeć! — zawołał nagle Harting, chroniąc się do szalasu. — Oczy mnie boją... choć mam żółte okulary.

Barrett wyjrzał ciekawie, lecz wnet się cofnął, uczuwszy bolesne klucie na całej twarzy.

Wszystko utonęło w oceanie ostrego, rażącego nerwy światła. Szczyt góry zamienił się w jedną olśniewającą pochodnię, która rozpraszała ciemności na setki kilometrów dookoła.

Barrett święcił zupełny triumf.

Nasza garstka, zamknięta w szalasy, z trwogą spoglądała po sobie, teraz dopiero przewidziane przez chemika niebezpieczeństwo było jawne. Śmiałek, który by się odważył choćby na jedną sekundę rzucić okiem w kierunku góry, drogo by za to zapłacił.

Harting zauważył, że gwiazdy, przed godziną jeszcze wyraźnie błyszczące na firmamencie, znikły zupełnie, przyćmione sztucznym słońcem.

— Żałuję bardzo — rzekł Barrett — iż nie możemy dokonać pomiarów fotometrycznych. Ciekaw jestem, jakie też natężenie ma nasze światło?

— Olbrzymie, znam się cokolwiek na tym — odparł Edwin. — W każdym razie rozporządząmy przynajmniej trzydziestoma milionami jednostek. Jest to znacznie więcej aniżeli konieczne minimum. Dzielnie spisałeś się, kochany Józefie! Jeżeli przedsięwzięcie moje uda się, tobie tylko będę to miał do zawdzięczenia.

— Miła mi jest twoja wdzięczność — rzekł Barrett uśmiechając się. — Powiedz mi jednak, czego się spodziewasz w najpo-myślniejszym razie.

— Jak to: w najpomysłniejszym?

— No, gdy sygnał twój osiągnie swój cel, to jest zostanie dostrzeżony na Marsie? Przecież nie masz chyba nadziei, że uda ci się nawiązać pomiędzy naszym światem a tamtym jakąś wymianę myśli.

— A to dlaczego?! — zawołał Harting z wybuchem. — Za pomocą prostych, geometrycznych znaków można powiedzieć bardzo wiele. Myśl niekoniecznie musi być wyrażona mową lub pismem, ażeby została zrozumiana. Przynaję, że przesłanie zdań zawierających ziemskie pojęcia jest mrzonką. Któż nam jednak przeszkodzi używać symbolów wszechświatowych? Czyżbyśmy mało powiedzieli o sobie Marsjanom, pokazując im po kolei wszystkie figury geometryczne, płaskie, poczynając od linii prostej, a kończąc na regularnych wielobokach? Euklides jest powagą nie tylko u nas, ale i na każdej planecie słonecznego układu.

— Zgoda na to, ale cóż mogą odpowiedzieć przypuszczalni Marsjanie na twój sygnał?

— Albo ja wiem? Prawdopodobnie sygnałem podobnym do mojego. Na razie chodzi mi tylko o to, abyśmy się przekonali o ich istnieniu i odwrotnie.

— Cóż za korzyść odniesie ludzkość z przeświadczenia, iż setki milionów kilometrów, w nieprzebytej dla żadnego ziemskiego ciała przestrzeni, znajduje się zbiorowisko inteligentnych istot?

— Skorzysta! Oczywiście, że skorzysta, mój drogi! — zawołał z zapalem Harting. — Rozszerzy swoje poglądy na życie we wszechświecie, dowie się, że nie jest wytworem przypadku, zbliży się do rozwiązania zagadki bytu, nabierze pewności, iż jest przeznaczona do rozwoju, do szczęścia. A kto wie, może z czasem, po wielu wiekach, zdoła zespolić swą wiedzę z wiedzą istot zamieszkujących inne światy... i pocnie czerpać z tego korzyści czysto materialnej natury, które są u ciebie, jak widzę, na pierwszym planie. A zresztą kto zaręczy, czy z czasem nie znajdziemy sposobu dostania się na Marsa?!

— Dobrze już, dobrze! Dawaj sobie sygnały, jakie ci się podoba, i odbieraj najprzychylniejsze i najciekawsze odpowiedzi. Bądź Kolumbem

nowego zaziemskiego świata, tylko nie unos się tak i nie krzycz! Skąd, u diabła, wlało ci do głowy, że jestem taki praktyczny i nastawiony tylko na doraźne korzyści?

— Panie, światło zaczyna się zmniejszać! — przerwał nagle Bob. — Już mogę patrzeć.

Harting spojrział na zegarek. Była północ bez czterech minut. Aluminiowa masa płonęła zatem już od trzech godzin; koło drugiej miała, podług przewidywań Barretta, zużyć się zupełnie.

Największe natężenie światła przypadło na jedenastą wieczór, o której to porze Mars znajdował się właśnie najwyżej ponad horyzontem. Pięciogodzinny okres czasu wydawał się Hartingowi zupełnie wystarczający do spostrzeżenia sygnału na sąsiednim świecie i utrwalenia go w jakikolwiek bądź sposób.

Zresztą niepodobna było podtrzymać dłużej tak potężnego światła.

Uwaga Boba była słuszna. Światło widocznie słabło. Edwin nie doznawał już, jak przedtem, klucia, kiedy wyjrzał przez małe okienko.

— Zdaje mi się, że tam, po prawej stronie, niebo jest niezwykle jasne — rzekł — zobacz no, Barrett!...

— Rzeczywiście — potwierdził chemik — widzę wyraźnie tунę.

— To Sims — rzekł Harting.

— Tak. Znajduje się on o siedemdziesiąt kilometrów od nas. Jego światło powinno więc dochodzić tutaj wyraźnie. Dostrzega on niezawodnie środek gwiazdy na równiku.

— Rok życia oddałbym z ochotą, gdybym mógł bujać w tej chwili balonem na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad poziomem oceanu — rzekł Harting. — Z łódki ogarnąłbym przestrzeń o promieniu przeszło dwustu kilometrów i widziałbym dokładnie całą prawie gwiazdę.

— Jeżelibyś nie oślepl od razu — wtrącił Barrett. Po godzinie drugiej, tak jak przepowiedział nasz wynalazca, aluminiowe światło poczęło gasnąć.

Noc, wyparta na pięć godzin, powracała najprzód nieśmiało, potem coraz zuchwałej i rozpościerała na nowo swe czarne skrzydła ponad górą i przyległą okolicą. Walka ciemności z konającą jasnością nie trwała długo. O wpół do trzeciej aluminiowa masa, rozlana w kałużę, świeciła już tylko jak wielki wulkan, zionący ognistą lawą. Krajobraz zacierał się w odzyskującym swe panowanie mroku: dalekie szczyty/i urwiska przybierały fantastyczne kształty jakichś czarownic rozsiadłych dookoła ogniska.

Jeszcze kwadrans, a stoki góry, szalas i znajdujący się w nim twórcy gasnącego słońca pograżyli się w sinym, niby księżycowym, niby fosforycznym półświecie.

Ostatnie, śmiertelne drgania obumierających płomieni rzucały chwilowe błyski ze szczytu góry na dno doliny, wreszcie i te znikły.

Słońce, rozniecone na Ziemi przez sięgających w nieznanne światy ludzi, zagasło ostatecznie.

Czy dostrzeżono je tam, w odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów, czy zrozumiano jego znaczenie?

Harting, opuściwszy szalas, stanął na wielkim odłamie bazaltu i znowu, tak jak przed sześcioma godzinami, patrzył na Marsa długo, długo, dopóki ten nie ukrył się poza dalekimi górami przed jego badawczym, przenikającym przestrzeń wzrokiem.

ROZDZIAŁ XVI

TOMASZ TABB STAJE SIĘ GODNYM POŻĄŁOWANIA

Przedsięwzięcie, które wydawało się przeciwnikom Hartinga niemożliwe, przechodzące siły ludzkie, zostało, jak widzieliśmy, dokonane dzięki wynalazkowi Barretta i szczodropliwości Brightona.

Spełniwszy swe trudne zadanie, astronom nasz gotował się-do powrotu. Pilno mu było znaleźć się w Stanach Zjednoczonych, na Sierra Madre u olbrzyma-teleskopu, który nań oczekiwał.

Harting, jak nam wiadomo, kazał zbudować ten potężny przyrząd, ażeby móc obserwować Marsa podczas opozycji, bezpośrednio po przesłaniu sygnału.

Co chciał dojrzeć na jego powierzchni? Czy owe kanały, o których tyle mówiono w ostatnich czasach? Czy spodziewał się zdobyć jakieś nowe spostrzeżenia, potwierdzające hipotezę istnienia życia na tej planecie?

Zapewne myślał o tym wszystkim, głównie jednak pociągała go nadzieja, że otrzyma odpowiedź na swój znak świetlny, urządzone z takim mozolem i nakładem kosztów.

Jaką mogła być ta odpowiedź, tego Harting nie potrafił przewidzieć, któż bowiem mógłby dać mieszkańcowi Ziemi najskromniejsze choćby informacje o środkach technicznych, jakimi rozporządzałyby Marsjanie, gdyby istnieli w rzeczywistości? Było tu szerokie pole dla nie popartych niczym domysłów — i nic więcej. Wspomniane kanały, pokrywające gęstą siatką powierzchnię Marsa, stanowiłyby bezsprzecznie ważny dowód, iż kultura na najbliższej Ziemi planecie postąpiła już bardzo wysoko, gdyby się dało stwierdzić niezbicie, że nie są one tylko jakimś złudzeniem optycznym, lecz istnieją realnie.

Olbrzymi teleskop mógł rzucić pewne światło na tę niejasną kwestię, dlatego też Harting pragnął jak najprędzej spojrzeć przez jego dwumetrową soczewkę w przepaści niebios.

W górach nie było już co robić. Nasi bohaterowie ruszyli więc na punkt zborny, do Guayaquilu, nazajutrz po zapaleniu pamiętnego sygnału.

Muły, niezbędne do powrotnej podróży, i przewodnik Indianin znajdowali się na stacji; wszyscy członkowie wyprawy cieszyli się doskonałym zdrowiem, nic więc nie powstrzymywało naszych przyjaciół.

O godzinie drugiej po południu mała karawana opuściła stację na stoku góry i skierowała się z powrotem drogą, którą przybyła miesiąc temu.

Harting nie bez pewnego żalu opuszczał miejsce, gdzie doznał tylu wrażeń. Ów skromny szałas, przytulony do boku granitowego kolosa, otaczające go skały, które niedawno kąpały się w powodzi olśniewającego światła, zięjące poniżej przepaście — wszystko to miało dlań teraz jakiś dziwny powab, który odczuć potrafiłby tylko drugi taki sam, jak on, marzyciel.

„Stąd wypłynęły promienie świetlne, które oni widzieli t a m...” — myślał Edwin, rzucając przychylnie spojrzenie na szczyt góry.

Barrett natomiast był niezmiernie zadowolony, iż mógł się wreszcie wynieść z tego zakątka, w którym, jak sam mówił, śmiertelnie się wynudził i stęsknił za swoją fabryką.

Harting, pozbywszy się kłopotów, odzyskał humor, żartował wesoło i z podwójnym zaciekawieniem przyglądał się otoczeniu.

Ażeby nasycić oko dzikimi krajobrazami wschodnich Andów, postanowiono zboczyć cokolwiek ku pomocy, w kierunku góry Sietevocas, leżącej poza jeziorem Yana tuż na skraju płaskowzgórza.

Spuściwszy się z Zuncho i przebywszy z maczetą* w ręce otaczające ją gęste, splątane zarośla, karawana postępowała wolno brzegami Yana, malowniczo udekorowanymi przez otaczające wyniosłości.

Szczyt Sietevocas podczas ciszy w powietrzu przeglądał się w wodach jeziora niby w zwierciadle. Barrett ze zdziwieniem zauważył, iż odbity od powierzchni Yana obraz góry przedstawiał się jego oku w znacznym pomniejszeniu.

- Czym wytłumaczysz to zjawisko? — zagadnął Hartinga.
- Kulistością Ziemi, mój drogi — odparł astronom po krót-

** Maczeta (z hiszp.) — długi nóż, służący do torowania sobie drogi w splątanym gąszczu leśnym.*

kim namyśle. — Jezioro Yana ma przynajmniej dwanaście kilometrów średnicy i jest okrągławe. Powierzchnia jego zatem zachowuje się względem promieni świetlnych niby wypukłe zwierciadło, które, jak ci to dobrze wiadomo, pokazuje obraz zmniejszony. Zupełnie taki sam fakt można obserwować przy pięknej pogodzie nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii i w ogóle nad każdym zbiornikiem wody dość obszernym i nie mąconym przez

wiatry.

— Ten nowy dowód, iż Ziemia ma postać kulistą, warto by umieścić w podręcznikach geografii fizycznej — rzekł Barrett — w każdym razie jest on łatwiejszy do skontrolowania aniżeli na przykład podróż naokoło świata lub widok cienia Ziemi przy zaćmieniu Księżyca.

Nasi podróżni mieli sposobność przez długi czas obserwować to ciekawe zjawisko, gdyż najłżejszy nawet wiaterek nie marszczył lustrzanej powierzchni pięknego jeziora.

Powoli jednak jezioro znikło poza okolicznymi wyniosłościami. Karawana wspinała się coraz wyżej, Harting pragnął bowiem dostać się na sam wierzchołek sterczącej przed nim góry, aby stamtąd przypatrzeć się wspaniałemu widokowi na płaskowzgórze, którego środkiem płynęła Pastaza.

— Sietevocas wznosi się dwa tysiące metrów przeszło ponad równinę, na której stoi, a cztery tysiące z czymś nad poziom morza — rzekł Barrett spojrzawszy na swą mapę — będziemy więc mogli ogarnąć z niej sporą przestrzeń. Pilno mi zobaczyć tę wspaniałą panoramę. Jaka szkoda, że nie możemy dostać się dzisiaj jeszcze na górę! Jest już późno, musimy gdzieś zanocować.

— Zatrzymamy się w domku indiańskim, ot tam, pomiędzy tymi wzgórzami — rzekł Harting wskazując przyjacielowi małą, białą plamkę na południowym stoku góry.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł chemik — stamtąd będzie już bliżej na wierzchołek.

Przewodnik Indianin, dowiedziawszy się o postanowieniu naszych podróżnych, oświadczył, iż w domku, widzianym z odległości, mieszkał jeden z jego znajomych, bardzo gościnny człowiek. Do domku tego prowadziła, według jego zdania, pewna i dobra droga.

Na przebycie małej z pozoru przestrzeni karawana potrzebowała jednak aż dwóch godzin czasu. Barrett miał tu nową sposobność przekonania się, że w górach odległości zawsze wydają się mniejsze, aniżeli są w rzeczywistości.

Zbliżywszy się na kilkadziesiąt kroków do domku, podróżni doznali przykrego wrażenia; zabudowania, przedstawiające się z daleka bardzo estetycznie, były właściwie dwiema stojącymi obok siebie chałupinkami, skleconymi z chrustu i z gliny, krytymi tak jak wszystkie prawie budynki w górach — trawą para-moską. Dwa otwory prowadzące do wnętrza odgrywały w nich rolę drzwi i okien zarazem, kominów brakowało zupełnie, zamiast nich w dachu znajdowały się otwory do przepuszczania dymu.

W pobliżu tych zabudowań nie było widać żadnego ogródka ani pola uprawnego, z gołej ziemi wyrastało tylko opodal karłowate drzewo, jedyny punkt, na którym mogło spocząć oko strudzone widokiem skalistych gór, spiętrzonych amfiteatralnie jedna nad drugą.

Kiedy karawana zatrzymała się, nikt nie wyszedł na jej spotkanie; zdawało się, iż domki są zupełnie nie zamieszkane.

— Nie bardzo nam będzie przyjemnie przepędzić noc tutaj — rzekł Barrett zsiadłszy ze swego muła — nie wiem doprawdy, jak człowiek może w takiej dziurze przebywać.

— Ha, trudno! — westchnął Harting. — Znajdziemy tu przynajmniej pęk trawy, ogień, a może i trochę świeżego mleka, którego dawno już nie kosztowałem.

Edwin, oddawszy swego wierzchowca pod opiekę Boba, wszedł do wnętrza domu przez otwór zasłonięty nie wyprawioną skórą,

Z początku nie był w stanie nic dojrzeć w panującym tam mroku, po chwili jednak ujrzał w pośrodku izby dwóch ludzi siedzących na wołowych czaszkach u wygasłego ogniska.

Jeden z nich wydał mu się znajomy, postąpił więc parę kroków naprzód i zatrzymał się jak wryty.

Miał przed sobą „doktora Gardenera” we własnej osobie.

Szanowny korespondent „Echa” odwrócił się na szelest, lecz nie poznał widać Hartinga, bo nie okazał najmniejszego wzruszenia, Nasz astronom, oswoiwszy się nieco z ciemnością, zauważył, iż Gardener, a raczej Tabb, miał oczy przewiązane jakimś białym bandażem zachodzącym aż na czoło.

„Nie wyleczył się jeszcze z owego skaleczenia odniesionego przed miesiącem w paramosach czy co?” — pomyślał Edwin.

Obecność reportera w tym miejscu tak bliskim Zuncho gniewała go. Przeczul od razu, iż przebiegły Tabb widział wszystko. Wolałby się z nim nie spotkać, lecz teraz było już za późno cofnąć się.

— Ach, to pan, panie Tabb? — rzekł zbliżając się do korespondenta.

— Tabb tutaj?! — zawołał Barrett, który wszedł właśnie. — Gdzie?... Hm — dodał spostrzegłszy reportera — mój środek nie poskutkował zatem, wyśledziłeś nas pan. Do tysiąca diabłów, jesteś natrętem i zuchwalcem, jeżeli chcesz usłyszeć moje zdanie o sobie.

— Pan zaś przestępcą, który powinien by się dostać w ręce sprawiedliwości.

— Co, ja... przestępcą?! — zaperzył się chemik. — Jak pan śmiesz nazywać mnie w ten sposób?!

— Powiadam, jesteś pan zbrodniarzem!

— Ostrożnie, panie Tabb! — rzekł Barrett błędąc. — Obelgi krwią zwykłem zmywać...

— Co pana skłania do znieważania mego przyjaciela? — zagadnął Harting kładąc rękę na ramieniu reportera.

— Co? — powtórzył Tabb. — Ot, to, to!

I zerwawszy szybkim ruchem bandaż, wskazał na czerwone, ciekące łzami powieki i na twarz jasnomiedzianej, nienaturalnej barwy, jakby poparzoną.

— Czy wiecie, jakie skutki sprowadziła na całą okolicę wasza przeklęta gwiazda? — mówił dalej szanowny korespondent „Echa”. — Oto pozbawiliście wzroku i skóry, na kilkanaście mil dookoła, wszystkich tych, którzy musieli być świadkami waszego lekkomyślnego czynu! To okrucieństwo nie ujdzie wam jednak bezkarnie! Władze Ekwadoru czynnie zaprotestują przeciwko oślepieniu setek ludzi i zwierząt dla głupiej fantazji.

— Alboż ciągnęliśmy pana tutaj? — rzekł rozdrażniony do żywego Barrett. — Poniosłeś zasłużoną karę.

— Karę?! — zawołał Tabb oburzony. — A moi Indianie, a właściciel tego obejścia, a okoliczni plantatorzy i ich bydło?!

— Nie sądziliśmy, iż nasze światło wywrze tak silne działanie na znaczną odległość — tłumaczył się Harting.

— A jednak uznaliście za stosowne nie narażać siebie samych na niebezpieczeństwo...

— Musieliśmy być ostrożni, gdyż znajdowaliśmy się tuż przy sygnale. Dziwię się mocno, iż nie postąpiłeś pan podobnie, czując skutki światła.

— Kto panu powiedział, że nie ukryłem się? Działanie jednak było zbyt gwałtowne i szybkie, ażeby ktokolwiek mógł go w porę uniknąć.

Strzeżcie się! Możecie odpokutować za swoją lekkomyślność!

— Nie mieliśmy zamiaru wyrządzić komukolwiek najmniejszej krzywdy — rzekł Harting.

— A pogróżek nie obawiamy się — dodał Barrett sięgając do kolby rewolweru.

— Nie grożę bynajmniej — odparł Tabb wkładając znów bandaż na oczy, z których ciurkiem spływał płyn surowiczy — padłem ofiarą swoich obowiązków, to trudno. Mścić się nie myślę, uczynią to zapewne inni. Dam wam nawet życzliwą radę: uciekajcie czym prędzej, jeżeli nie chcecie wpaść w ręce okolicznych mieszkańców.

— Nie obawiaj się pan o nas, mamy dobrą eskortę i potrafimy obronić się przed napaścią.

— Przeciwko wam jest cała ludność Ekwadoru.

— Jakoś damy sobie radę, gorzej daleko jest z panem. Czy nic pan nie widzisz?

— Prawie tyle, co nic. Czuję ból w oczach, skoro otworzę powieki. Od rana mam wysięk nieustanny, boli mnie skóra na całej twarzy... Niech diabli porwą wasze światło!

— Nie możemy zostawić pana tutaj — rzekł Harting po chwilowym namyśle — pojedziesz pan z nami. Spodziewam się, iż nie zdążyłeś jeszcze przesłać korespondencji do „Echa” o tym, czego byłeś świadkiem.

— I prawdopodobnie nie prześlesz jej pan prędko — dodał Barrett. — Jesteś w tej chwili nieszkodliwy dla nas, możemy więc zabrać pana bez obawy.

— Uprzedzamy iż spełnię swój obowiązek, skoro tylko choć cokolwiek przyjdę do siebie — rzekł Tabb.

— No, no, to się zobaczy — wtrącił Edwin — znajdujesz się pan pod naszą opieką i zapewne nie zechcesz wyrządzić nam przykrości.

— Nic nie obiecuję, a o opiekę was nie proszę.

— Zrobisz pan zresztą, co ci się podoba. Tymczasem jednak musisz przyjąć pomoc, którą ci ofiarowujemy.

Uparty korespondent uczył się rozbrojony słowami młodego astronoma.

— Dziękuję panu! — rzekł wyciągając rękę.

— Nie masz pan za co, czynimy to, co nam nakazuje serce i sprawiedliwość. Winniśmy pana prosić o przebaczenie za krzywdę, jaką wyrządziliśmy ci pomimo woli.

— Niech tam! Uważam się za rannego na placu boju. Nie pierwszy to i nie ostatni raz cierpię dla dobra mojego dziennika.

Tak więc zapanowała zgoda pomiędzy pełnym poświęcenia reporterem a naszymi podróżnymi. Barrett, który bardzo wziął do serca przygodę Tabba, opatrzył go starannie i przekonał się, iż zupełnej utraty wzroku nie trzeba się obawiać. Światło wywołało wprawdzie niezmiernie ostre zapalenie i podrażnienie oczu, lecz siatkówka nie utraciła wrażliwości.

Daleko dziwniejszym objawem były zmiany zaszły na skórze Tabba i jego ludzi. Zjadliwe i silne promienie wywołały coś, jakby spotęgowane dziesięciokrotnie porażenie słoneczne; zaczerwienienie, nieznośne swędzenie na twarzy, szyi i rękach, a u Indian także na nogach, niczym nie okrytych.

Ulżywszy cierpiącym, jak się dało, nasi podróżni chcieli ułożyć się na spoczynek, lecz Tabb oparł się temu stanowczo.

— Ani chwili nie możecie tu zostać — rzekł. — Indianie okoliczni porozumiewali się dzisiaj rano i zamierzają urządzić na was formalne polowanie. Macie dobry węch, ani słowa! Gdybyście nie opuścili jeszcze Zuncho, to mielibyście jutro na karku całą gromadę rozwścieczonych Indian. Dziwię się nawet, że nie spotkaliście takiej bandy po drodze. Musicie jechać nocą i unikać uczęszczanych miejscowości, inaczej może być źle.

Harting, po niejakim wahaniu się, postanowił usłuchać ostróg Tabba wbrew życzeniom Barretta, który gotów był stawić czoło niebezpieczeństwu i pobrzękiwał zuchwale bronią.

Karawana po godzinnym wypoczynku wyruszyła w drogę, zabierając Tabba i jego Indian. Zamiast jednak udać się zgodnie z pierwotnym planem na szczyt góry, skierowała się w doliny i ukryta pod skrzydłami gwiaździstej nocy, szybko zdążyła na równiny.

Nasi podróżni przekonali się niebawem, iż Tabb nie przesadzał wcale mówiąc o skutkach aluminiowego światła.

W całej okolicy, na kilkanaście kilometrów dookoła, Indianie zamieszkujący stoki gór, plantatorzy w dolinach, a nawet było pasące się w paramosach — doznali tych samych obrażeń, co korespondent „Echa”. Wszędzie spotykano na wpół ociemniałych Indian z obolałymi twarzami, rękami i nogami, którzy przeklinali głośno cudzoziemców — sprawców swoich cierpień.

Trochę dalej nie wiadano jeszcze o istotnych przyczynach zdumiewającego zjawiska i tłumaczono je w najrozmaitszy sposób. Niektórzy widzieli w owej powodzi światła zapowiedź jakiejś strasznej, bezprzykładnej katastrofy — koniec świata nawet...

Panika rozszerzała się z szybkością błyskawicy i niebawem ogarnęła cały Ekwador.

Władze, zaskoczone niezwykłym, zagadkowym zdarzeniem, wysłały specjalnych urzędników na miejsca, w których gorzały oślepiające światła.

Skoro ostatecznie dowiedziano się prawdy, miejscowi żandarmi otrzymali rozkaz wytropienia członków wyprawy; rozesłano listy gończe.

Harting i Barrett wiedzieli o tym wszystkim i przedsięwzięli możliwe środki ostrożności, ażeby nie wpaść w ręce władz Ekwadoru. W dzień siedzieli ukryci na dnie jakiegoś wąwozu, podróżowali zaś nocą, nie zatrzymując się w żadnej wsi. Dla odwrócenia od siebie podejrzeń, przebrali się za Indian-górali, muły zaś swoje obładowali potężnymi pakami kory chinowej, którą udało się im zakupić po drodze.

Wszędzie naokoło mówiono tylko o nocy, którą cudzoziemcy zamienili w biały dzień. Wszyscy zastanawiali się nad celem tego czynu i dochodzili do wniosku, iż należało uznać go za ka rygodny. Opowiadano sobie o dziesięciu tysiącach ludzi oślepionych i poparzonych śmiertelnie strasznym światłem, o stadach bydła ginącego z głodu lub w przepaściach paramosów i inne przesadzone stokrotnie fakty, które wzburzały opinię publiczną przeciw sprawcom tych wszystkich nieszczęść.

Harting był niezmiernie niespokojny o Simsa, Nodda, Smitha i innych swych towarzyszy. Obawiał się, iż nie potrafią oni uniknąć grożącego im niebezpieczeństwa.

Pilno mu więc było znaleźć się na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy”, gdzie wyznaczył zborny punkt kolegom, i przekonać się, o ile rzeczywistość usprawiedliwiała jego troski.

Tomasz Tabb przychodził powoli do siebie. Piątego dnia podróży odzyskał wzrok o tyle, iż mógł przyglądać się światu przez ciemne okulary.

Szanowny korespondent „Echa” utracił natomiast skórę, która zlazła mu potężnymi płatami z twarzy, karku, szyi i rąk. Zamiast starego naskórka pojawił się jednak niebawem nowy, wolny już od wszelkich śladów' piorunującego działania pamiętnego światła.

Dziennikarz, doznawszy mnóstwa dowodów troskliwości od Hartinga i Barretta, przebaczył im swoją krzywdę i jakoś nie myślał o przesłaniu swojej korespondencji do „Echa”.

Zresztą nie było to wcale potrzebne. Telegraf rozniósł już od dawna po całym świecie wiadomość o czynie Hartinga i jego towarzyszy. Tabb więc obiecywał sobie, iż poda obszernie sprawozdanie zaraz po powrocie do Bostonu.

Pewnego dnia parowy statek, na którym nasi podróżni kontynuowali swą podróż, zawinął do Guayaquilu.

Harting, nie tracąc ani chwili, pośpieszył do portu i wkrótce stanął wraz z Barrettem na pokładzie „Srebrnej Gwiazdy”.

Zaraz u trapu spotkał naszych bohaterów kapitan Nelson O marsowej twarzy.

— Nareszcie przybyliście! — zawołał ściskając potężnie dłonie swych pasażerów. — Bogiem a prawdą nie spodziewałem się zobaczyć was prędko, bo nie lada burza zawisła nad waszymi głowami.

— Czy Sims jest? — zagadnął Harting oglądając się.

— Przyjechał przed godziną — odparł kapitan.

— Zuch z niego! — rzekł Barrett. — Wyprzedził nas, choć miał o siedemdziesiąt kilometrów dalej.

— Kiedy tak, to możemy palić pod kotłami! — zawołał wesóło Harting.

— Już zapaliłem — odparł Nelson. — Od dwóch dni trzymam parę w pogotowiu, zaczynało mi bowiem być tutaj gorąco. Komendant portu podejrzewał, iż mam stosunki ze sprawcami owej iluminacji. Oto co o tym piszą.

Tu kapitan Nelson wydobyl numer urzędowej gazety zawierającej poważne oskarżenie, które odczytał przybyłym gościom.

— Podnoś pan kotwicę, za godzinę będziemy już daleko. Niechaj nas gonią, płyniemy całą siłą pary do Esmeraldas. „Całą siłą”, kapitanie, czy słyszysz? Oni są w gorszym położeniu aniżeli my! — zawołał podniecony Harting po pobieżnym zapoznaniu się z treścią artykułu.

Kapitan, nic nie odrzekłszy, dał sygnał swoją Świstawką, po czym natychmiast zaskrzypiała winda od kotwicy. Niebawem zaszumiały śruby i „Srebrna Gwiazda”, zakreśliwszy półkole, zwróciła się przodem do kanału i prując ocean z szybkością 25 węzłów, podążyła do Esmeraldas, gdzie była niecierpliwie oczekiwana przez pozostałych członków wyprawy.

ROZDZIAŁ XVII

EDWIN HARTING OCZEKUJE ODPOWIEDZI NA SWÓJ SYGNAŁ

W miarę jak „Srebrna Gwiazda” zbliżała się do wybrzeży Kalifornii, niepokój Hartinga wzrastał.

Niepokój? Wyrażenie to nie maluje jeszcze dokładnie stanu duszy młodego astronoma. Była to raczej jakaś dziwna, wstrząsająca wszystkimi nerwami i zakątkami mózgu gorączka, jakiś lęk mącający myśli, jakieś przeczucie nadzwyczajnych, epokowych wydarzeń.

„A może już nadeszła? Może w tej chwili właśnie obserwują ją sięgającym w nieskończoność okiem olbrzyma na Sierra Madre? Czy będzie tylko długotrwała i dokładnie widzialna? Czy umieszczą ją także na swoim równiku?”

Harting marzył we śnie i na jawie, w ciemnościach i w świetle słońca o odpowiedzi, która, zdawało mu się, lada chwila powinna przybyć z tej pięknej, tajemniczej planety, jaśniejącej co wieczór na niebie jak rubin na aksamitnym płaszczu natury.

Och, jakżeby pragnął znajdować się już na Sierra Madre! Ale jacht włókł się w jego oczach tak powoli po nieskończonej powierzchni oceanu, śruby tak leniwie tłukły fale, kapitan tak ospale wydawał rozkazy!...

Musi się spóźnić, inni zobaczą to, co dla niego jest przeznaczone. Ach, kto zniesie to oczekiwanie?!

I Harting, trawiony chorobliwą niecierpliwością, zaciskał pięści, tupał nogami, biegał jak szalony po swojej kajucie, prosił, błagał Nelsona o pośpiech.

— Dwadzieścia pięć węzłów, panie Harting. Niepodobna jechać prędzej!

— Co, dwadzieścia pięć węzłów?! Czy to może być?... Sam kazał rzucać log* i sprawdziwszy, iż kapitan miał rację, uspokajał się na chwilę.

Pałająca niecierpliwosc wracała jednak niebawem. Młody astronom siadał na przednim pokładzie i godzinami całymi zatapiał wzrok w widnokregu północnym, z którego miał się wychylić tak niecierpliwie oczekiwany ląd.

— Już dwa tygodnie minęło wczoraj od podania sygnału, spóźnię się... Przekleństwo! — szeptał zgrzytając zębami.

Barrett, Sims i inni członkowie wyprawy próbowali go uspokajać.

— Alboż jest możliwe, ażeby odpowiedź nadeszła tak prędko? — powtarzał Sims. — Przecież my potrzebowaliśmy kilku miesięcy na podanie sygnału.

— To my, ale nie oni — odpowiadał Harting krótko.

— Zdążymy, nie obawiaj się — pocieszał przyjaciela Barrett. Ale młody astronom przyjmował wszystko lekkim wzruszeniem ramion. Nic nie było w stanie wygnąć z jego serca tych przypuszczeń, biorących źródło w rozkołysanej wyobraźni.

** Log — przyrząd służący do mierzenia szybkości statku.*

To podniecenie musiało pozostawić po sobie ujemne skutki. Barrett wiedział o tym i niepokoił się coraz bardziej o zdrowie przyjaciela.

Szanowny wynalazca odetchnął swobodniej wtedy dopiero, gdy „Srebrna Gwiazda” po forsownej żegludze zarzuciła nareszcie kotwicę na brzegach południowej Kalifornii.

Stanąwszy na lądzie, Harting, nie tracąc ani jednej minuty, udał się na stację kolei żelaznej. Nieprzeparta siła ciągnęła go do Sierra Madre, gdzie znajdowało się obserwatorium z dwumetrowym refraktorem. Chęć dostania się tam wlała jakąś chorobliwą energię w młodego astronoma. Nie zważał on już ani na zmęczenie długą morską podróżą, ani na fatalną pogodę, zapomniał o jedzeniu, o śnie nawet. Barrett i Sims, którzy mu towarzyszyli, daremnie nakłaniali go do przyjęcia jakiegokolwiek bądź pożywienia w drodze. Owa gorączka oczekiwania, trwająca od chwili, w której zapłonął sygnał, pożerała uczonego. W dwanaście godzin po opuszczeniu Los Angeles podróżni nasi przesiedli się na pociąg biegnący wzdłuż Sierra Madre; o drugiej po południu zaś dnia następnego znajdowali się już na stacji odległej od nowego obserwatorium zaledwie, o dwadzieścia kilometrów, które należało przebyć konno.

Po dość uciążliwej drodze ujrano nareszcie górę, na której szczycie wznosiła się wspaniała kopuła, mieszcząca lunetę o dwumetrowej średnicy. Na ten widok Harting wydał radosny okrzyk i, wbijając ostrogi w boki swego wierzchowca, popędził naprzód po stromej ścieżce pnącej się kretu pod górę.

— Ostrożnie! — krzyknął za nim Barrett.

Astronom nie zważał jednak ani na kamienie zagradzające mu drogę, ani na liczne rozpadliny, byle jak najprędzej znaleźć się u olbrzymiej lunety i spojrzeć przez nią t a m...

Na jednym z zakrętów koń potknął się i upadł, on jednak nie próbował nawet go podnieść. Z sercem bijącym od szalonej jazdy, z błyszczącymi oczyma szedł dalej pieszo, przyglądając się budynkom dostrzegalni jaśniejącym w promieniach niskiego, jesiennego słońca.

Było już zupełnie ciemno, kiedy znalazł się na płasko ściętym wierzchołku góry — przed potężną kopułą, rysującą się niewyraźnie na szafirowym tle nieba.

Harting postawił nogę na pierwszym stopniu kamiennych schodów, prowadzących do szerokich drzwi, lecz uczuł, iż siły go opuszczają. Zabrakło mu nagle odwagi zapytać o to, co tak gorąco wiedzieć pragnął. Usiadł więc i błędził wzrokiem po fir-mamencie, na którym zapalały się kolejno coraz to nowe gwiazdy.

— Oni już widzieli — szeptał do siebie — tak, musieli widzieć. Siedemnaście dni... o, to dostateczny przeciąg czasu dla; nich... To nie karły przecie!...

Zwrócił się ku wschodniej części nieba i, odszukawszy ceglastoczerwonego Marsa, który właśnie ukazał się, wyciągnął ku niemu rękę.

— Odpowiedzieliście, nieprawdaż? — rzekł półgłosem. Widok nadjeżdżającego Barretta powrócił mu utraconą skutkiem wzruszenia równowagę, zerwał się więc i położył rękę na klamce.

— Czy to tutaj? — zagadnął chemik zsiadając z konia.

— Tutaj, chodźmy! — odparł Harting.

Otworzył drzwi i wszedł ciągnąc za sobą przyjaciela, którego obecność dodawała mu otuchy.

Wnętrze kopuły było oświetlone kilkoma małymi lampkami elektrycznymi, przybyli ujrzeni więc natychmiast olbrzymi teleskop.

Dwumetrowy refraktor spoczywał na swym postumencie jak jakaś kolosalna armata na lawecie. Barrett mimo woli stanął, zdumiony widokiem tego imponującego dzieła geniuszu ludzkiego.

W dostrzegalni nie spodziewano się snadź wcale powrotu Hartinga, gdyż wszystko odbywało się tu zwykłym trybem. Szanowny pan Davis nastawiał właśnie pod podłogą mechanizm i potężne narzędzie, posłuszne jego woli, zwróciło się łagodnie w kierunku Marsa.

Barrett uczył wyraźnie, jak wraz z lunetą podnosi się do góry posadzka. Za chwilę dał się słyszeć suchy zgrzyt i olbrzym znalazł się w położeniu, jakie pragnął mu nadać Davis.

Asystenci obserwatorium dostrzegli jednak Hartinga z wysokości platformy położonej przy horyzontalnej osi refraktora.

— Kto tam? — zapytał Davis odwracając się nagle.

— To ja, Edwin Harting — odparł młody astronom głuchym głosem. Davis wyciągnął skwapliwie rękę do przybyłego.

— Jak to, już? — zagadnął uśmiechając się przyjaźnie. Harting zamiast odpowiedzi zatopił badawczy wzrok w twarzy dyrektora obserwatorium.

— Czy widzieliście już odpowiedź na sygnał?... — zapytał zdławionym od wzruszenia głosem.

— Odpowiedź?! — powtórzył Davis. — Więc spodziewał się pan odpowiedzi od mieszkańców Marsa?

— Nie dostrzegliście nic ciekawego? — przerwał niecierpliwie Harting.

— Owszem, teleskop pozwolił nam rozstrzygnąć bardzo wiele kwestii i dostarczył mnóstwa interesujących szczegółów.

— O Marsie?

— Tak, o Marsie.

— A czy ujrzelście na jego powierzchni cokolwiek, co by pozwalało domyślić się, że istnieją tam jakieś rozumne istoty, które zrozumiały znaczenie naszego sygnału?

— Nic takiego nie zauważyliśmy.

— Czy z pewnością? — zagadnął Harting błędą.

— Najniezawodniej. Od dwóch miesięcy nie spuszcza my oka z Marsa, mamy już nawet kilka pięknych fotografii jego tarczy, powiększonych pięćdziesięciokrotnie. Wspaniałe zdjęcia.

Harting nie słuchał jednak, w milczeniu siadł na krześle u oku-lara lunety i chciwie zaczął się wpatrywać w Marsa.

Ponieważ wieczór był wyjątkowo pogodny, nasz astronom mógł całkowicie wyzyskać powiększającą siłę refraktora. Uregulowawszy odległość okulara od przedmiotowej soczewki, ujrzał on obserwowaną planetę tak dokładnie, iż nie mógł powstrzymać okrzyku zadowolenia.

Mars przedstawiał się jego oku jako łagodnie czerwona tarcza znacznej średnicy, pokryta subtelną mozaiką szarawych i zielenawych plam, w których można było domyślić się mórz i oceanów. Łądy, usadowione zwartą masą w okolicy bieguna północnego, wykazywały niejednakowe zabarwienie: niektóre błyszczały oślepiającą białością, inne przechodziły całą gamę barw od jasnożółtej, przez pomarańczową, do rubinowej.

Dwumetrowy refraktor na tym tle odkrywał całą siatkę delikatnych, lecz wyraźnych, przecinających się wzajemnie linii, których natura, pomimo potężnego powiększenia, nie dawała się wszakże dokładnie rozpoznać.

Istnienie lodów w pobliżu biegunów Marsa nie mogło natomiast ulegać żadnej wątpliwości. Harting widział wyraźnie ich srebrny blask w promieniach słonecznych i mógł nawet zauważyć, iż zajmowały mniej więcej taką samą przestrzeń, co i na ziemi. Kontury łądów były zdumiewająco czyste.

Hartinga na razie mało obchodziły łądy, morza, lody biegunowe i wyspy Marsa. Szukał na jego powierzchni sygnału podobnego do gwiazdy zapalanej niedawno na szczytach Kordylierów. Daremnie jednak wodził okiem wzdłuż równika.

— I cóż tam widzisz?! — zawołał Barrett.

— Nic, nic — odparł krótko Edwin. W tej chwili dyrektor obserwatorium zbliżył się do Hartinga z uroczystą miną.

— No i jak pan znajduje nasz refraktor? Prawda, że nie ma nic wspanialszego na świecie. Muszę panom zakomunikować poufnie, że jesteśmy na drodze do odkrycia, które wsławi nasze obserwatorium i jego twórcę. Nasz potężny teleskop w każdym niemal punkcie nieba odsłania nam nowe tajemnice wszechświata.

— To są pierwszorzędne zdobycze — potwierdził Barrett — ale mój przyjaciel interesuje się obecnie Marsem i tylko Marsem.

— Dowiedzieliśmy się i o nim wielu ciekawych szczegółów — mówił dalej zachwycony dyrektor. — Stwierdziliśmy, że ma dość gęstą atmosferę. Udało nam się nawet schwytać na gorącym uczynku zawieję śnieżną, która szalała niedawno na znacznej przestrzeni w okolicy bieguna południowego...

— Tak, to wszystko bardzo jest interesujące — potwierdził z roztargnieniem chemik.

Niepokoilo go rosnące podniecenie przyjaciela, który nie odwracał oczu od przyrządu.

— No, cóż tam widzisz takiego?! — zawołał wreszcie zniecierpliwiony nieruchomością przyjaciela.

— Nie przeszkadzaj mi, proszę... — mruknął Edwin nie odwracając głowy od okulara.

Chemik wzruszył ramionami.

— Niechaj sobie patrzy — rzekł zwracając się do Davisa. — Słucham pana uważnie. Czy żadne nowe fakty nie pozwalają przypuszczać istnienia ludzi na tej planecie?

— Dotąd nie zdołaliśmy zauważyć nic, co by nas upoważniało do podobnych wniosków.

— Powiedz mi pan otwarcie — mówił chemik odciągając dyrektora na stronę — czy nadzieje mojego przyjaciela mogą się ziścić chociaż w części?

— Nie potrafię wyrokować w tym względzie — odparł Davis — zwracam tylko uwagę pańską na jedną, bardzo podług mnie ważną okoliczność.

— Jakąż to?

— Iż odpowiedź, której spodziewa się pański przyjaciel, mogła ująć zupełnie naszej uwagi.

— Czy chmury zasłaniały niebo ponad dostrzegalnią?

— Zdarzała się i ta przeszkoda. Chcę jednak mówić o innej. Wiadomo panu zapewne, iż przez dobre teleskopy nie można obserwować nieba przez całą noc. Wyraźne obrazy otrzymujemy tylko przez dwie, a najwyżej przez trzy godziny po zachodzie słońca. Łatwo więc zrozumieć, iż przesłany z Marsa dla Ziemi znak mógł być niewidzialny z powodu spóźnionej pory. Dla uniknięcia tej nieprzyjemnej okoliczności należałoby urządzić kilkanaście takich, jak to, obserwatoriów w rozmaitych okolicach kuli ziemskiej. Wtedy w każdej chwili choć w jednym z nich dostrzegano by planetę na wysokości i w porze zapewniającej obraz wyraźny.

— A jeżeli Marsjanie, w których istnienie tak gorąco wierzy Harting, uwzględnili te okoliczności?

— Wątpię, czy byliby oni w stanie to uczynić. Nie znają przecie położenia naszego obserwatorium. Zresztą, nie odgaduję wcale, w jaki sposób mogliby na oświetlonej przez Słońce powierzchni utworzyć widzialny dla nas znak, chyba żeby go umieścili na małym ciemnym skrawku, jaki my dostrzegamy teraz na tarczy Marsa. Hm! Kwestia to bardzo skomplikowana i niepodobna w niej nic przesądzać z góry. Należy czekać.

Kiedy Barrett skończył rozmowę z szanownym dyrektorem obserwatorium, Harting siedział jeszcze w tej samej co poprzednio pozycji u teleskopu. Był do tego stopnia pochłonięty widokiem planety, którą miał w polu widzenia, iż nie wiedział, co się dzieje dookoła niego.

Barrett próbował oderwać go od refraktora, lecz daremnie. Czekał więc cierpliwie. Dla skrócenia sobie czasu obejrzał starannie całą dostrzegalnię w towarzystwie Davisa, który tłumaczył mu użycie każdego przyrządu. Przegląd ten trwał całe dwie godziny, po czym chemik powrócił do kopuły.

— O tej porze obraz staje się niejasny — rzekł Davis — dziwi mnie, co Harting może widzieć o tak późnej godzinie.

— Edwinie! — zawołał Barrett. — Czy widzisz jeszcze?

— Widzę — odparł cicho Harting — daj mi spokój. Ten upór nie podobał się Barrettowi.

— Chodź, już późno! — rzekł. — Jutro znowu zaczniesz swoje obserwacje.

— Późno?! — powtórzył machinalnie młody astronom.

— Pierwsza po północy.

— Ta-a-a-k?

— Marsa i tak już nie widać.

— Ach, prawda! Straciłem go z oczu. Dokąd pójdziemy?

— Twoje mieszkanie jest przygotowane. Harting wstał. Był strasznie błądy, oczy jego świeciły dziwnym, fosforycznym blaskiem.

— Co ci jest? — zagadnął zaniepokojony chemik,

— Nic.

— Czyś zmęczony?

— Nie.

Barrett rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Davisa.

— Musisz odpocząć — rzekł łagodnie. — To wszystko, czego doznajesz, rozdrażnia cię.
I wzięwszy przyjaciela pod ramię, wyprowadził go z kopuły. Asystent Davisa wskazał im ładny domek na stoku góry, przeznaczony dla osób zamieszkujących stale przy obserwatorium.

Wkrótce potem obaj przyjaciele znajdowali się już w swoich pokojach. Barrett usnął natychmiast, Harting jednak przechadzał się długo wielkimi krokami. Sims, sąsiadujący z nim przez drzwi, słyszał jakieś niewyraźne słowa, wykrzykniki, rozpaczliwe wezwania, które ucichły dopiero nad ranem.

Nazajutrz Barrett, wszedłszy o godzinie dziesiątej rano do pokoju przyjaciela, zastał go jeszcze w łóżku.

— Dlaczego nie wstajesz? — zagadnął. — Czyż zamierzasz przespać tak piękny dzień?

Harting nie odpowiedział. Zbliżywszy się, Barrett ujrzał na twarzy młodego astronoma nienaturalne rumieńce, które go zaniepokoiły.

— Czy nie jesteś czasem chory? — zapytał biorąc go za rękę, Harting, jak się zdawało, teraz dopiero zauważył obecność chemika.

— Czy wiesz?! — zawołał zrywając się. — „Oni” byli u mnie dziś w nocy, nie mów tylko o tym nikomu. Byli i zapewnili mnie, że odpowiedź na sygnał wysłano tydzień temu przez meteor, który ma spaść w pobliżu obserwatorium. Za kilka dni otrzymam ją niezawodnie. Nie wierzysz? — dodał marszcząc brwi.

— Ależ, Edwinie! — przerwał chemik usiłując ułożyć go na poduszki.

— Och, daj mi pokój! Ja muszę wstać i iść do lunety. Tak, muszę patrzeć, czy meteor nie ukazał się już w pobliżu Ziemi. Trzeba ci wiedzieć, iż będzie on widzialny, gdyż ma podobno kilometr średnicy. Przebiegał niedawno przez górne strefy atmosfery Marsa — oni skorzystali więc z tej doskonałej sposobności, żeby się z nami skomunikować. Pyszny pomysł! Nieprawdaż? Och, to są geniusze! Istoty nieskończenie od nas wyższe!

— Edwinie, Edwinie, uspokój się! — powtarzał Barrett dotykając dłonią rozpalonego czoła astronoma.

— Słuchaj — mówił dalej Harting wymachując rękami. — Słuchajże! Oni są duchami. Ciała ich mają ciężar gatunkowy wodoru... i świecą jak mgławice. Przyjechali wczoraj na komecie, która dąży ku Słońcu z szybkością tysiąca kilometrów na sekundę. Ha, ha, ha! To mi jazda!

— Edwinie! Nie mów tyle! — prosił chemik zaniepokojony stanem przyjaciela. — Masz gorączkę, głowa cię zapewne boli. Wyczerpało cię to oczekiwanie.

Z niemałym trudem udało się Barrettowi ułożyć na powrót Hartinga do łóżka. Młody astronom patrzył nań płonącymi gorączkowo oczyma

i nie przestawał mówić.

— Oni jeszcze nie odjechali — ciągnął dalej — są tu w górach i przyjdą wieczorem zwiedzić obserwatorium. Zobaczysz ich.

Barrett nie słuchał dalej. Przestraszony gorączkowymi majaczeniami przyjaciela, wybiegł z pokoju, aby sprowadzić lekarza.

ROZDZIAŁ XVIII

ZAGADKA DO ROZWIĄZANIA

Czy szlachetne usiłowania Edwina Hartinga i jego przyjaciół pozostały bez skutku? Czy sygnał, przesłany z takimi trudnościami, zabłysnął nie spostrzeżony przez nikogo poza naszym globem? Czy Mars — ta piękna i tajemnicza planeta jest martwą bryłą, na której nie zakwitło jeszcze życie?

Takie i tym podobne pytania zajmowały ogół przez długi czas po opisanych wypadkach.

Niestety, na żadne z nich nie znajdowano odpowiedzi. Wiedzano tyle tylko, że Harting, powróciwszy do zdrowia po silnym zapaleniu mózgu wywołanym nadzwyczajnymi wzruszeniami, zajmował się bez przerwy obserwowaniem Marsa przez olbrzymi, dwumetrowy refraktor. Nikt jednak nie wiedział, czy młody astronom dostrzegł na powierzchni planety coś godnego uwagi. Obserwatorium bowiem nie przesyłało żadnych komunikatów nikomu, nawet towarzystwom naukowym.

Powoli też zapomniano o sygnale i o Hartingu. Zwolennicy teorii młodego astronoma, pozostawieni w niepewności, tracili zapał i milkli jeden po drugim. Przeciwnicy triumfowali strojąc sobie żarty z „fajerwerku”, który kosztował milion dolarów i oślepił bydło w całym Ekwadorze.

Tak stały rzeczy w dniu 19 lipca 19... roku, kiedy nagle w dziennikach ukazała się wiadomość, która zelektryzowała cały świat.

Pan Douglas, astronom, pracujący w Obserwatorium Lowella w Arizonie, umyślnie urządzonym do badania Marsa, donosił, że na powierzchni tej planety ukazała się niespodziewanie zagadkowa, błyszcząca plama nadzwyczajnych rozmiarów.

Wiadomość tę potwierdzili astronomowie francuscy, a za nimi i inni dostrzegacze.

— Plama świecąca? — powtarzano. — Czyżby to miała być odpowiedź na sygnał przesłany przez Hartinga?

Przypuszczenie to, rzecz naturalna, musiało się nasunąć każdemu, kto słyszał o usiłowaniach młodego astronoma. Kwestia, o której już zapomniano, odżyła na nowo i narobiła niesłychanej wrzawy.

— Nareszcie — wołali upojeni stronnicy Hartinga — ludzkość dzięki geniuszowi jednego człowieka otrzymała wyjaśnienie kwestii na pierwszy rzut oka niemożliwej do rozstrzygnięcia! Mars jest zamieszkały, i to przez inteligentne istoty, z którymi można się porozumiewać!

Życie organiczne kwitnie więc nie tylko na Ziemi, lecz wypełnia cały wszechświat!

Pojawienie się owej plamy dało zachętę do szeregu coraz śmielszych hipotez i wywołało nieskończoną ilość najdziwniejszych pomysłów.

Zapaleńcy domagali się głośno zaprowadzenia stałej korespondencji z Marsjanami. W tym celu obmyślali ogólnie zrozumiałe symbole, układali pismo z geometrycznych figur, którego można użyć do wyrażania myśli. Projekty posypały się jak z rogu obfitości. Znaleźli się nawet i tacy, którzy z góry już starali się przewidzieć, jakie korzyści odniosłaby ludzkość z obcowania z tak wysoko rozwiniętymi istotami, jakimi są prawdopodobnie mieszkańcy Marsa.

Ostrożniejsi, zamiast podawać nowe projekty, czytali chciwie wszystkie wieści dotyczące zagadkowego zjawiska, spodziewając się, że nauka zdoła w końcu orzec coś stanowczego o jego

naturze.

Niestety! Astronomowie byli bardzo oględni; obserwowali, fotografowali, nie wdając się w żadne wyjaśnienia. Przyciśnięci do muru zapytaniem, oświadczyli nareszcie, że przyczyną zjawiska jest prawdopodobnie odbicie się promieni światła od skupionej warstwy obłoków zawieszonych w atmosferze Marsa.

Jakiś aeronauta utrzymywał stanowczo, iż widział raz z wysokości obłoki, które błyszcząły mniej więcej tak samo jak owa intrygująca plama.

W ślad za tą hipotezą zjawily się inne. Mówiono o olbrzymich wybuchach wulkanicznych, które wydobywały z łona planety morze ognistej lawy, przypuszczano straszny pożar lasów lub pokładów węgla kamiennego i wiele innych możliwości.

Przeciwnicy teorii Hartinga przyjmowali chętnie wszystkie sposoby tłumaczenia faktu, który wprowadził ich w niemały kłopot. Na nieszczęście autorzy ich nie byli w stanie niczym poprzeć swoich hipotez.

Dlatego też stronnictwo wierzące w istnienie mieszkańców Marsa lekceważyło sobie ich domysły.

— Poczekajcie — mówiono — co powie Harting! Jeżeli ktoś potrafi wytłumaczyć zjawisko, to tylko on jeden. Dwumetrowa luneta wyjaśni niebawem kwestię.

Oczekiwano więc z najwyższą niecierpliwością wiadomości z obserwatorium, gdzie zapewne z natężoną uwagą badano tajemniczą plamę. Spodziewano się lada chwila usłyszeć potwierdzenie przypuszczeń, na które patrzono jak na pewnik.

Mijały jednak dni i tygodnie, a Harting milczał uparcie. Żadnej wzmianki, ani jednego słówka nawet o zagadkowym zjawisku. Po upływie miesiąca ogół zaczął sarkać, a wreszcie gniewać się na astronomów z Sierra Madre.

Cóż to? Czy obserwatorium zapomniało o ciężących na nim obowiązkach? Czy olbrzymi dalekowiedz nie zdoła rozjaśnić tajemnicy? Czy Harting nie potrafi odgadnąć natury świetlnej plamy na Marsie?

Kto wie? A może już odgadł, lecz nie chce podzielić się z ogółem zdobytymi wiadomościami. To niegodny uczonego egoizm!

Oburzenie doszło już do najwyższego stopnia, gdy wtem nadszedł z Sierra Madre tak gorąco oczekiwany telegram. Brzmiał on dosłownie jak następuje:

Dnia 20 sierpnia 19... r., godz. 11 min. 37 wieczór. Plamę widać doskonale przez dwumetrowy refraktor. Nie ulega wątpliwości, że jest to morze ognia rozlane nagle na powierzchni Marsa. Obserwatorium nie może jednak decydować stanowczo, czy to potężne światło jest odpowiedzią na sygnał dany z Ziemi. Niebawem będą przeprowadzone badania spektroskopowe.

Oczekiwano z zapartym tchem na wyniki tych badań.

Już niecierpliwść publiczna była na wyczerpaniu, gdy niespodziewanie obserwatorium na Sierra Madre rozesłało następujący „komunikat”;

Jak się okazuje, plama pochodzi od wielkiego ogniska przewyższającego jasnością natężenie światła słonecznego na Marsie. Spektroskop orzekł, że jest to odbite światło Słońca, ale nie można określić, czy powierzchnia odbijająca jest naturalna w rodzaju grupy obłoków, czy też sztuczna. Regularny ośmiokątny kształt plamy pozwala jednak domyślić się, że wchodzi tu w grę duża ilość wklęsłych zwierciadeł skupiających promienie słoneczne, które, przedarłszy się

przez otchłań międzygwiazdną, pozwalają dostrzegać lustrzaną powierzchnię na tle oświetlonej przez Słońce planety.

W kilka tygodni po tym pierwszym komunikacie ogłoszono drugi i ostatni, który dał wiele do myślenia wszystkim zainteresowanym usiłowaniami Hartinga.

Plama świetlna na Marsie zmienia swój kształt w pewnych regularnych odstępach czasu. Obecnie jest kwadratowa; niedawno zaś miała postać trójkąta równoramiennego.

Upłynęło parę lat od chwili podania tej sensacyjnej wiadomości. Daremnie oczekiwano następnych. Harting zamilkł nagle, jak gdyby doszedł do przekonania, że nie należy publikować wyników swoich badań. Wiedziano jednak, że dostrzegalnia na Sierra Madre pracuje dalej bez przerwy, że Harting zatrzymał przy sobie pana Davisa i innych młodych uczonych. Głęboka tajemnica zawisła nad pracą tych ludzi, rozporządzających najpotężniejszym teleskopem, i żadne wysiłki nie zdołały jej dotąd wyjaśnić. Krążą pogłoski, że Harting istotnie zdołał wejść w stosunki z mieszkańcami Marsa i że wyniki jego poszukiwań prześcignęły najśmielsze oczekiwania, że pisze dzieło, które będzie zawierało to wszystko, o czym zdołał się dowiedzieć. Czekano lat kilka na ukazanie się tego dzieła — daremnie. W końcu nie podsycana niczym ciekawość wygasła. Zapomniano o młodym astronomie i jego zuchwałej próbie, inne bardziej sensacyjne wieści zajęły świat.

Wybuch wojny światowej w 1914 r. pogrzebał do reszty kwestię tak niedawno entuzjasmującą wszystkich.

Ale Harting pracuje i być może niedaleka jest chwila, kiedy ukaże się jego dzieło o „Sąsiadach Ziemi”.